

Rozdział 30

Larnaka

Połowa lata, czyli połowa wakacji to był dobry moment na snucie marzeń. W niedzielę, 1 sierpnia 1999 rok, również i rodzina Zebi dowiedziała się o jej marzeniu. Ona od pewnego czasu już intensywnie nad czymś pracowała. Wyszukiwała czegoś w komputerze i nie były to na pewno sprawy zawodowe. Po obiedzie wszyscy razem wyszli na spacer i tam Zebi wygłosiła to, do czego wyraźnie przygotowywała się już od kilku tygodni. Stanęła, pokazała, że mają się skupić i ogłosiła, że ma pomysł. Już kilka razy wcześniej wypuszczała takie komunikaty, ale kończyło się na lodach, albo karuzeli. Tym razem miała trochę poważniejszą minę. Dzieci już niecierpliwiły się, więc zaczęła mówić: Chciałaby, żeby zbudowali sobie ładny dom. Wygodny, duży, całoroczny.

– Gdzie on by mógł twoim zdaniem być Zebi?

– W Polsce już jest duży dom, mojej mamy. Można w nim mieszkać samodzielnie. Teraz tam się trochę zmieniło, bo wprowadził się do mamy Piotr. Wynajął po śmierci swojej żony dom we Wrocławiu i mama zaprosiła go do siebie. Są chyba niezłą parą. Niezależnie od tego, tam i tak jest gdzie mieszkać. Jeszcze dwie takie rodziny jak my, mogłyby tam swobodnie mieszkać nie przeszkadzając sobie.

– To ja proponuję Francję. – powiedział Louis.

We Francji rodzina Louisa również miała piękny i duży dom. Argumentował tym, że tam też można mieszkać na dobrą sprawę. Alzacja to piękne miejsca. Ale ona miała pomysł na własny dom. Chciałaby mieć dom, nad morzem Śródziemnym, w ciepłym ciekawym miejscu.

– Gdzie twoim zdaniem jest takie miejsce?

Długo nic nie mówiła, tylko wpadła w zadumę. Później powiedziała tylko jedno słowo: Larnaka. Jej zdaniem na Cyprze byłoby im najlepiej. Zakochała się w jednym z tych miejsc, jak byli na Cyprze poprzednio. Jeszcze bez Maksa. Już wtedy nabrała przekonania, że jest to najlepsze miejsce na świecie, w którym chciałaby, żeby oni wszyscy zamieszkali. Już wtedy wybrała coś, konkretne miasto i w przybliżeniu miejsce w którym planowała osiąść na stałe. Louis widział, że już od pewnego czasu drąży coś w internecie. Kilka razy zauważył na ekranie jej laptopa projekty różnych domów. Znał się na tym świetnie, bo był przecież inżynierem budowlanym. Nie odzywał się jednak. Czekał cierpliwie na ten moment, który właśnie nastąpił. Chciał, żeby sama powiedziała. Doszli do portu. Monica była zachwycona tym miejscem. Nie chciała wracać, tylko patrzyła i namawiała rodziców, żeby podeszli bliżej. Jachty w porcie były przepiękne i musiały należeć do bardzo bogatych ludzi. Maks też patrzył z zachwytem na te małe stateczki. Oboje kochali pływać i namawiali rodziców, żeby wynająć jakąś łódź motorową i popłynąć dalej od brzegu. Zebi była za tym, a Louis wyraźnie nie palił się do pływania łodzią motorową. Tego dnia nie popłynęli. Zebi opowiadała, że miała zebranych kilkanaście lokalizacji w których można by było zbudować swoje własne gniazdko, ale jest takie jedno miejsce, do którego każdy z rodziny, albo z przyjaciół chętnie przyleciałby na urlop. Miejsce, które pozwoli im na bliższy kontakt ze wszystkimi. W pięknym, atrakcyjnym miejscu będą ich odwiedzali, a oni będą przeszczęśliwi. Louis nie wiedział jakie pieniądze ma Zebi. Myślał, że to są te kwoty, które jemu kilkakrotnie przemknęły przed oczami i może jeszcze coś, co dostała od matki.

– Masz to jakoś opisane? A może są jakieś zdjęcia?

– Jest wszystko. W domu mam przygotowany cały pakiet tego co już znalazłam. Jeden plac jest najtańszy, ale jeden, który moim zdaniem jest najładniejszy należy do tych droższych. Na lekkim wzniesieniu i jest dużo drzew.

Wrócili do domu i Louis od razu dosiadł się do niej i dalej już razem przeglądali oferty. Pokazała mu ten plac z drzewami, który jak mówiła najbardziej jej się spodobał. Miał powierzchnię trzy i pół tysiąca metrów kwadratowych. Louis jak to on, od razu przestraszył się, że plac pewnie będzie dla nich za drogi. Nie był tani, ale za to teren był już uzbrojony. Wstrzymywała się z ujawnieniem ceny, bo było pewne, że Louis spadnie z krzesła. Powtarzała tylko co jakiś czas, że nie jest tani, żeby wprowadzić go w odpowiedni nastrój i nie spowodować nadmiernego szoku.

- No powiesz wreszcie, ile oni tam chcą za ten placyk?
- Siedemset siedemdziesiąt tysięcy.
- Dolarów?
- Nie. Właśnie o to chodzi, że nie dolarów. Jeszcze gorzej. Funtów cypryjskich.
- To wściekle drogo. We Francji mogą znaleźć taki plac, niedaleko Nicei za mniej niż

połowę tej ceny. Też będzie nad morzem, a klimat wcale nie gorszy.

– Ale ja wolę na Cyprze. Chociażby dlatego, że będę miała bliżej do pracy. Poza tym, tu są najniższe w Europie podatki. Wszystko można mieć legalnie bez większego uszczerbku na budżecie. Jak będziemy mieli tu dom, to dostaniemy pobyt stały, a wtedy możemy tu legalnie rozliczać podatki. To co zarobimy na tym, że tam jest taniej, to oddamy Francji jako podatek, bo tam one są najwyższe w Europie.

Louis wpadł w zadumę. Chodził po mieszkaniu i powtarzał jak mantrę:

– Czy stać nas na taki wydatek? Bo przecież plac to jedno, a jeszcze trzeba zbudować dom i całą resztę. – ona z kolei przekonywała go, że stać ich i obiecała mu, że to on będzie koordynował budowę ich domu. To już mu się bardziej podobało. Zajmie się czymś, na czym się zna. Będzie mógł popisać się swoją wiedzą i elokwencją, a nie tylko pieluchy i gary. Miał już tego serdecznie dość. Wiedział, że jak się zdecydują, to będą musieli zatrudnić jakąś opiekunkę, guwernantkę lub kogoś do dzieci. Już myślał jak zadzwoni do siostry, żeby poszukała mu kogoś takiego we Francji. Przecież dzieci muszą uczyć się francuskiego. To nie tylko to, że on z nimi rozmawia, ale to musi być normalna nauka. W Larnace, która była najbliżej tego miejsca, były firmy budowlane, które miały również w swojej ofercie wspaniałe projekty domów. Zebi naciskała, żeby polecieć tam któregoś dnia, kupić teren i podpisać umowę na budowę domu.

– Jak planujesz to zrobić?

– Wezmę trzydniowy urlop, na przykład od środy. Polecimy do Nikozji. Ale w Larnace też jest lotnisko. Tam rzadziej lądują samoloty. Dwa razy w tygodniu jest jeden lot bezpośrednio do Larnaki. Ale do Nikozji możemy polecieć każdego dnia, stamtąd jest tylko godzina drogi do Larnaki. Tam wynajmiemy samochód i z pośrednikiem pojedziemy obejrzeć teren. Jak nam się spodoba, to kupimy. Potem wrócimy do Larnaki i spotkamy się z przedsiębiorcą budowlanym, którego ja już wybrałam. Jeszcze z nim nie rozmawiałam. Zostawiam to tobie. Wybierzemy projekt, oni zaprojektują wszystko i zanim wyjedziemy to podpiszemy umowę na budowę. Resztę to już twoje działania jako koordynatora.

– Jaka ty szybka jesteś. Ludzie nad takimi decyzjami zastanawiają się latami, a ty wpadasz na pomysł i chcesz go już za tydzień zacząć realizować.

– Ja też zastanawiałam się latami. Pierwszego dnia jak cię poznałam, to postanowiłam, że kiedyś zbudujemy razem nasz wspólny dom. Badałam różne miejsca, gdzie można by było zamieszkać i zastanawiałam się jak bardzo atrakcyjne to musi być miejsce, żeby nasi krewni z chęcią do nas ściągali. A lewą stroną przecież umiemy jeździć. Poprzednio jak byliśmy to przywykłam. Ty też nie masz z tym kłopotu.

– A jak duży ma być ten dom?

- Myślę, że pomiędzy pięćset a sześćset metrów kwadratowych.
 - Czy nam potrzebne jest aż tyle?
 - Nam, może niekoniecznie, ale za to, będziemy mieli dużo dodatkowego miejsca. Dla gości oczywiście.
 - A jakie ogrzewanie?
 - Tam nie potrzeba ogrzewania. Wystarczy klimatyzacja, tak jak tu u nas. Ustawiasz temperaturę i zawsze jest tyle, ile nastawisz, niezależnie od pogody na zewnątrz. Klimatyzator działa również jako ogrzewanie. Są takie z funkcją odwróconą i w chłodne dni pracują jako pompa ciepła.
 - Świetnie, a czy można ustawić temperaturę w każdym pomieszczeniu jaką się chce?
 - Oczywiście. To jest taka opcja jak w hotelach.
 - Nie boisz się, że nie poradzimy finansowo budowy takiego wielkiego domu?
 - Jak nie poradzimy, to weźmiemy kredyt.
 - Zebi. Kredyt trzeba czymś zabezpieczyć. A czym my zabezpieczymy taki kredyt?
 - Jest fundusz powierniczy naszych dzieci. Zabezpieczymy pieniędzmi zgromadzonymi w tym funduszu.
 - Kiedy ty to zrobiłaś? Pierwsze słyszę o jakimś funduszu?
 - Już jakiś czas temu, kilka miesięcy. Jak tylko urodził się Maks.
 - Czemu mi nie mówisz o takich rzeczach?
 - Po co mam ci głowę zaprzętać, przecież to by i tak nic nie zmieniło. Poza tym, mamy rozdzielność finansową i nie muszę ci wszystkiego mówić.
 - Kiedy lecimy?
 - W przyszłym tygodniu. Ja załatwiam sobie urlop, umawiam pośrednika na środę rano, a budowlanica na środę po południu. W międzyczasie zameldujemy się w hotelu.
- Louis chciał wiedzieć od tej chwili wszystko. Kazał się informować, jak ona planuje to rozegrać. Jeżeli spodobałby się im teren, to Zebi miała podpisać umowę i wypisać firmie pośredniczącej czek. Jego rola była taka, że miał się trochę się potargować. Na pewno pośrednik doliczył sobie niezły procent. Trzeba było go przycisnąć, to może trochę odpuściłby ze swojej marży i może on sam urwie jeszcze coś klientowi.
- O, już ja go przycisnę.
 - Potem już ty sam pojedziesz z budowlaniami na miejsce i powiesz im co my tam chcemy, a oni pokażą ci jakie mają projekty.
 - Nie będziesz chciała tego obejrzeć?
 - Na razie, to ja zostanę z dziećmi a ty się z tym pomęczysz. Potem jak już wybierzesz projekt, to tak czy siak będę musiała go obejrzeć przed podpisaniem umowy.
- Przygotowania szły pełną parą. Louis to przeżywał, bo od dawna nie miał innych zadań niż zajmowanie się dziećmi. Trochę już miał dość tego zajęcia i to działanie dodawało mu energii. Był sierpień 1999 roku. Maks miał już sześć miesięcy a Monika za dwa miesiące miała skończyć trzy lata. Oboje mieli mnóstwo energii, a szczególnie Monika, która nie umiała poruszać się inaczej niż tylko biegiem. Spacer ją męczył. Jak szli na spacer to ona biegła cały czas, okrążając rodzinę jak satelita.
- Skąd u niej tyle energii? Niejadek, chuda jak szczapa, a energia aż ją rozpiera. Z powietrza ją pozyskuje?
 - We środę rano lecimy do Larnaki. Powiadomiłam już wszystkich z którymi mamy się

spotkać. U pośrednika będziemy podpisywali akt notarialny, który będzie sporządzony po francusku, dlatego twoja rola Louis jest taka, żeby go dokładnie przejrzeć. Wiesz co to znaczy?

- Wiem. Słowo, po słowie i ze zrozumieniem.
- Tak jest. Draft tego aktu ja sporządziłam i mogę ci go wydrukować nawet teraz. Ale jeszcze nie wiadomo czy go podpiszemy. Jak pojedziemy na tą działkę, to ty jeszcze swoim inżynierskim okiem ogarniesz teren i sprawdzisz, czy nie ma tam jakichś niespodzianek. Przed tobą duże wyzwanie. Wiele od ciebie zależy. Teren, cena za plac, umowa notarialna, wybór projektu, cena za budowę, terminy.
- Jak pomieszkamy tam trochę i znudzi nam się dalej tam mieszkać, to co zrobimy?
- To sprzedamy i kupimy coś innego, na drugim końcu świata. Nic nas tak naprawdę nie trzyma w Europie.
- No świetnie. Przecież Cypr to nie Europa.
- Tylko co?
- To już jest Azja. Sam początek, ale to Azja.
- To jeszcze lepiej. Będziemy Azjatami.
- Już jesteśmy, bo Izrael to też Azja.

* * *

Był wtorek, 17 sierpnia 1999 roku, przeddzień wylotu całej rodziny do Nikozji. Louis wstał pierwszy i kręcił się po kuchni, przygotowywał śniadanie dla wszystkich i włączył radio. Pierwszą wiadomością jaką usłyszał, to trzęsienie ziemi w Turcji. Zginęło siedemnaście tysięcy ludzi a rannych było ponad czterdzieści trzy tysiące. Pomoc humanitarna ciągnęła w miejsce katastrofy z całego świata. Wyjął mapę Europy i zaczął badać to miejsce, w którym było trzęsienie.

- Nie jestem pewny Zebi, ale zdaje mi się, że to nasze miejsce, które wybrałaś też może być zagrożone sejsmicznie.
- To akurat już sprawdziłam. W tamtym rejonie nigdy nie było trzęsień, chociaż na Cyprze bywały, ale już dawno temu. W trzynastym wieku. Jest nadzieja, że nas to nie dotknie. W razie czego, masz na jutro atut w ręku do targowania się o cenę.
- Tak głupio trochę. Tam katastrofa, siedemnaście tysięcy nie żyje, trzy razy tyle rannych, a ja mam żerować na tym.
- Co cię obchodzą tamci. Ja na przykład, zarobiłam dzięki Arkowi dużo pieniędzy na tragicznej śmierci księżnej Diany. Były zakłady w Anglii, kiedy zginie i Arek wytypował bezbłędnie datę. Postawiliśmy i oboje sporo zarobiliśmy. Teraz między innymi właśnie za te pieniądze budujemy się na Cyprze. Martw się o siebie i o swoją rodzinę. Jak wytargujesz dwa procent, to możemy te pieniądze przeznaczyć na wzmocnienia konstrukcji nośnej naszego domu w taki sposób, żeby nawet największe tąpnięcia i trzęsienia nie zrobiły mu krzywdy.
- Wiem. Trzeba zastosować dużo dobrej jakości prętów zbrojeniowych. Nic mi nie mówiłaś, o tym zakładzie.
- Nikomu nie mówiłam. Wie o tym tylko Arek, ale on wygrał tyle samo. On to wydedukował na podstawie tego, co planowali tamci gangsterzy, którzy polowali na nią. Być może coś podsłuchał. Nie wiem. A co się tyczy domu, to sam widzisz, że znasz się na tym świetnie, mój kochany inżynierze.
- Tylko nie wiadomo, czy oni tu mają takiej wysokiej jakości pręty zbrojeniowe?
- A ty wiesz, gdzie mają takie pręty zbrojeniowe?

- Oczywiście. Najlepsze zbrojenia mają Niemcy i Szwedzi.
- To znaczy, że sprowadzimy go z Niemiec.
- W takim razie wyjdzie więcej niż dwa procent.
- Nie szkodzi. Jeżeli wchodzi w grę bezpieczeństwo naszej rodziny, to nie będziemy na tym oszczędzali. Nawet jeżeli trzęsienia zdarzają się tu raz na osiem wieków, to może rzeczywiście ten moment się zbliża.

We środę 18 sierpnia 1999 roku wylądowali w Nikozji. Wynajęli samochód i w pierwszej kolejności pojechali na miejsce, gdzie byli umówieni z pośrednikiem nieruchomości. Potem jadąc za nim dotarli na miejsce. Teren był ogrodzony i znajdowała się tam skrzynka bezpiecznikowa z przyłączem elektrycznym i rura do przyłącza wody i odpływowa. Louis zaangażował się w oglądanie, razem z Moniką biegali po działce i sprawdzali wszystko.

- Proszę pana. Wydaje mi się, że to jest teren zagrożony sejsmicznie. – wypalił niespodziewanie Louis.

Tamten nie był przygotowany na taki zarzut, ale od razu zripostował:

- Wcale nie. Tu nigdy nie było trzęsień ziemi. Były niestety. Osiem wieków temu. Ale niedaleko stąd w Turcji są co chwila. Ostatnie, bardzo poważne było przedwczoraj w nocy. Zginęło siedemnaście tysięcy ludzi. Sam pan widzi, że budowanie domu w tym miejscu musi być dużym ryzykiem. Przecież to jest niedaleko.

- Nie wydaje mi się?

– A ja myślę, że przy budowie muszę zastosować wszystkie znane środki bezpieczeństwa przeciwwstrząsowego. To znacznie podroży koszt budowy.

- Do czego pan zmierza?

– Jak to do czego. Oczekuję, że zgodzi się pan na co najmniej dwu i pół procentową obniżkę ceny.

- Nie, nie. To jest więcej niż my jako firma na tej transakcji zarabiamy. Czy pan chce, żebym ja ze swojej kieszeni dopłacał do pańskiej inwestycji?

– Nie wydaje mi się, że to jest cały pański zarobek. Pracowałem w nieruchomościach i wiem, że marże za pośrednictwo zaczynają się od pięciu procent wzwyż.

- Może u państwa we Francji tak jest, ale tu jest inaczej.

- Zatem jaka jest pańska propozycja?

- Mogę obniżyć o jeden procent. I to wszystko.

– Ja jednak nie chciałbym rezygnować z takiej działki dla jednego procenta, ale skoro tak pan stawia sprawę, to niestety ale zrezygnujemy.

Pośrednik zebrał swoje rzeczy ze stolika i odwrócił się z zamiarem skierowania się do wyjścia. Louis stał nieporuszony i nie wiedział co zrobić.

- Może ja coś powiem. Mój mąż od początku nie był entuzjastą kupna działki tu na Cyprze. On wypatrył swoje miejsce do życia we Francji w okolicach Nicei. Musiałam go dość długo przekonywać do tej lokalizacji i teraz rzeczywiście szuka sposobu, żeby zerwać negocjacje. Pan zgodzi się na półtora procent i zamykamy sprawę.

– Zgoda. Półtora w dół i zamykamy. Ja dzwonię w takim razie do notariusza, że nastąpiły takie ustalenia i umowa kupna może być dzisiaj podpisana. Jakiej formy płatności mogę oczekiwać?

- Może pan otrzymać czek, lub przelew. Jak pan woli.

– Jeszcze się zastanowię. Jedziemy zatem do kancelarii notarialnej. Proszę jechać za mną.

W kancelarii notarialnej ustalono ostatnie szczegóły i akt notarialny powstał w dwóch

wersjach językowych. Po grecku i po francusku. Louis wziął wersję wydrukowaną, usiadł i czytał uważnie. Ołówkiem zaznaczał błędy. Potem sekretarka notariusza poprawiła błędy i wydrukowała jeszcze raz. Tym razem już wszystko było dobrze i pośrednik dołączył swoje pełnomocnictwo w którym widać było, że sprzedającym był obywatel turecki, który mieszkał w stolicy. Wystawił swoją działkę na sprzedaż, bo zmieniły się jego plany, a miejscowe władze nie chciały mu z jakiegoś powodu wydać zezwolenia na budowę. Teraz widać było, że pośrednik kłamał, bo jego prowizja, już po obniżce i tak przekraczała pięć procent. Wszyscy podpisali i Zebi wypisała od razu czek na siedemset pięćdziesiąt osiem tysięcy czterysta pięćdziesiąt funtów cypryjskich. Opłatę notarialną wnieśli gotówką, po połowie każda ze stron. Wszyscy podali sobie ręce i rozjechali się w swoich kierunkach.

– Jak mieszkałem we Francji, to te półtora procenta było równoważnością mojej rocznej pensji.

– To jeszcze nic. W Polsce, jeszcze za komuny, to była kwota, którą człowiek na normalnym etacie mógł zarobić w ciągu dwudziestu pięciu lat. Czyli często przez całe swoje życie zawodowe.

– No tak. Po pierwsze, za komuny, a po drugie w Polsce za te pieniądze można było żyć całkiem dobrze, bo mieliście tam śmiesznie niskie ceny na wszystko.

– To były czasy, kiedy dolar miał kilkanaście razy większą wartość niż jego oficjalny kurs państwowy. Ja jeszcze do tej pory nie mogę się otrząsnąć z paranoi ekonomicznej tamtych czasów do której wepchnęli nas komuniści.

– To prawda. Ale jesteśmy na miejscu. To jest ta firma budowlana z którą rozmawiałaś?

– Tak. Nazwa się zgadza.

– Wchodzimy.

Szefa nie było i sekretarka, posadziła ich w sali konferencyjnej. Zaproponowała napoje i obiecała, że szef już jedzie i za chwilę będzie. Nie byli umówieni na konkretną godzinę, więc szef, jak to każdy właściciel firmy, mógł być trochę zaganiany. Pojawił się mniej więcej po kwadransie i bardzo przeproszał za spóźnienie, ale nie wyrobił się. Szef, pan Stawros, poprosił sekretarkę, żeby zrobiła kserokopię aktu notarialnego na zakup działki. Postanowili, że bez zwłoki pojedą na działkę. Pojechał tylko Louis, tak jak było wcześniej uzgodnione. Zebi z dziećmi pojechali do hotelu. Po około czterech godzinach Louis wrócił. Został podwieszony przez szefa firmy budowlanej, pana Stawrosa pod hotel.

– Jutro mamy do niego podjechać, on ma kilkanaście projektów na sześćset metrowce jednopiętrowe ze stryszkami.

– Proponuję coś zjeść i chodźmy na spacer po Larnace.

– Nie. Najpierw chodźmy na spacer, a tam zaraz znajdziemy jakieś miejsce, gdzie można dobrze zjeść.

– Zgoda. Chodźmy.

Następnego dnia, w czwartek, 19 sierpnia, wybrali w firmie pana Stawrosa projekt, który odpowiadał obojgu z zastrzeżeniem, że zostanie przerobiony w taki sposób, żeby cały był solidnie wzmocniony prętami zbrojeniowymi. Stawros miał do piątku do południa przedstawić kosztorys i złożyć ofertę budowy. Całe piątkowe popołudnie Louis spędził na targowaniu się ze Stawrosem, aż w końcu, jak za pierwszym razem z pośrednikiem, Zebi wtrąciła się i zakończyła te nieprzerwane spory o cenę. Dogadali się na kwotę osiemset sześćdziesiąt pięć tysięcy funtów cypryjskich, sekretarka sporządziła umowę w języku angielskim, którą wszyscy podpisali i Zebi wypisała mu czek na dwieście pięćdziesiąt dziewięć i pół tysiąca funtów, czyli na zaliczkę w wysokości trzydziestu procent. Umowa przewidywała drugą zaliczkę w wysokości pięćdziesiąt procent kwoty umownej a dopłata po zakończeniu

budowy dwadzieścia procent. Inwestorami zostali umownie oboje, chociaż czeki podpisywała tylko ona. Dom miał być wykończony częściowo, to znaczy, wszystkie instalacje elektryczne i wodne, na ścianach gładzie szpachlowe a wszystkie podłogi wyłożone płytkami gresu, którego wzór wspólnie wybrali. W łazienkach i w kuchniach również ściany wyłożone płytkami aż do sufitu. Do domu były dwa wejścia i przed jednym i drugim miały być werandy, również wyłożone płytkami gresu. Wejście główne od południa i tu mniejsza weranda, a wejście boczne od wschodu i tu duża okazała weranda z dużym okrągłym stołem na dwanaście osób. Stół zamówili w warsztacie stolarskim w Larnace. Wykonany został według projektu Louisa, ze szklaną obrotnicą na środku. Według polskiej tradycji, pierwszym meblem jaki powinno się wnieść do nowego domu musiał być właśnie stół. To zapewniało rodzinie wieczny dostatek. Nie mogło być krzesło ani łóżko. To by źle wróżyło.

Rozdział 31

Arno

W firmie zaczęły się przygotowania do zabezpieczenia wizyty - „pielgrzymki” Jan Pawła Drugiego w Izraelu. W poniedziałek, 31 stycznia 2000 roku miała miejsce pierwsza duża narada w tej sprawie. Papież przylatywał 21 marca 2000 roku. Maks kończył 1 rok za miesiąc i siedem dni. Już sam siedział i nieźle raczkował. Na połowę marca 2000 roku, również firma budowlana w Larnace miała planowo zakończyć budowę domu do stanu surowego. Już były wszystkie drzwi i okna. Podłogi i ściany na ukończeniu. Na pierwszym piętrze narożny taras prezentował się znakomicie. Zebi zaglądała na budowę kilka razy w tygodniu i po cichu kontrolowała postęp prac. Spotkała się z szefem firmy budowlanej, panem Stawrosem i przekazała mu czek za drugą ratę płatności. W firmie wszystkie siły na pokład i doszukiwano się luk w przygotowaniach do wizyty dostojnego gościa. Zebi dotarła do korespondencji z której jednoznacznie wynikało, że poprzedniego papieża, Jana Pawła otruto siarczanem nikotyny. Nie wiadomo, czy była to stuprocentowa prawda, ale napotkała taki przekaz w wielu notatkach. Wynikało z nich, że wszystkie ważne osoby w Kurii były wtajemniczone w to działanie i akceptowali tą decyzję. Nie było zwyczaju przeprowadzania sekcji zwłok papieża, więc morderstwo nie mogło być wykryte. Wyrok na siebie wydał zaraz po tym jak wybrano go na papieża, bo wygłosił do swojej świty oświadczenie, że – „...osuszy bagno w którym tkwi IOR”, czyli Instytut Dzieł Religijnych, który w rzeczywistości był Bankiem Watykańskim. Zbyt wielu ludzi w Kurii i poza nią miało coś na sumieniu. Obawiali się o swoje kariery, majątki i pieniądze, a nieraz i życie. Jeżeli Państwo Kościelne miało przetrwać, to istniało tylko jedno rozwiązanie. Jana Pawła, człowieka przyzwoitego, o naiwnej naturze trzeba było natychmiast uciszyć. Jak to bywa z szaleńcami którzy chcą rozpędzić na cztery wiatry mafię i najpierw deklarują, że to zrobią. Odszedł w zaświaty po spożyciu jedynie szklaneczki czystej wody. Zawierała ona właśnie tą śmiertelną dawkę siarczanu nikotyny, który jest niestety całkowicie bezwonny i bezsmakowy, rozpuszcza się w wodzie i jest śmiertelną trucizną. Wybrano na nowego papieża Polaka, Karola Wojtyłę, który nie miał o niczym pojęcia. Pochodził z komunistycznego kraju i zupełnie nie znał się na kombinacjach finansowych ludzi, którzy trzymali w rękach IOR. Wydruk całej korespondencji z nazwiskami i funkcjami osób które podpisywały się niewybrednymi pseudonimami typu: Mefistofeles, Belzebub czy Lucyfer, Zebi zaniósła do szefa. Zawsze istniało realne zagrożenie, że Jan Paweł Drugi już zorientował się jakie rzeczy działy się w IOR i on sam, teraz zaczyna osuszać to bagno. Jeżeli tak właśnie się działo, to ludzie z Kurii będą chcieli go ukatrupić, a na logikę, najkorzystniej byłoby dla nich, żeby to stało się właśnie w Izraelu. Dwie pieczenie, na jednym ogniu.

– Po co premier zgodził się na tą wizytę? Musimy teraz odciągnąć naszą uwagę od spraw które nam się tu napiętrzyły, a skupiać się na papieżu i tej jego cholernej mafijnej świcie, która prawdopodobnie chce go ukatrupić właśnie tu i zwalić to na nas. Kto uwierzy, że to nie Żydzi ukatrupili Ojca Świętego. Już raz podnieśli rękę na osobę świętą, dlaczego mieliby tego nie zrobić po raz kolejny po dwóch tysiącach lat. Że niby Poncjusz, ale wszyscy i tak wiedzą, że to Herod i ten cały Sanhedryn tak zdecydował.

– Wpadasz w paranoję szefie. Nie ma co snuć jakieś niedorzeczne przypuszczenia, tylko jak każdy weźmie się solidnie do swojej roboty, to będziemy mieli podgląd na wszystko i nic nas nie zaskoczy.

– Potrzebujemy bardzo dobrych elektroników od łączności radiowej, od podsłuchów i podglądów. Potrafisz wyłowić takich gdzieś w sieci i dostarczyć mi namiary na nich?

– Jasne. Mój brat jest świetnym inżynierem od tych rzeczy.

– Ja wiem który to jest twój brat i wiem, że on jest świetnym inżynierem od mordobicia, a nie od elektroniki.

– Ale ja mam jeszcze jednego brata. Najstarszy z nas wszystkich. On mieszka w Budapeszcie.

– Zna hebrajski?

– Nie. Ale zna dobrze angielski.

– To może i lepiej. Byłby zainteresowany współpracą?

– Nie wiem. Musiałabym do niego zadzwonić.

– To dzwoń dziewczyno. Mamy mało czasu. Ale powiedz mu, że jest potrzebna cała ekipa, a nie on sam. Chyba pasuje nam ekipa z Węgier. Nie będą może przekupni i nie ujawnią żadnych kodów dostępu i innych ważnych rzeczy.

– Co to, to rękę głową, że nie będą przekupni. To w końcu jest mój brat.

– Ile osób będzie w tej ekipie?

– Nie wiem. Pewnie z pięć albo sześć, zresztą może więcej.

– Ale w sumie nie więcej niż osiem, bo taki samochód dostaną. Ośmioosobowy.

– Na jak długo ich tu przetrzymamy?

– Od teraz, aż do przyjazdu Ojca Świętego, czyli z miesiąc.

– Ale wizy i te wszystkie sprawy formalne?

– Wszystko załatwimy od ręki, jak tylko się zdecydują.

Zebi zadzwoniła do Roberta jeszcze tego samego dnia:

– Cześć braciszku. Bardzo jesteś zajęty? – Nie, możesz gadać, akurat nic nie robię.

– Ale ja pytam w innym kontekście. Chodzi mi o to, czy bardzo jesteś zajęty przez najbliższy miesiąc? – Niespecjalnie. Robimy swoje, ale nie jesteśmy mocno napięci z robotą, a co się stało? – Potrzebujemy elektroników do Izraela, którzy pomogliby w zabezpieczeniu pielgrzymki Ojca Świętego tu do nas. – I co miałbym robić? Znaczący, domyślam się, ale może coś szczególnego czego do końca mogę nie umieć. – Nie, nic szczególnego. Montowanie kamer, mikrofonów, transponderów i innych sprzętów elektronicznych na całej trasie pielgrzymki. Musimy mieć na wszystko podgląd i podsłuch. Dużo rzeczy już jest, ale to wszystko za mało. Trzeba rozbudować tę instalację. – Tam u was nie ma elektroników? – Są. Ale tu panują takie stosunki, że nasi szefowie woleliby ekipę z zewnątrz. Spoza wszelkich układów. – Ile płacą? – To ty oblicz, ile chciałbyś zarobić, razem z sześciuosobową ekipą przez miesiąc. – A sprzęt, narzędzia i wszystko inne? – Tu wszystko dostaniecie. Od A do Z. Cena ma być tylko za waszą pracę. – Dobrze. Ja jednak wolę swoje narzędzia, spinki, znaczniki itp. To jest zbiór różnych drobiazgów, które kompletowaliśmy przez lata i zebranie tego wszystkiego w krótkim czasie jest niemożliwe. – Dobrze. Przekażę, że chcecie zabrać

swoje graty. Tu dostaniecie samochody serwisowe i wysięgnik, jeden albo dwa, do montowania na wysokości. – OK. Zbiorę chłopaków, siądziemy i policzymy ile chcemy za tą robotę. Jeszcze dzisiaj wyślę ci naszą ofertę mailem. – Do zobaczenia, mam nadzieję. – Cześć.

Mail od Roberta przyszedł po południu. Napisał, że chcą sto tysięcy dolarów amerykańskich. Od razu do niego oddzwoniła:

– Chyba coś ci się pomyliło. To ekipa pomywaczy by tyle wzięła. Wy jesteście wysoko wyspecjalizowaną ekipą inżynierską z własnymi gratami i nie możecie żądać tak mało. – To ile mam napisać? – Co najmniej dwa razy tyle. Ty zapłać swoim pracownikom tyle ile zechcesz, to nie moja sprawa. Ja usuwam tamtego maila ze swojego komputera, i bardzo proszę ty też usuń i wyślij mi nowego z nową ceną. – Pewnie nas pogonią z taką stawką. – Może pozwól, że to ja będę koordynowała tą umowę, a nie ty. – Dobrze. Już ci wysyłam.

Nowy mail dotarł za kilka minut, Zebi wydrukowała go i pomaszerowała z nim do szefa.

– Mój braciszek z ekipą chcą dwie stówki.
– Dwieście tysięcy dolarów?
– Tak. Policzyli, że będą przez miesiąc pracowali po dwanaście godzin. Żeby się wyrobić. Przywiozą własne narzędzia, bo tu kompletowanie takich zestawów trwało by z miesiąc, a wiadomo, że nie ma na to czasu. Chcą tylko dwa samochody serwisowe typu furgon pięć, lub sześciuosobowy, blaszaki zamykane, nie plandeka. I jeszcze dwa samochody z wysięgnikiem. Te ostatnie mogą być z kierowcami, miejscowe. Skądś tu wynajęte.

– Dwieście to dość drogo, nie wiem czy uzyskam taki budżet.
– Co ty się martwisz na zapas. Porozmawiaj z ministerstwem, że jest taka oferta, a oni niech decydują. Są jeszcze jakieś inne oferty?
– Są.
– Wszyscy tańsi?
– Nie, nie wszyscy. Są i drożsi.
– A ci tańsi to o ile tańsi?
– Rzeczywiście, niewiele. Sto dziewięćdziesiąt, sto osiemdziesiąt pięć. Ale jest inne ryzyko. W tych zespołach może pojawić się osoba która jest uwikłana politycznie i będzie miała świetną okazję na przekazanie tajnych informacji, przykładowo, na jakich pasmach pracują transmitery i jak są kodowane. Na pewno będzie jeszcze wiele innych informacji tajnych, które będzie można wykorzystać przy próbie zamachu. Tamta ekipa, z twoim bratem, jest prawdopodobnie pewniejsza.

– To ja za mojego brata zdecyduję i powiem ci, że oni to zrobią za sto osiemdziesiąt tysięcy. Patrz. Skreślam to dwieście, wpisuję obok sto osiemdziesiąt i podpisuję się pod tym.
– A jak on się nie zgodzi.
– To ja mu dopłacę różnicę z własnej kieszeni.
– Dobrze. Jadę do ministerstwa. Trzymaj kciuki.

Specjaliści w ministerstwie zgodzili się na firmę Roberta, podobno tylko dlatego, że był najmniej podejrzany politycznie. Sprawdzili ich referencje i oni wypadli dobrze, a w każdym razie lepiej od innych. Zebi od razu zadzwoniła do Roberta z dobrą informacją:

– Niestety, ale obciąli wam dwadzieścia tysięcy. Cieszysz się? – Czyli tradycyjne dziesięć procent. Co mam robić dalej? – Dalej to ja ci wyślę zaraz zamiar na firmę z którą będziesz zawierał umowę, ty przygotujesz draft umowy po angielsku i w tej umowie muszą znaleźć się dane osobowe twoje i wszystkich osób które będą z tobą pracowały. Jako zaliczkę wpisz sześćdziesiąt procent wartości kontraktu, to jest sto osiem tysięcy i na taką kwotę wystaw im od razu fakturę pro forma, reszta zapłaty po zakończeniu kontraktu. Potwierdzenie

dostaniesz mailem już od tamtej firmy i z tym wydrukowanym potwierdzeniem i ze wszystkimi paszportami pobiegiesz do ambasady. Oni już tam będą na ciebie czekali. Dostaniecie wizy i pieczętkę upoważniającą do pracy w Państwie Izrael do dnia dwudziestego marca. Teraz już wszystko zależy tylko od ciebie. – Dobrze. Dzięki, że tak fajnie się tym wszystkim zajęłaś. To dla mnie ważne zlecenie.

Kilka dni trwało załatwienie wszystkiego i w piątek, 18 lutego 2000 roku, Robert wraz ze swoimi ludźmi i sprzętem wylądowali na lotnisku w Tel Awiwie. Jeszcze tego samego dnia zrobili objazd wszystkich miejsc i punktów które mieli uzbroić w kamery, mikrofony kierunkowe i transmitters. Na koniec dnia zrobili specyfikację wszystkiego co miało być zainstalowane. Zamówienie zostało wysłane przez firmę która miała współpracować z nimi, do odpowiednich importerów. Niektóre sprzęty były dostępne od razu, a na inne trzeba było poczekać. Pojechali dwoma samochodami do magazynu w którym dostępne były te rzeczy i od razu na tej podstawie rozplanowali sobie front pracy na sobotę. Niektórzy spacerowicze byli trochę zdziwieni, że są w Izraelu ludzie, którzy chętnie pracują w sobotę. Zagadywano ich, ale odpowiedzi nie było. Po napisach na ubraniach roboczych przeważnie orientowali się, że są to jacyś obcokrajowcy.

- Pieniądze dostałaś?
- Oczywiście. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję Zebi. Jak twoje dzieci?
- Dobrze. Tak jak Monika prawie wcale nie chorowała, to Maksowi zdarza się łapać jakieś nieprzyjemne wirusy, a Louis od razu łapie je od niego. Nas z Moniką jakoś to nie dosięga. A jak zakwaterowanie? Podoba się wam?
- Bardzo dobrze. Chłopcy mają trzy pokoje dwuosobowe a ja też mam dwuosobowy, ale z dużym podwójnym łóżkiem. Dobrze. Na wypadek, jakbym jakiejś młodej Żydówce wpadł w oko.
- Tylko uważaj, bo tu za te rzeczy z nieletnimi to można długo posiedzieć.
- Przecież wygłupiam się. Czy ty myślisz, że nie wytrzymam jednego miesiąca bez mojej Viktorii? Ja już mam czterdzieści osiem lat i sama zobacz jakie siwe włosy.
- Wytrzymasz. Przyjdź do nas jutro na obiad.
- Wolę na kolację, bo pracujemy co najmniej do siedemnastej. Jak zaczyna się ściemniać to dopiero schodzimy.
- To w takim razie jutro o osiemnastej. W niedzielę też pracujecie?
- Dzień w dzień. Mało jest czasu, a jeszcze to wszystko trzeba spiąć i uruchomić do dwudziestego marca.
- Ale chyba zdążycie?
- Jest duża szansa.
- Bo wiesz, to trochę i na mnie ciąży.
- Nic się nie martw. Damy radę.

Robert pierwszy raz był w ich domu. Bardzo mu się podobało. Każdy miał swój pokój i każdy świetnie urządzony.

- Musisz nieźle zarabiać w tej firmie sestro.
- Jakoś leci. Na dom zarobię, ale jeszcze wpadliśmy na pomysł, że budujemy dom na Cyprze. Koło Larnaki. Trzysta metrów do plaży. Dom jest duży, rodzinny i będziemy tam zapraszali wszystkich, którzy zechcą odpocząć nad morzem. Powietrze tam jest cudowne.
- Pewnie dostałaś trochę pieniędzy od mamy.
- No tak. Trochę dostałam, a trochę posiłkujemy się kredytem.
- Ja też dostaję czasem okrągłą sumkę od mamy. Jest mi głupio od niej brać, ale ona

tak je daje, że jeszcze bardziej głupio byłoby odmówić.

– Mama się martwi, że nikt nie jest chętny wziąć po niej tego biznesu rozrywkowego. Weszła w ten biznes nie znając się zupełnie na tym, a teraz już nie daje rady i chętnie przekazałaby go komuś. Darek tak się ustawił, że jego firma świetnie prosperuje, a tak się składa, że on cały czas jest tam głównym ogniwem i najważniejszym szkoleniowcem.

– Maja właściwie mogłaby.

– Tak, ale ona chyba jest za delikatna do takiej roboty. Tam cały czas trzeba mieć do czynienia z gliniarzami, z gangsterami, z dilerami narkotyków, z prostytutkami i wszelką miejscową hołotą, którzy potrzebują się obłowić obojętnie czyim kosztem. To chyba nie jej klimaty. Po tym incydencie z Zygmuntem Ciemińskim, już nie da się jej namówić na cokolwiek, co łączy się z gangsterami.

– Najwyżej, jak już nie będzie miała siły tego ciągnąć to sprzeda swoje udziały i już.

– Nie tak łatwo je korzystnie sprzedać. Ona ma już sześćdziesiąt osiem lat. Dobrze, że teraz nie jest sama w tym wielkim domu.

– No tak. Dołączył do niej ten Piotr z Wrocławia. Owdowiał, smutno mu było samemu, więc wynajął swój dom, a sam przyłączył się do naszej mamy. Teraz widzę, że są razem szczęśliwi. On jej pomaga nawet w tym biznesie. Jak już skończymy ten nasz dom na Cyprze i zaprosimy wszystkich, to dopiero będzie wspaniale. Już na samą myśl się cieszę. Mamy sobie wszyscy tyle do powiedzenia, że miesiąca nie wystarczy.

– Wszystkich to pewnie tam nie pomieścicie.

– Pomieścimy. Sam dom ma ponad sześćset metrów a jeszcze za ogrodem zamierzamy zbudować taki lekki letni domek przy altanie. Tam też będą cztery pokoje gościnne i kuchnia.

– Masz jakieś zdjęcia?

– Oczywiście. Siadaj tu, przy komputerze i oglądaj.

– No to powiem, że zaimponowaliście mi.

– Takie domisko i to jeszcze w takim miejscu.

– Ten letni domek zamierzamy wykorzystywać tak, że znajomi znajomych i przyjaciele przyjaciół też będą mogli tam przyjeżdżać i korzystać z uroków tamtych miejsc.

– Tak za darmo?

– Jedni za darmo, inni niekoniecznie. Zależy co nas łączy z daną osobą.

– Na pewno wy możecie przylecieć i mieszkać za darmo, jak długo zechcecie. Ale już twoi przyjaciele, będą musieli coś zapłacić. Wiadomo, że domek trzeba utrzymywać w czystości, naprawiać, prać pościel i ogólnie dbać o wszystko, płacić pokojowej, sprzątacze i ogrodnikowi, dlatego za osoby trzecie, będę pobierała jakąś opłatę. Jeszcze nie wiem jaką, ale na pewno mniejszą niż hotel.

– Ale tego domku letniego jeszcze nie ma na zdjęciach.

– Nie. Bo on jest na razie tylko w głowie. Potem powstanie do niego projekt, a na końcu sam domek.

– Mam świetny projekt na duży domek letniskowy. To byłby czworak. To znaczy, że ma cztery wejścia niezależne na każdej ścianie wejście i cztery okna. Od dużego pokoju, od mniejszego, od łazienki i od kuchni. Mogą tam mieszkać jednocześnie cztery rodziny i każda ma oddzielne wejście.

– On jest na planie kwadratu?

– Tak. Ja kupiłem ten projekt i już jest mój. Jak chcesz to poproszę Viktorię i ona go tu zaraz przyśle.

– Myślałam o dwóch wejściach. Ale w tej sytuacji, może dam się przekonać, że cztery

wejścia będą lepszym rozwiązaniem.

– Przecież nawet jak będziesz miała tam jakichś pracowników zakwaterować, to lepiej żeby każdy miał swój klucz i oddzielny kąt, niż jakby się mieli gnieździć razem.

– Pisz do niej, niech przysyła ten projekt.

Przyjemny rodzinny wieczór przerwał telefon Zebi. Dzwoniła Sara. Koniecznie chciała się spotkać, jeżeli to możliwe jeszcze dzisiaj.

– Przyjechał do nas mój brat z Budapesztu, ale skoro to takie pilne, to przyjedź.

Sara musiała być gdzieś w pobliżu, bo już po dziesięciu minutach dzwoniła do drzwi.

– Co się stało Saro?

Przywitała się z Robertem i nie zaczynała swojego opowiadania. Obawiała się, że to co ma do powiedzenia niekoniecznie powinno być przeznaczone dla uszu Roberta.

– Bez obawy Saro. Mój brat nie zna ani jednego słowa po hebrajsku. Możesz mówić śmiało.

– To co powiem jest najściślejszą tajemnicą. Dobrze?

– Dobrze. Przysięgam, że ode mnie nic nie wyjdzie.

– Nie uwierzysz, ale mój były mąż, Arno Mosel, wiesz przecież, bo wiadomo, tamte sprawy. Został przyłapany w Rzymie na profesjonalnym fotografowaniu jakiegoś bardzo cennego dzieła. Chodzi o obraz. Zamiast spokojnie się z tego jakoś wyplątać to on tego ważnego dostojnika kościelnego co go nakrył na fotografowaniu bez zgody biskupa, zaczął okładać statywem. I to nie jakoś zwyczajnie, jakby chciał go tylko odpędzić, ale podobno lał go tak, jakby chciał go zabić. Nie wiadomo skąd pojawili się karabinierzy i aresztowali Arno. Ponieważ miał przy sobie włoski paszport, znaczyło, że jest obywatelem Włoch i można z nim postępować jak z każdym Włochem. Tamtego odratowali i zażądał przebadania swojego napastnika w szpitalu psychiatrycznym. Na komisariacie też zachowywał się bardzo agresywnie więc wezwali karetkę ze szpitala psychiatrycznego. Przyjechali dwaj potężni sanitariusze, zapakowali go w kaftan bezpieczeństwa i wywieźli. Policja pozbyła się kłopotu, a on teraz przebywa już ponad tydzień w tym szpitalu i dostałam od niego list błagalny, że jak go nie wydobędę stamtąd to oni go tam ukatrupią.

– A może opłaca ci się Saro, żeby oni go tam ukatrupili.

– Nie. Nie opłaca mi się.

– On jest bardzo potrzebny Berechowi. Przyznam się w tajemnicy, że mnie też czasem się przydaje. Po tej ugodzie, stał się zupełnie fajnym facetem. Zresztą teraz wychowujemy syna oboje. Tak jak zostało zapisane w ostatnim wyroku sądowym. On już za nim tęskni, a jego nie ma dopiero drugi tydzień.

– A jakim sposobem jemu udało się wysłać list do ciebie?

– Jak to jak? Podobno przekupił jakiegoś sanitariusza. Dał mu swój piękny sygnet za pomoc w wysłaniu tego listu. Twierdzi, że jest to szpital prowadzony przez zakonników i zakonnice katolickie, a on jako ten który napadł na biskupa może pożegnać się z szansą na wyjście stamtąd na własnych nogach. Grożą mu, że go zabiją. Dostaje mnóstwo proszków i zastrzyki. Przywiązują go do łóżka na całe dni. Udało mu się w ostatniej chwili ukryć ten pierścień i wyzbył się go za umożliwienie wysłania listu. Sanitariusz nie przeczytał, bo nie znał naszego języka, więc w dobrej wierze kupił znaczek i wysłał.

– A znasz Saro adres, gdzie jest ten szpital?

– Znam tylko nazwę. Ex Manicomio Santa Maria della Pietà.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Chciałabym, żebyś mi pomogła go uwolnić z tego okropnego miejsca.

– Jaka kwota wchodzi w grę?

- No nie wiem. To ty powiedz.
 - Twój mąż jest w dalszym ciągu człowiekiem niezwykle majątnym. Jeżeli teraz znalazł się w poważnych tarapatkach i żadna siła na świecie nie jest w stanie wyciągnąć go z nich, to nie będzie kurczowo trzymał się tego majątku który posiada.
 - Też tak myślę.
 - Zatem poleć do Rzymu. Do tego szpitala zawiezie cię taksówka, tam poproś o spotkanie ze swoim mężem.
 - Ale to jest mój były mąż.
 - Ani ty, ani on nie macie tego namalowanego na czołach. Ty dalej nosisz jego nazwisko, a w paszportach nie jest napisane jakiego kto jest stanu cywilnego.
 - No nie jest. Ale oni mnie tam nie wpuszczą.
 - Akurat tak się składa, że pieniądze otwierają każde drzwi. Jeszcze się tego nie nauczyłaś? A tobie pieniędzy nie brakuje z tego co wiem.
 - I co dalej jak się już z nim spotkam?
 - Powiedz mu, że wydobyć go z tego gniazda szerszeni będzie go kosztowało dziesięć milionów.
 - Dolarów?
 - Oczywiście. Przecież nie lirów.
 - Nie da tyle.
 - Jak nie da, skoro w perspektywie ma dożycie w katolickim wariatkowie. Ma wpisane w akta, że pobił biskupa, a u nich jest to grzech śmiertelny. Oni go nie wypuszczą stamtąd nawet, jakby dawał im dwa razy tyle. Prawdopodobnie pieniądze by wzięli, a potem za bramą capnęli by go i z powrotem wpakowali na oddział.
 - Mogliby tak zrobić?
 - Oczywiście. To ty widać nie wiesz jak działa ta ich *mafia kościelna*. Przecież to są katolicy. Nie dociera to do ciebie? Ich chciwość nie ma sobie równych.
 - I ty Zebi to mówisz? Przecież ty jesteś z katolickiego kraju.
- W Polsce krążył mit, że to Żydzi są chciwi, ale one już wiedziały, że jest na odwrót. Chrześcijanie na pewno byli chciwi, chociaż chciwość, to drugi grzech główny.
- Co mu odwaliło, żeby się tak wplątać.
 - Sprawa jest prosta. Ty lecisz do Rzymu, dogadujesz się ze swoim byłym. On musi się zgodzić, bo wiadomo, że nie ma innego wyjścia, wracasz i przelewasz na moje konto pięć milionów ze swoich zasobów.
 - Ze swoich?
 - Przecież jak on wyjdzie na wolność, to przeleje ci ustalone dziesięć milionów.
 - A jak nie zechce?
 - Posłuchaj Saro. Jeżeli ja potrafię wyciągnąć go z tego szpitala, to równie dobrze potrafię go tam z powrotem dostarczyć. I nie zawaham się tego zrobić jeżeli opóźni się z wpłaceniem ci pieniędzy, chociażby o jeden dzień.
 - Zostawiam cię na razie z moim bratem, bo ja muszę iść do synka. Słyszycie jak się wydziera? On nigdy nie śpi dłużej niż dwie godziny. Potem budzi się. Robert mówi po angielsku. Pogadajcie sobie, ja zaraz przyjdę. Rozrabia i wydziera się przez następne dwie godziny i znowu zasypia na dwie następne.

* * *

Arno Mosel przyleciał do Rzymu w poniedziałek, 14 lutego 2000 roku. Był to dzień Świętego Walentego, a jego włoska przyjaciółka i kochanka w jednym, miała akurat na imię Valentina. Uwielbiał jej młode jędrne ciało. Za każdym razem jak przylatywał do Rzymu, to ona przyjeżdżała po niego na lotnisko jego jaguarem, który dawał jej do użytku na czas, jak jego nie było we Włoszech. Jego pobyty to w sumie jeden lub dwa miesiące rocznie, więc piękna Valentina miała jaguara dla siebie przez większość czasu. Mieszkanie w Rzymie które ona zajmowała, także należało do niego. Był to wygodny, czteropokojowy apartament, na ostatnim piątym piętrze w bardzo ładnie utrzymanej kamienicy, niedaleko Centrum. Teraz właśnie Valentina dostała kolejny wspaniały prezent od Arno. Kolczyki z brylantami. Skoro Walenty był patronem zakochanych to jego pięknej Albance prezent należał się, bo przecież byli w sobie zakochani. On też dostał prezent. Valentina pracowała w banku i dostała od jednego z klientów – wielbicieli, pakiet dziesięciu tysięcy fałszywych studolarówek. Klient powiedział jej, że to są pieniądze fałszywe, tym niemniej podrobione tak znakomicie, że tylko w banku można je rozpoznać, używając profesjonalnych przyrządów, a tak normalnie to są one wykonane na potrzeby filmowców i na banderoli są napisy f a l s y f i k a t. Niektórzy biznesmeni i inni szpanerzy używają ich do podpalania cygar, żeby robić wrażenie na gościach. Arno, ucieszył się z prezentu i wyjął kilkanaście, może ponad dwadzieścia banknotów z pakietu, napisał na każdym maleńką literkę „f” ołówkiem i schował sobie do portfela.

- Co będziesz robił z nimi?
- Nie wiem jeszcze, ale chyba trochę się zabawię cudzym kosztem.

Jak zwykle po przyjeździe do Rzymu, Arno z Valentiną nie wychodzili z łóżka przez dwa dni. W mieszkaniu zainstalowanych było w ukryciu sześć najwyższej klasy aparatów fotograficznych i dwie super nowoczesne kamery. Wszystko było perfekcyjnie zamaskowane. Miniaturowe studio ukryte było za fałszywą ścianą o której Valentina nic nie wiedziała. Arno przy okazji każdego przyjazdu zbierał dyski z nagraniami i zakładał nowe w czasie, kiedy Valentina była w pracy. Wejście było perfekcyjnie zamaskowane i za nic na świecie nie mógł sobie pozwolić na to, żeby odkryła jego tajemnicę. Nagrywało się wszystko co Valentina robiła w mieszkaniu podczas jego nieobecności i wszystko to co robili razem. Aparaturę włączał czujnik ruchu. W mieszkaniu było ich po kilka w każdym pomieszczeniu, ze względu na zainstalowany alarm, więc nie wzbudzały w Valentinie żadnych podejrzeń. Miał później materiał porównawczy, ale skrzętnie ukrywał to, że jest zazdrosny. Nasycenie seksem nastąpiło dopiero we środę, 16 lutego. Valentina poszła do pracy po dwudniowym „ataku grypy żołądkowej” jak to nazwała. Trzeciego dnia po swoim przyjeździe do Rzymu, w czwartek, 17 lutego 2000 roku, Arno spakował się i pojechał taksówką do hotelu. Uznał, że jeżeli będzie potrzebował przespać jeszcze jedną noc, to robi to w hotelu. Valentina pomyśli, że już wyjechał. Umówili się, że tyle jej płaci i dostaje takie drogie prezenty, ma do dyspozycji wygodne mieszkanie i elegancki samochód, a w zamian zero zdrad. Pracę w banku również zawdzięczała jemu, bo to on obdarował w odpowiednim momencie prezesa bardzo drogim (pozornie oczywiście) obrazem. Zabrał swój sprzęt i pomaszerował do muzeum watykańskiego Pinakoteka. Upatrzył sobie tam już wcześniej kilka dzieł, które postanowił dokładnie obmierzyć i sfotografować. Mógł to zrobić oczywiście całkiem legalnie, ale muzeum zawsze chciało wiedzieć kto fotografuje obrazy i czemu te zdjęcia mają służyć w przyszłości. Prawie zawsze chcieli za to pieniądze, albo umowę o udział w zyskach. On nie chciał jednak tym razem ujawniać swojej tożsamości i wyjaśniać dlaczego to robi, ponieważ jego nazwisko było już rozpoznawalne w niektórych kręgach i to w kontekście skrajnie negatywnym, to takiej zgody mógłby nie dostać, albo ta zgoda mogłaby kosztować tyle, że

opłacalność transakcji byłaby mocno wątpliwa. Sam fakt, że to właśnie on się tym interesuje mógłby sprowadzić mu na głowę kłopoty. Przyjeżdżali turyści i fotografowali wszystko jak swoje, a on, obywatel włoski miałby się tłumaczyć, że chce sobie pstryknąć fotkę. Musiał jednak użyć statywu, dwóch lamp, a lustrzanką którą wyciągnął z torby nie mógłby zamydlić oczu nikomu, że chciał sobie pstryknąć zwykłą fotkę turystyczną. Nie było akurat nikogo i Arno błyskawicznie rozstawił sprzęt wykonał serię zdjęć, spakował już prawie wszystko do torby. Został mu tylko statyw w rękę i miarka rozsuwana w drugim. Torba była już na ramieniu. Do sali wszedł jakiś duży człowiek. Czerwony na twarzy i pół głowy miał łysej a z tyłu, od uszu w dół obwarzanek z siwych loków. Wszedł i od razu zaczął krzyczeć i wyzywać Arno od najgorszych. On przyzwyczajony był do agresywnych zachowań różnych stróżów dzieł sztuki i na wszystko zawsze miał dobre wytłumaczenie. Tamten jednak energicznie podszedł do niego i dalej beształ go nie ścisząc głosu, pomimo bliskości, jaka już w tym momencie była między nimi. Darł się mu prawie do ucha. Arno zauważył, że jegomość ma koloratkę. Zatem był księdzem, a zachowywał się jak wieśniak, któremu krowy weszły na pole.

– Trochę ciszej panie ksiądz.

Tamtego zatkało. Zamilkł na moment, bo takiego zestawu słów dawno nie słyszał. Jeszcze dawniej, jak był młodym księdzem i jeździł do Jerozolimy, to zdarzało się, że tamtejsi Żydzi zwracali się do niego w ten sposób. – „panie ksiądz”. Przyjrzał się z zaciekawieniem jego rysom twarzy i dostrzegł semicki akcent. Dopiero wtedy wykpiął. Zrobił się jeszcze bardziej czerwony niż przed chwilą i zaczął krzyczeć ze zdwojoną siłą głosu:

– T y – ż y d o w s k i – p a r c h u ! Jak śmiesz wchodzić do mojego muzeum i fotografować bez mojej zgody?!

– Żydowski parchu? A – t y – k l e c h o – z a s r a n y ! Będziesz mi tu jakieś zakazy...!

Nie skończył bo biskup (akurat tak się złożyło, że ów ksiądz był właśnie biskupem), wymierzył fotografikowi potężnego klapsa w twarz, że aż spadła mu torba z ramienia, a miarka poturlała się w drugi koniec sali. Zatoczył się i stracił równowagę, ale nie upadł. Ksiądz zmierzał już w jego stronę z zamiarem dokończenia dzieła i przyłożenia mu swoją wielką jak kilogramowy bochenek chleba dłonią, a może dostałby serię z dwóch, raz z prawej, a raz z lewej, albo nie daj Boże z obu jednocześnie, (tak rosyjscy KaGieBowcy ogłuszali przesłuchiwanym). Jedno uderzenie i torturowany już nigdy nic na własne uszy nie usłyszał). Uznał, że jak odbierze takie trzy albo cztery uderzenia to pozbawią go na długi czas przytomności. Już po jednym uderzeniu ledwie stał na nogach. Od drugiego zasłonił się statywem, który akurat trzymał w prawej ręce. Strzał został zamortyzowany i Arno pozbierał się. Ksiądz nie odpuszczał i próbował trafić go z boku, ale Arno już stał porządnie na swoich nogach. Grał często w tenisa i doskonale wiedział jak posługiwać się rakieta tenisową. Statyw od aparatu za bardzo nie różnił się od rakiety tenisowej, ani wagą, ani długością, więc wycelowanie statywem w czubek łysej głowy, nie przedstawiało dla Arno żadnego problemu. Pierwszy z forhendu drugi z bekhendu, trochę krwi na łysinie i ksiądz pokonany leżał na podłodze. Teraz trzeba było już tylko bezszelestnie wymknąć się z muzeum. Wrócił po miarkę, bo byłby to tylko niepotrzebny ślad. To opóźnienie, spowodowało, że już po minięciu pierwszych drzwi ujrzał dwóch strażników, minął się jednak z nimi, a oni wpadli do sali i zobaczyli powalonego na podłogę biskupa. Gdyby nie miał śladów krwi na łysinie, to mogliby pomyśleć, że zasnął, ale w tej sytuacji rzucili się biegiem za Arno. Dopadli go już po chwili, wykręcili mu ręce i sprowadzili na dół. Na parterze pojawił się policjant z kajdankami. Arno został skuty do tyłu (co okazało się niezwykle bolesne) i sprowadzony do radiowozu. Strażnicy przekazali fotografika żandarmom rzymskim, a wcześniej zrelacjonowali im, że ten

osobnik pobił do krwi, po głowie biskupa tym statywem który właśnie jeden z nich, trzymając go przez folię, wręczył żandarmowi. Radiowóz z Arno w środku ruszył na komendę żandarmerii w Rzymie na sygnale i z błyskającymi lampami na dachu. Na komendzie sprawdzono wszystko co miał przy sobie i stwierdzono, że jest obywatelem włoskim i zajmuje się zawodowo fotografią. Miał stały meldunek w Rzymie i miał tu swoje własne mieszkanie z dwoma telefonami. Jeden z żandarmów który przeglądał jego rzeczy zapytał:

- Po co panu dwa telefony?
- Jeden to fax, a drugi do rozmawiania.
- Mieszka pan sam, czy z kimś? Pomieszkuje u mnie jedna kobieta, ale nie na stałe.
- Nie jest tam zameldowana?
- Jest.
- Imię i nazwisko tej kobiety.
- Valentina Phranan.
- Jak to się pisze?
- Proszę mnie rozkuć, to pokażę.
- Obędzie się. Zapiszę tak jak słycać Franan, a potem się najwyżej poprawi.

Żandarmi wyszli i zostawili go tak skutego do tyłu. Nic nie wskazywało na to, że pozwolą mu coś zjeść, wypić, albo chociażby skorzystać z toalety. Do pomieszczenia w którym był już przesłuchiwany weszła młoda kobieta. Miała płomienne rude włosy, śnieżnobiałą skórę i piegi na nosie. Ubrana była w ciemne skórzane spodnie i kowbojskie buty do pół łydki. Biała koszula przy tym dodawała jej jeszcze urody. Siedział tam już ponad godzinę i jak weszła, to on aż wstał, bo takie niesamowite wrażenie zrobiła na nim.

- Proszę usiąść. Będziemy rozmawiali o tym co zdarzyło się w muzeum.

Rozłożyła ceremonialnie paletkę z kartami z przesłuchania. Dłuższy czas milczała, tylko coś pisała. Przerzucała kartki i co jakiś czas spoglądała Arno prosto w oczy, swoimi łagodnymi sarnimi oczkami.

– Czy wie pan, panie Mosel – powiedziała ruda policjantka z udawaną uprzejmością – że jest pan oskarżony o popełnienie przestępstwa ciężkiego pobicia dostojnika kościelnego w randze ministra Państwa Watykan? I dlatego może pan odmówić składania zeznań. My, jako policja włoska występujemy tu właściwie tylko zastępczo i nie mamy prawa przetrzymywać pana dłużej niż czterdzieści osiem godzin, jeżeli nie dostaniemy dokumentów z aktem oskarżenia od władz Watykanu. – w tym momencie z pięknej rudowłosej ślicznotki zmieniła się w drapieżną kocicę, a jej przesympatyczne sarnie oczy zmieniły się dwa ziejące ogniem miotacze. Odtąd jej głos zniżył się i nabrał chropowatej barwy, a tonacja, to co najmniej baryton:

– Ale nie radziłabym panu korzystać z prawa do nieskładania zeznań. Ma pan mówić wszystko po kolei jak było. Czy został pan pouczony przez któregoś z moich kolegów, że to co od tej pory pan powie...

– Tak została mi odczytana obowiązująca formuła, ale zanim zacznę coś mówić, to chciałbym iść do toalety, napić się kawy i zjeść przynajmniej drożdżówkę.

- Dobrze. – powiedziała rudowłosa policjantka już normalnym głosem.

Wstała i poprosiła dwóch kolegów, żeby zajęli się potrzebami pana Arno. Po kwadransie już oboje siedzieli z powrotem na tych samych miejscach, tylko Arno miał kajdanki teraz zapięte na lewą rękę, a drugi koniec zapięty był do specjalnego ucha na słupku wmurowanym w podłogę koło stołu. To było niezwykle uciążliwe, bo nie sięgał ręką do stołu i nie mógł jej swobodnie opuścić, żeby zwisała, bo wysokość słupka była tak wyliczona, że można było rękę położyć tylko na nim, a to z kolei wymuszało potwornie niewygodny skręt

ciała. Kombinował jak umiał, żeby było mu najwygodniej siedzieć, ale nie dało się. Był to rodzaj pozornie niewinnej tortury, ale przesłuchiwany już po godzinie miał niewyobrażalne bóle kręgosłupa. Przy stoliku obok usiał chudy i niski żandarm, który pisał wszystko co Arno mówił, na komputerze. Poza tym obok rudej policjantki, na statywie stała włączona kamera.

– Teraz już może pan mówić?

Arno mówił w zasadzie całą prawdę, chociaż niektóre rzeczy lekko przeinaczał na swoją korzyść, chociażby to, że zdjęcia nie miały być do celów profesjonalnych, ale skoro już jest fotografikiem i już i tak ma odpowiedni sprzęt, to chciałby mieć zdjęcia najwyższej jakości. Nie wspomniał również o tym, że został „parchem żydowskim” i że biskup został „zasranym klechą”. W głowie kołatała mu się teraz już tylko jedna myśl. W hotelu zostały dyski ze zdjęciami i filmami z jego mieszkania. Nawet on nie zdążył jeszcze ich przejrzeć. Jeżeli obsługa hotelowa znajdzie ten materiał to jego życie dalej już nie będzie miało sensu. Co będzie jak o wszystkim dowie się Valentina i Sara? A jeżeli Sara to może to również obejrzeć ich syn i reszta rodziny. Zastanawiał się, czy bardziej bał się tego, że zobaczy to Valentina czy Sara i rodzina i doszedł do wniosku, że ta druga opcja byłaby straszniejsza. A jeżeli ktoś złośliwie umieści cały ten materiał w internecie? Mogą go przecież jacyś ludzie szantażować do końca życia. Będzie już zawsze pracował na pasożytów – szantażystów. Jego stan psychiczny odmalowywał mu się coraz wyraźniej na twarzy.

– Czy był jakiś szczególny powód, że pobił pan czcigodnego biskupa Ferrinę tym narzędziem po głowie? Bo obdukcja wykazała, że zadał mu pan sześć ciosów, a u pana nie widać żadnych śladów walki.

– Biskup mnie spoliczkował.

– Czy wykonując to policzkowanie powiedział coś, czy tylko podszedł i wymierzył panu ten jak widać kontrowersyjny policzek.

– Tylko krzyczał coś niezrozumiale.

– Czyli mam rozumieć, że biskup coś krzyknął, podszedł, poklepał pana po buzi, a pan odwdzieczył mu się ciężkim pobiciem, z którego on może nie wyjść żywy?

– Jak to? Wcale go mocno nie uderzyłem. Chciałem tylko obronić się przed człowiekiem który przekroczył moim zdaniem wszystkie obowiązujące zasady współzycia międzyludzkiego. Zachowywał się jak bokser, tylko zamiast pięściami, to uderzał otwartymi dłońmi.

– Po panu nie widać żadnych śladów złamania jakichkolwiek zasad, natomiast biskupa próbuje odratować cały zespół najlepszych włoskich chirurgów. Jak biskup umrze, to może pan dostać nawet dwadzieścia pięć lat, bez możliwości skrócenia kary.

W tym momencie Arno spociał się, chociaż w pomieszczeniu nie było za ciepło. Wyraźnie żandarmeria oszczędzała na ogrzewaniu niektórych pomieszczeń. Młody żandarm siedzący przy komputerze odebrał telefon i przekazał następującą informację:

– Pani komisarz. Przyjechał strażnik z muzeum, który był naocznym świadkiem zdarzenia.

– Ależ tam nikogo nie było! – wrzasnął Arno.

– Myli się pan. Był jeden świadek i właśnie do nas dotarł. Zapraszamy panie Sergio Catabaloun. Proszę powiedzieć co pan widział?

Strażnik wyglądał jak Turek, albo jakiś Arab. Był lekko przygarbiony i miał bardzo zadziorny wygląd. Przekrzywił głowę jak zdziwiony pies i szyderczo szczyrzył zęby. Z miny i całego oblicza tego typu nie można się było spodziewać niczego dobrego. Spoglądał na Arno spode łba i nie wróżyło to niczego dobrego. Kiwał potakująco głową i stwierdził, że to właśnie

ten mężczyzna rzucił się ze statywem fotograficznym na biskupa Ferrinę z zamiarem pozbawienia go życia.

– Czy słyszał pan wcześniejsze krzyki i agresywne zachowanie biskupa w stosunku do tego pana?

– Skądże. Biskup krzyczał tylko z bólu jak ten człowiek mu zadawał ciosy, ścigając go po całej sali i uderzając statywem w głowę raz za razem. Jak biskup już leżał i nie ruszał się, to on jeszcze bił go. Dopiero jak usłyszał, że nadchodzi pomoc, to zebrał swoje rzeczy i uciekał.

– Dziękujemy panu Sergio. Jeżeli będzie toczyła się sprawa w sądzie, to zostanie pan wezwany jako świadek naoczny zdarzenia.

Sergio wychodził, a Arno krzyczał za nim tak, jakby to mogło jeszcze coś zmienić:

– To jest całkowita nieprawda! Tak nie było! Ten cały Sergio kłamie! Jego nawet tam nie było!

Teraz pani komisarz zmieniła ton i zaczęła z Arno rozmawiać jak z dzieckiem:

– Czy mógłby nam pan wyjaśnić, panie Mosel, dlaczego pan to zrobił? Chciałabym wiedzieć, czy istniał jakiś logiczny powód popełnienia tak karygodnego czynu?

– Oczywiście, że istniał. Uratowałem swoje życie. Ten niebezpieczny niedźwiedź, co nazywacie go, pewnie przez jakąś pomyłkę biskupem, zabiłby mnie gołymi rękami. Jeżeli spoliczkowałby mnie jeszcze kilka razy, w taki sposób jak to zrobił, to z pewnością nie miałbym wielkiej szansy na przeżycie. Zadziałałem w obronie własnej. Każdy człowiek ma prawo do samoobrony.

– To interesujące. Świadek mówi, że to pan był agresorem, a pan próbuje odwrócić sytuację i wmówić mi, że to biskup nim był.

Nastąpiła pauza. Pani komisarz coś cały czas zapisywała, a żandarm przy komputerze właśnie odebrał następny telefon.

– To do pani komisarz. – odebrała i zaczęła rozmawiać z kimś, kto mógł być jej przełożonym, albo był to ktoś z Watykanu:

– Tak. – Potwierdzam. – Typowy zespół wyparcia. – Proszę przysłać tego psychologa.
– Oczywiście, że zaczekamy. – Do zobaczenia.

Dowódca straży watykańskiej informował, że biskup czuł się lepiej i pojawiła się szansa, że z tego wyjdzie. Arno dostał podwieczorek i miał poczekać na psychologa który miał dotrzeć na komisariat, z polecenia dowódcy straży watykańskiej.

– To tak naprawdę jest ich sprawa. My tylko zwyczajowo pomagamy. Tak jak mówiłam, mamy prawo zatrzymać pana u siebie tylko czterdzieści osiem godzin. O dalszych pana losach zadecyduje rozmowa z psychologiem, który zaraz pojawi się tu. Ten psycholog jest obywatelem państwa Watykan.

Znów został przykuty do rurki z uchem. Ból kręgosłupa o którym na chwilę zapomniał, natychmiast powrócił. Psycholog już czekał. Był to mężczyzna w średnim wieku, lekko szpakowaty, włosy nażelowane i zaczesane do tyłu, ale niektóre niesfornie próbowały wstać i robiło to wrażenie, jakby miał coś z jeżozwierza. Żandarm przy komputerze dalej tam tkwił, a kamera właśnie się włączyła.

– Dzień dobry. Jestem doktor Vittorio Dagoiretti. Jestem watykańskim psychologiem. Czy może mi pan powiedzieć coś, czego jeszcze tu nie mówiono? Coś co chciałby pan powiedzieć na swoją obronę. To co pan już powiedział i to co powiedział świadek już wiem. Natomiast chciałbym usłyszeć coś szczególnego co pozwoli mi nabrać przekonania, że jest pan człowiekiem całkowicie normalnym.

– Obawiam się, że gdybym opowiedział panu całą prawdę, którą zresztą pan zna, bo

przeczytał pan już to wszystko, to i tak uznałby mnie pan za obłąkańca. Taka jest pewnie pańska rola w tym wszystkim.

– Rzeczywiście. Biorąc pod uwagę raport jaki przeczytałem o urazach jakich doznał nasz czcigodny biskup Ferrina, będę musiał uznać pana za człowieka nie zrównoważonego psychicznie niezależnie od tego jakich słów pan dobierze i co pan wymyśli na swoją obronę.

– No to sam pan sobie już odpowiedział na wszystko, zatem uważam naszą rozmowę za zakończoną.

Nastąpiła długa pauza. Obaj panowie mierzyli się wzrokiem, tak jakby próbowali przetrzymać jeden drugiego w liczbie minut wytrzymanych bez mrugnięcia. Doktor próbował dopytać Arno, czy już leczył się psychiatrycznie, może na depresję, a może tylko zasięgał w przeszłości porad psychologa? Wszystkiemu zaprzeczał.

– Zaprzeczanie nic nie da. I tak wszystkiego się dowiemy.

– Niestety. Nic takiego mi się nigdy nie zdarzyło. Jestem całkowicie normalny i zdrowy. Każdy człowiek ma prawo do samoobrony w chwili napaści na niego.

– To dlaczego w czasie tej obrony uderzył pan biskupa, aż sześć razy? Od jednego uderzenia tej maczugi, którą w zeznaniu nazywa pan statywem, już podobno biskup leżał na podłodze i nie ruszał się.

Arno dalej konsekwentnie zaprzeczał. Opowiedział po raz kolejny jak było. Twierdził uporczywie, że uderzył go tylko dwa razy, a to dlatego, że po pierwszym uderzeniu on jeszcze ponowił atak na niego. Po drugim już leżał, rzeczywiście i w tym momencie mógł się pozierać i próbować uciec. Doktor twierdził, że obdukcja wykazała co innego, jest w tej sprawie raport i niemożliwe by było, żeby trzech lekarzy chirurgów którzy się pod tym podpisali mogli kłamać. Wmawiał mu, że pozostałe cztery ciosy które zadał biskupowi, musiał wyprzeć z pamięci. Świadek twierdził, że bił leżącego biskupa statywem po głowie i on akurat miał to zeznanie przed sobą.

– To się zdarza miły panie, ale jest to na szczęście uleczalne. Proszę jednak nie robić sobie fałszywych nadziei. Leczenie psychiatryczne uchroni pana przed wieloletnim więzieniem i to jest pańska jedyna szansa na przetrwanie, bo za napaść na biskupa, to współwięźniowie zamęcząliby pana tam bardzo szybko. Nie ma pan pojęcia jak ceniony jest ten biskup przez ludzi z półświatka.

– Chyba nawet wiem dlaczego. Sam wyglądał i zachowywał się jakby był z tego właśnie półświatka.

– No cóż. Z całą stanowczością stwierdzam u pana niepoczytalność.

To słowo wybrzmiało w głowie Arno jak wystrzał z armaty. Zawisło w powietrzu i grzmiało jak niekończące się echo: Niepoczytalność, niepoczytalność, niepoczytalność. Przed oczami przelatywały wszystkie kobiety jego życia, a Valentina, siedziała za kierownicą i spoglądała teraz z pogardą przez uchyloną szybkę jego jaguara. W uchu wisiał jej kolczyk z brylantami, a pomalowane jaskrawo czerwoną szminką usta, wypowiadały bezgłośnie jedno słowo: Wariat, wariat, wariat. Przejeżdżała wolniutko obok radiowozu w którym on siedział skuty do tyłu, a ona wystawiła w jego stronę dłoń z wysuniętym środkowym palcem. Był bardzo zdenerwowany. Całe jego myślenie w tej chwili skupiało się na tym, żeby w następnej fazie przesłuchań nie dać się zapędzić w koziego róg. W głowie rozbrzmiewało teraz tylko jedno słowo: Ostrożność, ostrożność, ostrożność. Przede wszystkim i ponad wszystko. Ostrożność i opanowanie. Doktor pochylił się nad dokumentem, który zaczął skrupulatnie wypełniać. Liczył on kilka stron, a doktor wcale się nie śpieszył. Dotarł wreszcie do końca, podpisał się i przystawił pieczętkę. Uśmiechnął się sztucznie do Arno i wyszedł, a on siedział pogrążony w swoich myślach przez następne dwie godziny, przykuty do diabelskiej rurki. Ruda policjantka

chwyciła od razu ten dokument i pomaszerowała z nim do swojego pokoju. Ze strachu zasychało mu w ustach i co kilka minut popijał. Butelkę wody już prawie opróżnił i znów chętnie poszedłby do toalety, ale nikogo przy nim nie było, żeby mógł domagać się rzeczy oczywistych. Tą pełną oczekiwania atmosferę przerwało nagłe wejście do pokoju dwóch ubranych na biało, potężnie zbudowanych facetów. Każdy, to co najmniej sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi. Za nimi weszło dwóch żandarmów. Rozkuli go i zabrali kajdanki. Arno zaczął się rozprostowywać i ćwiczyć kręgosłup. Biali jegomości, szybko przystroili go w fartuch z niewymiarowo długimi rękawami, ułożyli ręce na piersiach na krzyż i rękawy zawiązali na plecach. Podnieśli go, i jak piórko i wyprowadzili na korytarz.

– Siku mi się chce.

Jednego z białych rozbawiło to bardzo i tylko syknął mu do ucha:

– Szczyj w gacie wariacie.

Jeden z żandarmów podszedł z torbą Arno i podał ją jednemu z sanitariuszy mówiąc:

– To są jego rzeczy. Statyw i filmy z aparatów zabraliśmy, na wypadek, gdyby doszło do sprawy w sądzie. Sędzia, na podstawie diagnozy doktora Dagoretti wydał zgodę na odwiezienie go do waszej kliniki.

– Samochód – sanitarka do przewozu osób niebezpiecznych przypominał plastikowy pojemnik z wyprofilowanymi siedziskami. Widać było, że sprzątanie w nim polega na wejściu sanitariusza z karscherem. Dwie minuty i posprzątane, cokolwiek by się tam wcześniej nie wydarzyło. Dojechali do szpitala po około godzinie jazdy. W plastikowej klatce w której jechał, a ręce miał unieruchomione, nie było okien. Na każdym zakręcie przewracał się i spadał z tej śliskiej ławeczki. Miał rozbity i zakrwawiony nos i wargę od ciągłego spadania na podłogę. W czasie jazdy nauczył się, że jak samochód ruszał, to musiał się zapierać nogami, żeby nie spaść na podłogę. Nie wiedział dokąd go przywieźli. Udało mu się nie oddać moczu w samochodzie, ale już na miejscu ledwie wytrzymał. Sanitariusze wyprowadzili go z samochodu, wprowadzili do budynku i o dziwo odpakowali go ze zniewalającego fartucha. Oznaczało to, że tu już mógł żyć bez kajdanków i fartucha wariackiego. Przebierał nogami jak chłopczyk w przedszkolu.

– Chciał pan do toalety?

– Tak.

– Proszę bardzo. To są tamte drzwi.

Wszedł do środka. Normalna szpitalna toaleta, z kabiną dla normalnych i drugą dla inwalidów, ze wszystkimi udogodnieniami nawet dla takich którzy jeżdżą na wózkach. Poczł się nareszcie jak normalny człowiek. Odświeżył się, umył nos i czoło z krwi i brudu z podłogi sanitarki. Po kwadransie wyszedł. Na zewnątrz czekał już tylko jeden sanitariusz. Teraz pójdziemy pana zarejestrować, przebierze się pan i będzie mógł pan porozmawiać z lekarzem.

– Świetnie. Bardzo się cieszę. Właśnie mam mu sporo do powiedzenia. Zapraszam tędy. Sanitariusz wskazał Arno drogę do pomieszczenia w którym dostał szpitalne ubranie.

– Czy bieliznę swoją mogę sobie zostawić? Tak oczywiście. Jeżeli uważa pan, że może mu się przydać, to proszę bardzo.

Teraz miał przez chwilę dostęp do swojego bagażu, więc odszukał ręką zwój studolarówek z literką f i przebierając się w strój przypominający dres ukrył go niepostrzeżenie w majtkach z przodu. Zamiast butów dostał wygodne klapki z grubą podeszwą. Czuł się w tym dość dobrze i swobodnie. Do skarpetki zdążył schować swój sygnet, z którego był bardzo dumny. Traktował go jak amulet i liczył, że tu może mu się przydać i jeszcze przyniesie mu szczęście. Na swoje ubranie dostał torbę z suwakiem, a

siostra która przyjmowała torbę od niego zapięła przywieszkę plastikowym paskiem, następnie spytała o imię i nazwisko. Wpisała je na przywieszce i poszła z tym wszystkim do magazynu. Skomentowała jego imię, że jest takie samo jak nazwa rzeki koło Florencji. Arno potwierdził i przyznał, że to jego ojciec pochodził z tamtych stron i był zakochany w tej rzece. Wraz z sanitariuszem wyszli na korytarz, poszli nim do końca, następnie stanęli przed drzwiami na których wypisana była lista lekarzy przyjmujących w tym gabinecie. Nie wiadomo który z nich był aktualnie do dyspozycji, ale może to nie było dla Arno teraz najważniejsze. Ważne, że pojawiła się szansa na rzetelne przedstawienie swoich racji. Sanitariusz zapukał do drzwi. Po chwili drzwi otworzyły się i ukazała się w nich głowa pół człowieka, pół kozła. Zapadnięte oczy, długi szpiczasty nos z lekkim wygarbieniem na środku, skośne czoło i wydłużone ciemię. Wargi grube i wygięte do dołu, co sugerowałoby wieczne niezadowolenie, albo smutek. Włosy czarne poprzepłatane pasemkami siwizny zaczesane do tyłu. Na środku głowy sterczała niesforna kępa srebrnych i czarnych włosów, upodabiająca go jeszcze bardziej do kozła. Od zwierzęcia odróżniały go niewątpliwie okulary w grubych oprawkach z czarnego plastiku. Przez szkła, jego oczy wydawały się dwa razy większe niż normalne oczy ludzkie. Wąsy zasłaniające częściowo górną wargę i kozia bródka podkreślały jeszcze bardziej jego zwierzęcość. Arno nie wiedział czy to monstrum zabeczy, czy odezwie się ludzkim głosem. Na szczęście bardziej jednak przypominał człowieka i zamiast się odezwać wysunął przez szparę w drzwiach prawą, nieprawdopodobnie owłosioną rękę w stronę nowego pacjenta.

– Jestem doktor Joachim Pomprado. Będziemy od dzisiaj współpracowali.

Pielęgniarka podała doktorowi teczkę Arno i pozostał za drzwiami a doktor wciągnął pacjenta Arno Mosela do środka i posadził na krześle naprzeciwko swojego biurka.

– Panie doktorze. – zaczął nieśmiało Arno, postanawiając zachować jak największy spokój. – muszę z panem porozmawiać.

– Jak każdy kto tu do mnie przychodzi. Jak każdy panie Mosel. To nie jest włoskie nazwisko. Jakiego pan jest wyznania?

– Co ma nazwisko, do wyznania panie doktorze?

– Dla mnie ma. A szczególnie dla sprawy która tu pana sprowadziła.

– Ale ja mam właśnie w tej sprawie coś szczególnego do powiedzenia.

– Nie teraz, dogi panie Mosel. Nie teraz.

Doktor Pomprado czytał wszystko co było w teście na temat nowego pacjenta. Czytał i czytał. Nawet dzieciak z pierwszej klasy przeczytałby tych parę zdań już kilkadziesiąt razy. Zniecierpliwienie pojawiło się u Arno tak niespodziewanie, że być może spowodowane było zwierzęcym wyglądem doktora. Gdyby przed nim siedział normalny, klasyczny człowiek, to na pewno nic niebezpiecznego nie ulęгло by się w jego racjonalnej głowie. Ale ten doktor – kozioł nie mógł przecież mieć nad nim, aż takiej przewagi.

– Chciałem na wstępie zaznaczyć, że jestem fotografikiem... .

– Nie teraz, drogi panie. Nie teraz.

Znowu czytał od nowa, jakby chciał tych paru zdań nauczyć się na pamięć. Minęło następne pół godziny i Arno znów zatęsknił za toaletą. Chciał jednak skorzystać z okazji i skoro już jest u prawdziwego lekarza to powiedzieć przynajmniej jak wygląda sprawa i jak został w to wszystko wrobiony. Jak ohydnie kłamał świadek, rzekomo naoczny i jaki kłamliwy jest protokół z obdukcji biskupa. Przecież tak naprawdę nie ma innego sposobu, tylko on musiał stąd jeszcze dzisiaj wyjść. Przecież tam były jego filmy i zdjęcia z mieszkania. Nawet nie wiedział, co ta Valentina wyprawiała pod jego nieobecność dwu i półmiesięczną. – *Aparatura automatycznie włączała się jak w mieszkaniu pojawiały się dźwięki i wyłączała się*

jak ucichły. Tam jest wszystko nagrane. Jest przecież bardzo atrakcyjna. Może pieprzyła się z dyrektorami swojego banku, może z członkami rządu, albo z biskupami, a już nie daj Boże z kardynałami. To wszystko mogło wyciec. Pojawi się w internecie i co to będzie? Co można by było zrobić, żeby wyjść stąd. Cholera. Musi być jakiś sposób. – Arno postanowił działać:

– Otóż sprawa wygląda tak, że... – doktor jednak nie dał się zbić z tropu i nie podniósł na pacjenta nawet wzroku na tą następną zaczepkę słowną. Powiedział tylko:

– Później mój drogi, później porozmawiamy, proszę o cierpliwość.

Doktor wstał od stołu i zaczął krążyć po gabinecie. W pewnym momencie podszedł do Arno i położył mu ręce na głowie. Niecierpliwie czegoś szukał, aż w końcu namacał jakąś starą bliznę jeszcze z dzieciństwa. Nacisnął lekko jednym palcem.

– Czy to pana boli?

– Nie. – odpowiedział zgodnie z prawdą Arno.

On rozgarnął jego włosy obejrzał tą bliznę i nacisnął tym razem z całej siły.

– A teraz?

– Teraz czuję, że pan doktor naciska mi na głowę dość mocno, ale każde miejsce naciśnięte z taką siłą mogłoby zboleć.

– Zadałem pytanie. Boli czy nie!

– Boli.

Doktor wrócił na swoje miejsce wyjął arkusz jakiejś ankiety i zaczął wpisywać w niego różne znaczki. Pisał, pisał i pisał. – *Jedno bzdurne naciśnięcie na głowę, a dwie strony opisu. To przecież on jest wariat a nie ja.* – Uznał, że to może już być ostatnia szansa na wyłuszczenie swojego stanowiska i już miał podjąć temat na nowo, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i zapytał:

– Czy ja mógłbym w tym czasie skorzystać z toalety?

Doktor automatycznie nacisnął guzik pod biurkiem a do gabinetu wpadł w jednej sekundzie sanitariusz. Spojrzał pytająco na doktora, a on powiedział tylko jedno słowo:

– Kibel.

Już po chwili sanitariusz prowadził Arno do tej samej toalety na drugim końcu korytarza co poprzednio. Wrócili pod gabinet, a sanitariusz od razu służalczo pochylił się jakby w ukłonie przed mającym się za chwilę ukazać w drzwiach doktora i zapukał. Reakcja była taka sama jak poprzednio. Drzwi uchyliły się natychmiast na tyle, żeby mógł zmieścić się w nich koźli łeb doktora. Zlustrował pacjenta i ze zdziwieniem zapytał:

– To znowu pan?

– Tak ja właśnie chciałem... – znowu nie dokończył, bo doktor złapał go tym razem za gumkę w dresowych spodniach i gwałtownie wciągnął do środka zaglądając mu jednocześnie bezszczerze do majtek. Doprowadził go do krzesła na którym siedział poprzednio. Arno nie siadał, bo postanowił na stojąco wygłosić chociaż jedną kwestię, którą już od ponad godziny chciałby przekazać doktorowi.

– Proszę usiąść. Wszystko widziałem. Nikt normalny nie okręca sobie członka studolarówkami, a pan to robi. Potrafi pan jakoś to wytłumaczyć? Proszę usiąść.

– Nie. Tym razem postoję i powiem panu doktorowi na stojąco wszystko to co mam właśnie do powiedzenia.

– Czy pan myślał, że my tu mamy sklep, w którym można płacić dolarami? A może wymyślił pan sobie, że nasze pielęgniarki, to są nierządnice?

Arno stał i czekał na sposobność, żeby wygłosić swój przygotowany w myślach monolog. Doktor tymczasem zszedł go z tyłu wbił mu swoje chude paluchy w ramiona i wepchnął w krzesło jak nauczyciel niesfornego ucznia. Tym razem zabołało go to zarówno fizycznie jak i

psychicznie. Poczł się zniewolony. Poderwał się natychmiast na równe nogi i znów chciał wygłosić swoją kwestię i nawet coś dodać co właśnie sobie przypomniał, ale doktor był szybszy i właśnie nacisnął swój ukryty przycisk pod blatem biurka. Do gabinetu w jednej sekundzie wpadł sanitariusz, chwycił Arno w taki sposób, że ten nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Ponieważ właśnie przestał się wyrwać, sanitariusz posadził go na krześle, a doktor-koziół rozsiadł się swoim fotelu. Kiwnął na sanitariusza, że jest wolny, ale jeszcze wydał mu polecenie:

– Proszę, żeby pan sprowadził tu jak najszybciej siostrę Jolandę i może jeszcze siostrę Sylwię.

Po pięciu minutach obie siostry stały przed doktorem. Obie były zbudowane jak zawodniczki sumo.

– Proszę spojrzeć drogie siostry, jak nasz pacjent zapakował sobie sprytnie członka.

Obie siostry sięgnęły jednocześnie do kieszeni wyjęły z nich rękawiczki gumowe i nałożyły na dłonie. Potem jedna z nich chwyciła Arno pod pachy, postawiła na nogach, skrępowała mu ręce jakimś specjalistycznym chwytem, a ta mniejsza bez skrępowania zajrzała mu do majtek. Wyjęła z nich zwój studolarówek zaciśnięty gumką. Położyła pakunek na stole doktora. Tamta puściła Arno, obie jednocześnie zdjęły rękawiczki gumowe, skłoniły się służalczo doktorowi i wyszły.

– Czy jak już pan pobił prawie na śmierć naszego czcigodnego biskupa Ferrinę to poczuł się pan lepiej?

– Ależ ja od początku, jak tylko tu wszedłem, to chciałem powiedzieć, że to jest całkowicie niezgodne z prawdą. Ja wcale biskupa nie pobiłem, a już na pewno nie żadną na śmierć.

– No nie, bo lekarze, okazali się cudotwórcami i na szczęście odratowali czcigodnego biskupa–ministra. Ale to wcale nie zmienia faktu, że dokonał pan swojej prywatnej syjonistycznej zemsty.

– Dalej panie doktorze! Idąc tym torem myślenia, za chwilę przyjdzie panu do głowy jeszcze wiele innych, bardzo złych rzeczy! Zdecydowanie wypraszam sobie ten antysemityzm.

Arno poczerwieniał na twarzy i bał się co prawda znów poderwać na równe nogi, ale miał na to szczerą ochotę. Doktor miał z takimi wybuchami do czynienia prawie codziennie i wcale nie przejął się jego wzburzeniem, a nawet wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Jestem gotów zapłacić panu natychmiast, znaczy jutro z samego rana jak tylko otworzą banki, milion dolarów za uwolnienie mnie stąd.

– Proszę się uspokoić. Zrobię panu teraz zastrzyk, po którym poczuje się pan znacznie lepiej.

– Tylko nie zastrzyk! Nie pozwalam! Nie zgadzam się na żaden zastrzyk! Daję dwa miliony dolarów. Jutro z samego rana!

– To ja widzę, że w takim razie muszę panu zaaplikować podwójną dawkę.

Doktor wydał wargi, dzięki czemu teraz już zupełnie upodobił się do kozła i bez żadnych emocji wyjął z lodówki stojącej za nim strzykawkę z igłą i fiolkę z jakimś płynem. Odłamał końcówkę i napełnił strzykawkę płynem.

– To naprawdę bardzo bezpieczny zastrzyk.

Widać było, że Arno jest gotowy rzucić się na doktora w obronie własnego ciała przed dźgnięciem igłą przez doktora–kozła. Siedział jednak na krześle i kręcił się niecierpliwie. Tamten odłożył na chwilę strzykawkę na przygotowaną gazę, podszedł do pacjenta ze śmiałością i zupełnym spokojem, następnie ujął jego lewą rękę i podwinął rękaw. Odszukał w

zgięciu najlepszą żyłę, zdezynfekował cały obszar w miejscu które miało być nakłute. Zawiązał gumkę nad przegubem, żeby żyły uwydatniły się bardziej. Potem chwycił strzykawkę, powolutku wkuł się w żyłę, odpiął gumkę i wprowadził całą treść strzykawki w krwioobieg nowego pacjenta. Wyrzucił strzykawkę z igłą do specjalnego pojemnika i wrócił na swoje miejsce.

– Proszę mi powiedzieć. Jaki jest pański stosunek do kobiet?

– Normalny. Miałem żonę, mam z nią syna, teraz mam kochanki i przyjaciółki. Może będę jeszcze kiedyś miał żonę i może jeszcze jedno dziecko, nie wiem. Życie pokaże. Ale jutro rano muszę stąd wyjść i płacę gotówką, tak jak powiedziałem!

– Czy spekuluje pan, że uda się panu stąd wyjść jeszcze w czasach kiedy będzie pan zdolny do spółdzenia drugiego dziecka?

– Myślę, że nie stało się nic takiego co będzie upoważniało was do przetrzymywania mnie tu dłużej niż kilka dni. Ale tak jak mówiłem, jeśli wypuści mnie pan doktor jutro... to..., jak już mówiłem... .

– A tu się pan myli. Kilka miesięcy trwa na ogół rozpoznanie choroby. Potem jak już wiemy na co pacjent jest chory i ustawimy mu leki to terapia trwa ładnych parę lat, a w przypadku naszego szpitala i w przypadkach takich jak pański na ogół ona już nigdy się nie kończy.

– Jak to? Mam tu spędzić resztę życia?

– Tak może się zdarzyć, ale niech się pan nie przejmuj, prawie połowa naszych pacjentów to mordercy albo przynajmniej samobójcy.

– Ja nawet nie wiem gdzie ja jestem.

– Taka wiedza jest panu na tym etapie całkowicie zbędna. Powiedziałbym nawet, że byłaby szkodliwa.

Arno znów chciał się poderwać i dać wyraz swojemu oburzeniu, ale jakoś nie udało mu się. Miał nogi jak z waty. W głowie robiło się pusto i sam już nie wiedział co się z nim dzieje.

– Wrócimy do tej rozmowy jutro.

– O nie. Nigdy już nie będę chciał z panem rozmawiać doktorze. A miał pan okazję zostać jutro rano milionerem.

– Być może, chwała Bogu, że nie zostałem.

Za plecami Arno stał pielęgniarz i właśnie przymierzał się do przełożenia pacjenta z krzesła, z którego i tak zaraz by spadł, na wózek, który wprowadził wchodząc do gabinetu.

– Teraz odwiozę pana do pokoju w którym będzie pan na razie z innym pacjentem, a później jak pan zechce, to dostanie pan swój pokój.

* * *

W piątek, 18 lutego 2000 roku, Sara mogła rozmawiać z Robertem twarzą w twarz, jak Zebi oddaliła się do drugiego pokoju nakarmić Maksa. Już po kilkunastu minutach zauważyła, że ten mężczyzna z każdą chwilą coraz bardziej jej się podoba. Jego gesty i szczery uśmiech rozbrajały ją. Wiedziała, że zaraz wejdzie Zebi i wszystkie myślokształty które sobie wybudowała w swojej wyobraźni rozsypią się na popiół i drugiego spotkania z Robertem mogłaby się już nie doczekać. Postanowiła przejąć inicjatywę. Zaczęła od pytań:

– Przyjechałeś odwiedzić siostrę Robercie?

– Nie o to chodzi. Odwiedzam ją przy okazji. Ja tu pracuję. Dostałem kontrakt na wykonanie instalacji związanej z pielgrzymką Ojca Świętego w marcu.

– No tak. Słyszałam o tym, że on ma tu być. Jesteś samotny, czy masz kogoś?

- Tu akurat jestem samotny, ale tam gdzie mieszkam to nie jestem sam.
- A tu gdzie mieszkasz?
- Niedaleko. Jakiś pół kilometra stąd. Dlaczego pytasz? Chcesz mnie odwiedzić?

Sara uśmiechnęła się od ucha do ucha i nawet przyklasnęła radośnie. On to dostrzegł i jejmu również coś zaiskrzyło na taki wyraz entuzjazmu. Uśmiech również pojawił się na jego twarzy. Dotknął jej ręki, a ona położyła drugą dłoń na jego. W ten sposób, automatycznie przybliżyli się do siebie. Nastąpił pocałunek. Od tej chwili i on i ona, już oboje mieli nieprzepatą ochotę całować się i nawet pójść dalej, ale w drugim pokoju już słychać było, że Maks prawdopodobnie znów usnął i Zebi zaraz wyjdzie. On oddalił się z powrotem na sofę, a ona poprawiła się i dalej sączyła napój ze szklaneczki.

- Jakbyś mnie zaprosił to oczywiście.
- To zapraszam cię choćby dzisiaj. W takim razie ja wyjdę pierwsza, a ty jakieś pięć minut po mnie. Mój samochód to błękitne bmw które stoi po drugiej stronie ulicy. Właściwie to podjadę parę metrów dalej, żeby nie było widać z okna jak wsiadasz do mojego samochodu.
- Super. Jesteśmy umówieni.

Weszła do pokoju Zebi z synkiem na rękach. Spojrzała najpierw na Sarę, później na brata i już wiedziała, że coś się wydarzyło przez tą krótką chwilę jak jej nie było. Wiedziała, że Sara jest szybka, jeśli chodzi o romansowanie, a Robert był takim mężczyzną, który w każdej zapoznanej kobiecie widział swoją kochankę. Wyczuła, że państwo już się dogadali i za chwilę urwą się, każde oddzielnie, ale na pewno za chwilę spotkają się na zewnątrz i pojedą do któregoś domu, albo do hotelu.

- Maks się najadł i teraz chciałby przywitać się z gośćmi. Pomachaj im Maksiu.
- A gdzie jest Louis z Moniką?
- Ona jest na urodzinach u swojej koleżanki, a Louis siłą rzeczy razem z nią. Jak poczekać jeszcze trochę to oni zaraz wrócą.
- Nie. Niestety ja już muszę iść. Całuję was serdecznie. Pewnie spotkamy się jutro.
- No dobrze. Spotkajmy się jutro.

Sara wyszła, a Robert spokojnie dopił swoją kawę i dokończył sałatkę. Dokończyli też rozmowę i Zebi w kilku zdaniach opisała swoją znajomą, Sarę, która właśnie wyszła. Właściwie, wszystko co o niej powiedziała to same pochwały.

- Wiesz, chyba też już pójde, jestem taki zmęczony. Pewnie muszę się położyć bo mimo kawy, to głowa mi opada. Przyjdę jeszcze.
- Dobrze, leć i odezwij się jak znajdziesz trochę czasu dla rodziny.

Robert wyszedł i rozejrzał się za błękitnym bmw. Stał zaparkowany dwadzieścia metrów dalej. Wsiadł i przyjrzał się Sarze jeszcze raz. Była od niego sporo młodsza, ale widać nie przeszkadzało jej to. Była może odrobinę za puszysta, ale za to bardzo piękna. Nachylił się i pocałował ją w usta. Nie zdążył jednak cofnąć głowy, bo Sara uchwyciła ją i przyssała się do przystojnego Węgry namiętnie. Teraz już prawdziwie i bez strachu, że zaraz wejdzie Zebi i nakryje ich. Zapachniała mu tak, że już nie byłby w stanie cofnąć się. Tymczasem Zebi wysunęła się z Maksem na rękę na balkonie na tyle, że widziała jak Robert wsiadał do błękitnego bmw i jak od razu zaczęli się tam całować. Wróciła do domu, bo Maksowi zaczęła znów opadać główka. Najadł się i znów dopadła go senność. Sara miała już do czynienia z Węgrem i wiedziała, że oni są świetnymi kochankami:

- Podobasz mi się ty węgierski diable.
- Ty mnie również.
- No to jedźmy do ciebie.

- A dlaczego nie do ciebie?
- Bo tam jest mój syn z babcią. Głupio by wyglądało. Syn myśli, że jego mama nie ma teraz już żadnej potrzeby spotykania się z mężczyznami. Wiesz jacy zazdrośni są jedenastolatki.
- Teraz w lewo i aż do końca tej ulicy a potem w prawo. Już jesteśmy.
- Jak powiedziałaś, że chcesz mnie zaprosić jeszcze dzisiaj, to aż zakipiło mi coś w brzuchu i kipi do tej pory. Mam nadzieję, że wszyscy Węgrzy są mistrzami w gaszeniu takich pożarów. Bardzo ładny pokój. A jakie świetne łóżko. Teraz to ty mnie już stąd nie wygonisz. Sama uciekniesz.
- Dlaczego tak myślisz?
- Jak jestem zmęczony, to chrapię jak cholera.
- A dzisiaj jesteś bardzo zmęczony?
- Jeszcze nie, ale zamierzam zaraz porządnie się zmęczyć.

Sara wykonała pierwszy krok. Znowu przyssała się do niego. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, zaczęła energicznie manipulować przy jego pasku od spodni. Poczuł jej język niecierpliwie wpychający mu się w usta, a jej dłoń odnalazła drogę przez wszystkie przeszkody ubraniowe i objęła jego czołogę. On również nie ociągał się, tylko ściągał z niej kolejne części garderoby. Wskoczyli do łóżka. Sara rozłożyła nogi i wyciągnęła do niego ręce jakby chciała powiedzieć. – Chodź do mnie.

Robert gwałtownie przyciągnął ją do siebie i powoli zaczęli się kochać. Ciche okrzyki które wydawała, bardzo go podniecały. Oboje zadbali o to, żeby wieczór był udany. Około północy Robert zasnął. Zaraz potem jego chrapanie rozbrzmiewało na cały pokój. Rzeczywiście, spanie obok niego byłoby niemożliwe. Ubrała się i przygotowała do wyjścia. Obudziła go.

- Zamknij za mną Robercie?
- Ach tak. Już idziesz?
- Niestety tak.
- Przepraszam jeżeli chrapałem.
- Nic nie szkodzi. I tak muszę już iść.

* * *

W piątek, 18 lutego 2000 roku, Sara zadzwoniła do Zebi już następnego dnia z samego rana.

- Jesteś w pracy?
- Tak.
- O której masz przerwę, żebym mogła podjechać.
- Możesz podjechać w każdej chwili. Ja robię sobie przerwy wtedy kiedy sama chcę.
- Zatem podjeżdżam i będę w tej kawiarni na dole, w której już kiedyś byliśmy razem. Będę za kwadrans.
- Część. Co ja mam robić?
- Kupić bilet do Rzymu, tam wziąć taksówkę, kazać się zawieźć do tego szpitala, wejść i zażądać spotkania ze swoim mężem.
- A jak mi odmówią?
- To powiesz, że zaraz wrócisz tu z policją i z przedstawicielem naszej ambasady, bo twój mąż jest obywatelem Izraela.
- Nie da się. On tam jest jako obywatel włoski. Pojechał ze swoim włoskim paszportem.

– To zrób to wszystko inaczej, przekonaj ich datkiem dobroczynnym, który i tak okaże się łąpówką. Ale myślę, że nie będą odmawiali spotkania się małżonków.

– Dobrze lecę jutro rano i będę z tobą w kontakcie.

Sara wyleciała do Rzymu w sobotę, 19 lutego 2000 roku. Na Zebi zważyło się jeszcze tego samego dnia tyle pracy operacyjnej, że wróciła do domu bardzo późno. Louis już się niepokoił. Nigdy w soboty nie pracowała. Owszem, zdarzało jej się pojechać na krótko do pracy w niedzielę, ale w soboty nigdy. Teraz był w ich firmie stan wyjątkowy. Przygotowywali się do tej pielgrzymki Ojca Świętego i mieli w związku z tym tyle pracy i już zapowiedziała, że będzie przychodziła codziennie trochę później.

– To twoje dzieci zapomną jak wyglądasz.

– Mam tego świadomość Louis, ale musimy zrobić wszystko, żeby nie zabili papieża u nas. Niech sobie zabiją go gdziekolwiek indziej, byle nie u nas.

– No tak. Przydałoby się, żeby to jednak nie było tu.

Louis nie miał jeszcze tego nawyku nazywania Izraela określeniem „u nas”, jaki miała już od jakiegoś czasu Zebi.

– A czy ty myślisz, że już jacyś groźni, hmm, nawet nie wiem jak ich nazwać, na niego polują?

– Tego nie wiem. Już raz do niego strzelano dziewiętnaście lat temu. Turek, Ali Agca strzelał do niego, ale niezbyt celnie. Trzy kule przeszły przez ciało nie uszkadzając żadnego organu.

– A jak tak śledzisz Zebi te tematy w internecie to widzisz jakieś ruchy, które wskazywałyby na to, że są chętni powtórzyć tą akcję z przed dziewiętnastu lat?

– Oczywiście. Są jacyś ekstremiści, którzy ciągle o tym piszą, ale nie można z kolei rzucać się na każdego, kto coś tam głupiego napisze. Najgroźniejsza jest cały czas ta Al-Kaida. Na nich mamy oko, bo jeśli jakaś grupa tych wojowników przeniknie tu w czasie trwania pielgrzymki, to wiadomo po co. Dlatego z nich głównie nie spuszcza my oka.

Już mieli kłaść się spać jak zadzwonił telefon Zebi. Dzwoniła Sara. Była u Arno. Chciał, żeby dała mu trochę pieniędzy, ale miała przy sobie tylko czterysta dolarów. Zostawiła mu to co miała. Na tamtą propozycję nie zgodził się. Powiedział, że za taką kwotę to on może kupić cały ten szpital.

– I co mu powiedziałaś?

– Nic. Życzyłam powodzenia w kupowaniu i wyszłam.

Zebi kazała jej wracać do domu. Powiedziała, że jemu musi się trochę wyprostować myślenie. Jak zobaczy, że nic bez nich nie zdziała to wróci do stołu negocjacyjnego. Powiedziała jeszcze, że dobrze się stało, na co Sara oburzyła się. Zebi wytłumaczyła jej, że teraz i tak nie miałyby czasu się tym zająć, bo przecież papież przyjeżdża, a jej firma ma z tego powodu trzy razy tyle pracy, a ona nawet jeszcze więcej.

Sara wróciła w niedzielę 20 lutego 2000 roku. Pierwsze co zrobiła, to skontaktowała się nie z Zebi, tylko z Robertem. Wiedziała, że Zebi w niedzielę i tak nic nie zdziała, więc uznała, że Robert jest ważniejszy. Ten Węgier śnił jej się za każdym razem jak tylko na chwilę przysnęła w rzymskim hotelu i tak naprawdę wiedziała już na pewno, że nie miała do tej pory takiego mężczyzny jak on. Zaliczyła najpiękniejszy seks w swoim życiu. Może nie była zakochana, ale coś tak ją ciągnęło do Roberta jak najsilniejszy na świecie magnes. Na pewno było to ostre pożądanie. Miała trzydzieści pięć lat i była w samym środku największego zapotrzebowania na seks w swoim życiu. Taki Węgier to było dla niej jak prezent od samego Pana Boga. Uruchomiła swoją komórkę i zadzwoniła od razu z lotniska.

– Witaj Robercie.

- Cześć.
- Spotkamy się dzisiaj?
- Gdzie?
- Jak to gdzie? U ciebie.
- W tej samej sprawie co poprzednio?
- Tak. W tej samej. Chyba, że coś ci się nie podobało, to nie będę się narzucać.
- Bardzo mi się podobało. Saro, ty możesz się narzucać ile chcesz. O której będziesz?
- Postaram się być przed dwudziestą pierwszą. Jak tylko mój syn zaśnie, to ja się od razu wymknę.

- Zostawiasz go samego?
- Już od trzech lat zostawał sam i nic złego się nie działo. Ojciec się z nim nie patyczkował.

- Dobrze. Czekam na ciebie.

Tym razem seks z Sarą był już mniej spontaniczny. Wszystko było zapięte na ostatni guzik. Światła, wino odpowiednio schłodzone, muzyka w tle, lody i pachnidła. Sara weszła i była mile zaskoczona. Szaleli kilka godzin i jak już Robert przysypiał, to ona ubrała się i wyszła. Przed wyjściem jeszcze obudziła go i kazała, żeby zamknął drzwi. Stała jeszcze chwilę za drzwiami, a on nie zamykał więc weszła z powrotem, obudziła go jeszcze raz, ale tym razem skuteczniej i nakrzyczała na niego.

- Chcesz, żeby tu wtargnął jakiś wściekły Arab i poderznął ci gardło?

Zerwał się na równe nogi. Dotarło do niego nareszcie, że to jest ważne, pocałował Sarę i zamknął drzwi za nią. Minął następny tydzień, a Sara zjawiała się u Roberta co wieczór. Pobyła zawsze do momentu, aż on zaczynał przysypiać i od razu ulatniała się. Po dwóch tygodniach od wyjazdu Sary z Rzymu, w niedzielę, 5 marca 2000 roku zadzwonił do niej Arno ze szpitala. Chciał, żeby wróciła i przywiozła jego książeczkę czekową. Oświadczył, że zgadza się na jej warunki i podpisze czek. Powiedział, że książeczka jest wraz z jego wszystkimi rzeczami w torbie podróżnej w hotelu, z którego nie zdążył się wymeldować. Podał nazwę hotelu i numer pokoju w którym mieszkał.

- Pamiętaj. Masz wziąć z torby tylko klucze od mieszkania i książeczkę czekową. Wszystko inne ma zostać w torbie nietknięte. Zgoda?

- Dobrze. Zgoda.

Sara zadzwoniła do Zebi i zdała jej relację z tej rozmowy. W tą niedzielę Zebi nie pracowała i nie bardzo miała ochotę odbierać telefony, ale Louis zobaczył, że wyświetla się Sara, więc szybko podał jej aparat. Odebrała w ostatniej chwili i zaczęły rozmawiać.

- Skąd on wziął telefon, żeby zadzwonić?

- Udostępnił mu aparat ten sam życzliwy sanitariusz który wcześniej wysłał mu list za sygnet. Teraz dał mu sto dolarów. Mam przyjechać do niego z książeczką czekową i on podpisze czek na moje nazwisko. Zaznaczył, że mam wziąć z torby tylko i wyłącznie książeczkę czekową i klucze od mieszkania. Mam pojechać jutro?

- Nie jedź. Pojedziesz dopiero jak wyjedzie stąd papież. No, może ciut wcześniej, zobaczymy. Dam ci znać dokładnie kiedy. Nie rób nic beze mnie.

- Ale on jeszcze nie przyleciał.

- Zresztą, jak chcesz to możesz polecieć tam jutro, ale potem będziesz musiała lecieć tam jeszcze raz.

- Dobrze. Tak zrobię. Jutro jest poniedziałek 6 marca, lecę tam z samego rana.

- Zadzwoni do mnie, jak już będziesz wylatywała to przyjadę po ciebie na lotnisko w

Rzymie.

- A ty jutro tam będziesz?
- Tak się składa, że będę i nawet będę miała samochód.
- Papież wróci cały i zdrowy do Watykanu, a my zajmiemy się sprawą pana Arno.
- To jeszcze dwa tygodnie. Ty wiesz co oni mu zrobili?
- Co mianowicie?
- Jak powiedział lekarzowi, że mógłby kupić cały ten szpital i nawet nie poczułby

dużego uszczerbku na koncie, to ten wredny lekarzyna zaordynował mu elektrowstrząsy.

– Ooo. To musiał się nieźle nawygłupiać. To jeszcze nic takiego Saro. Oni potrafią robić dużo gorsze rzeczy. Tym najbardziej niesfornym pacjentom, potrafią wyciąć kawał mózgu.

- Ale on mówi, że od tego czasu chodzi z pieluchą, bo nie kontroluje zaworów.

Pielęgniarze zemścili się na nim, bo pierwszego dnia znaleźli przy nim ponad dwa tysiące dolarów, które miał ukryte w majtkach. Dostali je od doktora i zanieśli do banku. Chcieli wymienić, a bankowiec wezwał policję, bo dolary były fałszywe. Do dzisiaj ich nękają, skąd wzięli te fałszywki, a tamci bali się przyznać, że razem z doktorem obrobili pacjenta. Jak krzyczał, że może kupić ten szpital, to lekarz tylko zapytał, czy aby na pewno zamierza płacić do-la-ra-mi?

– To pomyśl Saro, co się stanie jak mu wytną z zemsty pół mózgu. Nie będzie się umiał podpisać na czeku. Wtedy dopiero będzie przesrane.

- Ty sobie dworujesz a ci faszyści w habitach znęcają się nad ojcem mojego syna.

– Czyżby. A jak ojciec twojego syna lał statywem po głowie biskupa, to nie był faszystą! Otóż był nie tylko faszystą, ale i złodziejem dzieł sztuki, a wielebny biskup chciał go tylko powstrzymać. Myślisz, że jak ojciec twojego syna zgromadził taką ogromną fortunę? Dlatego mianowicie, że jest zło-dzie-jem. Powiesz to swojemu synowi? Że jego tata jest złodziejem? Jest takie niepisane prawo, że okradanie złodzieja nie jest żadnym grzechem, więc spokojnie Saro. Za pieniądze można zadziałać i wydobyć go stamtąd. Jednak jak jest chytry, to niech sobie tam siedzi do śmierci.

Spotkanie Zebi z Sarą nastąpiło w poniedziałek, 6 marca 2000 roku o godzinie dwunastej trzydzieści. Zebi czekała na nią na parkingu w czerwonym audi quarto. Gdy tylko Sara wylądowała, to upewniła się telefonicznie, czy Zebi jest i rzeczywiście czeka na nią. Była. Pojechały prosto do hotelu. Zabrały torbę i udały się do specjalnego pokoju na tyłach recepcji. Sara odnalazła w jego rzeczach dokumenty i klucze, a Zebi niby od niechcienia przeszukała jeszcze dokładniej torbę. Znalazła mały futerał na płyty kompaktowe. Schowała go błyskawicznie pod ubranie i dalej przegarniała ręką zawartość torby, udając, że niczego interesującego nie znalazła. Resztę, zostawiły jeszcze w depozycie i powiedziały recepcjonistce, że pan Arno Mosel niedługo sam się po nie zgłosi. Karabinierzy już wcześniej zgłosili w hotelu, że ich klient jest zatrzymany. Kazali jego rzeczy spakować i przetrzymać w depozycie. Sara dopłaciła tyle ile jeszcze było do zapłacenia. Wyszły z hotelu jak dwie stare przyjaciółki.

- Idziemy gdzieś na obiad?

– Wiesz Saro, o szesnastej z minutami masz lot powrotny do Tel Awiwu więc zabierz się na niego, a ja polecę już, bo mam tu kilka spraw do załatwienia.

- Pojadę z tobą.

– Będzie niezręcznie, bo ja jadę do Watykanu na polskim paszporcie, a ty chyba musiałaś być wyrabiać sobie specjalną przepustkę. To może się nie udać, jak zobaczysz nazwisko w twoim izraelskim paszporcie.

- Dobrze. To spotkamy się w domu. Pruj do tego Watykanu.

* * *

Plan wyprowadzenia Arno ze szpitala i wywiezienia go z Rzymu Zebi miała już gotowy. Prześlędziła wszystko w tym szpitalu. Potrzebny jej był do tego Darek z jeszcze jednym instruktorem z jego zespołu. Już do niego dzwoniła i zgodził się. Miała przygotowany strój siostry cywilnej, obowiązujący w tym szpitalu, odpowiednie peruki, jedną dla siebie i drugą dla Arno. Wkładki na dziąsła zmieniające kształt jej twarzy, które przechowywała jeszcze od czasów brukselskich. Coś musiało się zmienić bo nie bardzo już pasowały. Nosiła te wkładki od kilku dni chodząc po domu i zarówno Louis jak i Monika za każdym razem jak na nią spojrzeli to pękali ze śmiechu. Ona miała być przebrana za siostrę, a on za sanitariusza. Strój dla niego ukryła już na terenie szpitala. Miała również klucz uniwersalny który otwierał każde drzwi w tym szpitalu bez klamek i małą maskę przeciwgazową. Ukradła go już wcześniej sanitariuszowi i ukryła na rusze w kotłowni. Ubranie dla Arno dobrała w sklepie z używanymi ciuchami. Wiedziała również w którym momencie jest na korytarzach największy luz i którędy się przemknąć, żeby nikt ich nie zauważył. Najlepiej było przejść przez kotłownię i magazyn żywności, potem tylnymi drzwiami na zewnątrz, a tam trzeba było przeczołgać się pod siatką przez podkop który zrobił jakiś pies, inne zwierzę lub jakiś uciekinier. Nie była pewna, czy Arno zmieści się w tym podkopie, ale w kotłowni widziała szpadel, to każe mu zabrać i najwyżej będzie go sobie poszerzał. Arno znał świetnie włoski, a ona nie. Mógł wystąpić problem, jakby ktoś ich zaczepił. Rola Darka i jego kolegi była taka, że jak w szpitalu zauważą, że uciekł, to z pewnością ruszy za nimi pościg. Darek i jego kolega mieli wyeliminować z gry pościgowców od momentu jak wyjdą już na zewnątrz, a ona będzie ich wspierała pojemnikiem z gazem który ma dostarczyć Darek i przerzucić przez płot szpitala w umówionym miejscu. Kolega Darka Jacek, miał za zadanie polecieć dzień wcześniej do Wiednia i wynająć dobry, nie rzucający się w oczy, szybki samochód i pojechać nim do Rzymu.

Sara właśnie dojechała taksówką do szpitala i zażądała widzenia z mężem. Przyszedł po pół godziny. Wyglądał jeszcze kilka razy gorzej niż poprzednio. Wrak człowieka. Już nie był to hardy cwaniak Arno, tylko przygarbiony lekko utykający starszy pan. Jak mówił to usta wyginały mu się w sposób niekontrolowany tak jakby miał wykonane znieczulenie w różne mięśnie twarzy. Jednym słowem faflunił tak, że ledwie można go było zrozumieć. Już nie dyskutował i nie mądrzył się głupio, tylko przysunął sobie pod nos książeczkę czekową i długopis, wpisał umówioną kwotę, imię i nazwisko Sary, podpisał i odsunął od siebie książeczkę jak cos parszywego. Ona zgrnęła ją do torby i powiedziała, że cała akcja odbędzie się za kilka dni i ma do tej pory nie robić niczego, co mogłoby spowodować na jego osobie dalsze podłe zabiegi.

- Jak znowu zaczniesz podskakiwać, to wytną ci pół mózgu i nawet nie będziesz wiedział jak się nazywasz. Chcesz tego?
- Nie.
- A tą pieluchę dalej nosisz?
- Nie. Już mi przeszło. Sikałem w gacie tylko przez dwa dni.
- Jeszcze ze dwa takie elektrowstrząsy i będziesz sikał już zawsze. Do końca życia.
- Teraz to i ja to wiem. Nigdy nie pomyślałbym, że coś takiego jest możliwe na świecie, a już na pewno, że w normalnym cywilizowanym kraju.
- To teraz już wiesz. Tu jest szpital katolicki. Najbardziej niecywilizowane miejsce w

Europie. Myślałeś, że będą się tutaj pieścili z Żydem? I to jeszcze z takim, który pobił im biskupa? Ja jadę. Muszę pogonić towarzystwo, żeby się sprężali z tym uwalnianiem ciebie. Czy to są klucze od twojego mieszkania?

– Tak. Było tam coś jeszcze?

– Nie. Zresztą nie wiem. Jak znalazłam klucze i książeczkę czekową to zasunęłam suwak i zostawiłam torbę w depozycie w hotelu. Będzie tam do twojego przyjazdu.

– I nic więcej nie było?

– Nie. A co niby miało być?

– Hmm... Biżuteria w kieszonce.

– Jak tam była, to dalej będzie. Mam nadzieję, że nie jakaś bardzo wartościowa?

– Nie.

– Rozumiem, że muszę tam wejść i wziąć jakiś twój paszport.

– Paszport jest w sejfie. Jeszcze muszę podać ci szyfr do sejfu.

– To podawaj. Ale ja nawet nie wiem gdzie jest ten twój sejf.

Aro zaczął tłumaczyć Sarze jak jest w środku.

– ...meblościanka w pierwszym pokoju, to trzeba nacisnąć na kaptur krasnoludka który jest przymocowany po prawej stronie do półki. Wtedy meblościanka odsuwa się i widać sejf. Jak nie ma prądu, z jakiegoś powodu, to nie odsunie się.

Zapisał jej szyfr do sejfu i kod do drzwi wejściowych.

– Po otwarciu pierwszych drzwi, jest z boku mała wnęka i ukryty w niej dekodery z klawiaturą. Kod raz wprowadzony wyłącza alarm i na moment pojawia się zielona lampka, a wprowadzony po raz drugi uruchamia go i pojawia się również na moment czerwona lampka.

Kazał jej wziąć paszport i nic więcej tam nie ruszać. Miała zamknąć sejf przekręcając tylko rygiel. W jednych i w drugich drzwiach wejściowych były trzy zamki. Otwieranie zamków drugich drzwi, tych wewnętrznych, miało swoją kolejność. Najpierw środkowy, później dolny a na końcu górny. Jak pomyliłaby kolejność to już rozkodowany alarm włączyłby się ponownie. Patrol Sekurited pojawiłby się po pięciu minutach, a syrena wyłaby na całą ulicę. Ochroniarze zakuwają w kajdanki każdego kto przebywałby w pobliżu mieszkania, albo uciekałby, i wzywają policję. Nie dałoby się uciec.

– Zamykanie w tej samej kolejności, czy obojętnie?

– Zamykanie obojętnie w jakiej kolejności.

– Dobrze. Wszystko zapamiętałam. Jadę, a ty trzymaj kciuki, żeby wszystko się udało.

* * *

Wszystkie służby i armia zostały postawione w stan najwyższej gotowości bojowej. Samolot z papieżem wylądował w poniedziałek 20 marca 2000 roku. Od tej chwili już żarty się skończyły. Robert wykonał swoją pracę na piątkę i protokół zdawczy – odbiorczy instalacji podpisano mu od razu po sprawdzeniu wszystkich systemów i zabezpieczeń. Zostawił w firmie współpracującej z nim fakturę na drugą płatność i zbierał się do wyjazdu. Najbardziej wzruszona tym była Sara. Płakała i wieszała mu się na szyi. Początkowo Zebi za bardzo tego nie rozumiała. Myślała, że to tylko normalna przygoda, a tymczasem tam pojawiło się coś więcej. Byli kochankami, ale widać było, że są również zakochani w sobie. Przynajmniej Sara w nim. Nadszedł czas rozstania, być może już na zawsze i Sara nie mogła się z tym pogodzić. Po jego minie Zebi nie widziała wielkiego żalu. Prawdopodobnie on stęsknił się już za swoją Viktorią i rozstanie z Sarą wcale nie było mu takim wielkim ciężarem. Zebi znała go doskonale, ale minęło trochę lat i brat mógł się zmienić. Będąc już w domu, wieczorem,

wrzuciła pierwszą płytę do komputera i zdębiała. Traf chciał, że do jej pokoju wszedł Louis. Też stanął jak wryty.

- Co to ma być kochanie? Pornole oglądasz w samotności?
- Nie. To były mąż Sary, Arno Mosel, w swoim rzymskim mieszkaniu, ze swoją ulubioną Albańską kochanką.
- Ten co go trzymają w wariatkowie?
- Tak ten sam.
- A ta Lolitka to chociaż pełnoletnia? No tak, bo już jest po studiach i pracuje. W jakimś rzymskim banku i ma stanowisko wicedyrektora.
- To powiem, że bardzo młodo wygląda. Ale numery. Chcesz z tym coś zrobić?
- Nie wiem. Tego materiału filmowego jest tu na tydzień oglądania ciurkiem. Wygląda na to, że ona miewała tam codziennie po kilku amantów. Nieraz dołącza do nich jakaś druga dziewczyna o egzotycznych, azjatyckich rysach twarzy. To co wyrabiają na tych filmikach z klientem to szczyt pornografii. Na żadnym filmie erotycznym, które dotąd oglądałam, nie widziałam takich scen. Widziałam jeszcze coś. Ona brała za to pieniądze. To widać na kilku filmach. Jednym słowem, to jest ekskluzywna prostytutka, obsługująca wysokich dostojników, za bardzo duże pieniądze. Klientów może mieć ilu zechce, bo pracując w banku, ciągle ma z nimi do czynienia. Samych zdjęć jest jeszcze kilka tysięcy, a filmów, takich po pół godziny do godziny jest również ze sto. Wszystko dzieje się w tym jednym rzymskim mieszkaniu. To jest mieszkanie tego fotografika Arno, byłego męża Sary. Zrobił sobie tam niezłe ukryte studio. Mam wszystko co tam było nagrane. On też tam przewija się od czasu do czasu jako jej wierny kochanek. Na razie chowam to do naszego sejf. Kiedyś może sobie to obejrzymy.

* * *

W czwartek, 23 marca 2000 roku, Sara pojechała do mieszkania swojego byłego męża w Tel Awiwie. Weszła do środka i oniemiała. Takiego przepychu nie spodziewała się. Sama bardzo podwyższyła ostatnio komfort swojego życia, ale nigdy nie przyszyłoby jej do głowy tworzenie w mieszkaniu takiego luksusu. Wyglądało tak, jakby jego celem życiowym było wszystkich odwiedzających go szokować zbytkiem. Nie odmówiła sobie spenetrowania każdego kącika w mieszkaniu. Potem otworzyła sejf i znalazła paszport bez większego trudu. Pozostałe rzeczy, to trochę gotówki w szklach i dość dużo w dolarach. Ponadto całe mnóstwo pudełek z kliszami szeroko obrazkowymi. Wyjęła jedno pudełko i zaczęła przeglądać. Były to zdjęcia obrazów. Arno fotografował głównie obrazy. Było również pudełko negatywów z nagimi kobietami w różnych pozach. Z negatywu trudno odgadnąć co to były za kobiety, może znane, a może nie. Były również klisze z nagimi dziećmi. To już Sarze nie podobało się. – *...ten stary świntuch fotografował nawet gołe dzieci? Dlatego bał się, że zajrzą do tych pudełek. Bał się kompromitacji.* – Zastanawiała się, czy powinna komukolwiek o tym powiedzieć, czy nie, a jeżeli mówić to komu? A może zabrać to i trzymać jako dowód rzeczowy przeciwko niemu jak coś mu kiedyś odwali. Postanowiła nie zabierać. Jak zabierze, to on już w tym momencie jest czysty, a ona mając to u siebie stanie się w razie jakiejś wpadki podejrzaną. Poukładała wszystko dokładnie tak jak było, zabrała tylko paszport i zamknęła sejf. Rozejrzała się jeszcze raz po mieszkaniu, włączyła alarm i zamknęła podwójne drzwi. Postanowiła, że jak zapyta, to powie mu, że wzięła tylko paszport i nic innego nie dotykała. Nie ujawni, że wie o tych wszystkich negatywach które on posiada w swojej kolekcji. Z drugiej strony, to jest mnóstwo obrazów, na których widnieją nagie kobiety i nagie

dzieci. Może te fotografie mają służyć malarzom do ich twórczości, a Arno dostarcza im wysokiej klasy zdjęć. Dzięki temu nie muszą walczyć o modeli i modelki. Doskonale wiedział, że zanim dotarłoby do śledczych, dlaczego i po co trzymał zdjęcia nagich dzieci to trochę by posiedział, dlatego tak się bał Sary, że zajrzy i pomyśli o nim złe rzeczy. Zrozumiała to wszystko i postanowiła milczeć. Wiedziała, że Zebi nie ruszy się z działaniem, dopóki nie pojawi się na jej koncie w banku połowa tego co Arno wypisał na czeku. Zamówiła bilet na lot do Nikozji i następnego dnia, w piątek 24 marca poleciała zrealizować czek i przelać pięć milionów dolarów na konto Zebi.

W niedzielę wieczorem, 26 marca papież szczęśliwie już był w Watykanie i Zebi uznała to za dobry moment na ruszenie do akcji. Stwierdziła, że pieniądze na koncie pojawiły się, to nie było już na co czekać. Załatwiła sobie wolny poniedziałek, 27 marca za pracę w inne wolne ustawowo dni. Darek z kolegą już czekali w hotelu w Rzymie na rozkazy. Mieli wynajęty szybki samochód nie rzucającą się w oczy, szarą alfę romeo z największym silnikiem jaki był dostępny. Byli zvarci i gotowi do akcji. Pojawiła się Zebi i wręczyła Darkowi amerykański paszport Arno Mosela. Upewniła się, że gaz bojowy, maska przeciwgazowa już są przerzucone przez płot w ustalonym miejscu.

– Jak stamtąd wyjedziecie, to najpierw pojedziecie z Arno do hotelu, on zabierze swoją torbę podróżną i skierujecie się na trasę do Wiednia. Tam na lotnisku ja będę czekała z biletami dla was i dla Arno. On poleci do Tel Awiwu, a wy oddacie samochód i wracacie do Warszawy. Waszym zadaniem będzie nie dać się złapać. Ja będę nad wszystkim czuwała. Pieniądze za akcję dostaniesz na konto. Jeżeli wolisz na zagraniczne to od razu mi je podaj.

– Oczywiście Zebi. Jest na odwrocie mojej wizytówki. Z Jackiem sam się rozliczę.

* * *

Był poniedziałek, wczesne popołudnie, 27 marca 2000 roku. Już godzinę po obiedzie, Arno leżał na łóżku w jednoosobowym pokoju. Nagle usłyszał zgrzyt zamka i od razu usiadł na łóżku. Do pokoju weszła siostra i kazała mu szybko założyć buty, fartuch który mu podała i perukę. Mówiła po hebrajsku, ale z jakimś dziwnym, chyba słowiańskim akcentem. Od razu domyślił się o co chodzi. Ucieczka. Ubrał się najszybciej jak potrafił. W momencie jak już zapiął ostatni guzik fartucha, zamek zazgrzytał i do pokoju weszło dwóch sanitariuszy. Stanęli zdziwieni, że nie zastali pacjenta Arno Mosela tylko siostrę i innego sanitariusza. Podeszli bliżej. Coś zaczęło do nich docierać. Jeden z nich zaczął rozpoznawać Arno i w tym momencie obaj dostali z bliska w twarz gazem, od rzekomej siostry. Osunęli się obaj na podłogę bezwładnie. Szybko przeciągnęła Arno na drugi koniec pokoju, żeby nie wdychał gazu. Kazała mu oddychać przez gazę złożoną wielokrotnie i nasączoną jakimś płynem, a sama już z niewielką maską bojową na twarzy zapięła obu sanitariuszom plastikowe kajdanki na rękach i na nogach. Następnie spięła opaską ręce z nogami tak, że panowie nie mogli się nawet ruszyć. Na usta przykleiła im szarą taśmę montażową. Odebrała im uniwersalne klucze do wszystkich drzwi. Wyszli na korytarz, zatrzasnęli za sobą drzwi i bez pośpiechu poszli szlakiem który Zebi już знаła na pamięć. Po drodze mijali ich różni ludzie, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Jedną kobietę, która mijala ich zbyt blisko zdziwił przykry zapach jaki od nich wyczuła. Co kawałek były drzwi które ona otwierała tym samym kluczem. Dotarli do kotłowni i Zebi kazała Arno zabrać szpadel który ukryty był za kotłem. Przeszli przez magazyn żywności i doszli do płotu. Dziura pod nim była trochę większa niż poprzednio, co mogło oznaczać, że była intensywnie używana. Arno chociaż z trudem przecisnął się pod płotem i jak znalazł się już po drugiej stronie, to Zebi postanowiła, że nie będzie się dekonspirować, a pojemnik z

gazem może być jeszcze potrzebny, więc sama zanurkowała i również zaczęła się przeciskać. Już wcześniej przerzuciła klucze przez płot. Głowa i tułów były już po drugiej stronie jak poczuła uchwyt za nogę przy kostce. Próbowwała się wyszarpnąć, ale nadaremnie. Ktoś z tamtej strony mocno trzymał i ciągnął, a ona szarpiąc się obcierała nogą o wystający drut. Musiała koniecznie zmienić pozycję. Udało jej się przenieść ciało do pozycji siedzącej, wyciągnęła gaz, pochyliła się do otworu i wstrzyknęła na drugą stronę sporą porcję gazu. Usłyszała tylko jęknięcie i uchwyt nogi najpierw zelżał, ale nie na tyle, żeby dało się ją wyrwać, potem jednak ta anonimowa dłoń zaczęła zaciskać się i ciągnąć jeszcze mocniej, więc powtórzyła akcję z gazem i opróżniła już cały pojemnik. Agresor puścił wydając dźwięki jakby właśnie dogorywał. Musiał za drugim razem dostać strumień gazu bezpośrednio w twarz. Dokończyła przechodzenie. Po drugiej stronie już czekał Darek z Jackiem. Chwycili Arno pod pachy i pobiegli z nim co sił w nogach w stronę samochodu. Usłyszała jak uruchamiają silnik i odjeżdżają. Z obu stron zza płotu wybiegali sanitariusze i ochroniarze. Zagrzebała pusty pojemnik i maskę pod liście, stanęła za krzakiem, zanurzyła rękę pod pachę i w tej sekundzie zniknęła. Zauważyła jeszcze, jak pięciu sanitariuszy biega w kółko kępy krzaków w którą przed chwilą na ich oczach wskoczyła i próbowali ją tam znaleźć. Pojawiła się przed hotelem w ustronnym miejscu. Zdjęła z siebie fartuch i wrzuciła go do śmietnika, a perukę i wkładki zmieniające kształt jej twarzy jeszcze zostawiła. Weszła do holu, usiadła na fotelu w poczekalni i czekała na uciekinierów. Czuła sama od siebie ten chemiczny smród. Wszyscy którzy przechodzili obok niej, podnosili głowy i próbowali zlokalizować źródło, skąd dolatuje ów rzadko spotykany, smród. Darek z Jackiem i Arno dojechali i tak jak było umówione do recepcji podszedł sam Arno. Poprosił o zwrot swojego bagażu. Recepcjonista początkowo go nie rozpoznał, ale po chwili już wiedział z kim ma do czynienia. Zaprowadził go na zaplecze i wskazał mu jego podróżną torbę na regale.

– Czy ja mogę się tu przebrać?

– Tak. Bardzo proszę. Pańska żona wszystko już uregulowała w pańskim imieniu. Może chce się pan jeszcze przy okazji wykąpać?

– Nie. Dziękuję.

Arno przebrał się i tak naprawdę to chciałby się wykąpać, bo jak recepcjonista proponował mu kąpiel to palcem wskazał na nos, co sugerowało, że czuć od niego nieźle, ale niestety czas ich gonił. Zapytał recepcjonistę:

– Czy w czasie jak torba leżała na tym regale nikt do niej nie zaglądał?

– Nie mam pewności. Jak widzę ona nie ma zamka, tylko zwykły suwak. Tu są trzy zmiany, ja nie zaglądałem, a czy ktoś z moich zmienników nie zajrzał to nie wiem. Raczej nie przypuszczam. Takie rzeczy raczej się nie zdarzają. Jak pan chce, to mogę popytać.

– Nie dziękuję, lepiej niech pan nie pyta. To mogłoby wyglądać na oskarżenie.

Wsiadł do samochodu i otrzymał od Darka swój amerykański paszport. Ruszyli w stronę Wiednia. Zebi poobserwowała jeszcze szlak, którym mieli się poruszać. Nie było widać żadnych blokad ani nic takiego, znaczy, że włoska policja nie była za bardzo zainteresowana łapaniem uciekającego Żyda z katolickiego wariatkova. Zebi wróciła do domu wykąpała się i przebrała.

– Do tej pory byłaś w pracy?

– Tak kochanie. Mieliśmy akcję w terenie.

– No właśnie poczułem jak śmierdziałaś czymś paskudnie. Dało się to zmyć?

– Nie bardzo. Jeszcze trochę czuć.

– To niestety, ale będziesz spała w pokoju gościnnym. Ja tego smrodu nie zniosę, wcale bym nie usnął. Co to jest, że tak okropnie śmierdzi?

– To jest gaz paraliżujący. Chlapnął mi się na nogę. A to jest już po kąpieli. Szorowałam tą nogę czym się dało a ona dalej śmierdzi.

– To musiało niezłe wnikać w skórę.

– A jak ktoś dostanie tym w twarz?

– To nie wiem. Taki ktoś, to ma niezły problem.

– Do czego to podobne, żeby młodą matkę ganiłi po jakichś poligonach i narażali na takie smrody.

– A co to, czy ja jestem z tego powodu jakaś niepełnosprawna? Jest dzień na szkolenie to jadę bez dyskusji.

– No nie. Ja mam o tym inne zdanie. Chodź, zrobiłem kolację. Moniczko, ty też chodź na kolację.

– Dlaczego wołasz ją po hebrajsku?

– Bo jak wołam normalnie, po francusku, to ona nie reaguje.

– To wołaj po polsku.

– Po polsku to już jest zarezerwowane tylko dla ciebie. W tym przedszkolu dzieci i nauczycielki mówią tylko po hebrajsku więc ona uważa go już za swój język ojczysty.

Zebi obliczyła, że na siódmą rano będą na lotnisku we Wiedniu. Szła do pracy na ósmą, więc wydrukowała ich bilety i pojawiła się na lotnisku o siódmej. Arno miał lot już o dziewiątej, a chłopcy o dziesiątej czterdzieści. Arno pomimo, że się przebrał i wykąpał to dalej śmierdział gazem, który wnikał w jego ciało już w pokoju w którym go więziono.

– Powinien się pan wykąpać.

– Już się kąpałem po drodze, ale ten smród jeszcze pozostał.

Jej peruka, chociaż wyprana i wysuszona też emitowała jeszcze trochę tego nieprzyjemnego zapachu. Nie chciała pokazywać się panu Arno bez przebrania, bo nie wiadomo, czy kiedyś jeszcze ich drogi nie skrzyżują się, więc lepiej, żeby jej na ulicy nie rozpoznał.

– Tu są wasze bilety. Życzę powodzenia. Ja już nie mam czasu, zmywam się. Pa kochani.

Wyszła na zewnątrz i zniknęła między budynkami. Arno był w Tel Awiwie po czternastej. Na lotnisku czekała na niego Sara z Berechem. Odwieźli go do domu i ona oddała mu klucze od mieszkania.

– Wejdziecie Saro ze mną? Napijemy się czegoś, porozmawiamy trochę.

– No dobrze. Możemy wejść. Nawet mam coś do kawy. Babcia przygotowała pyszne ciasto.

Berech od razu poszedł do swojego pokoju sprawdzić czy wszystkie zabawki i jego ulubione gry są na swoim miejscu. Arno poszedł do pokoju w którym był sejf. Zbadał jego zawartość i stwierdził, że Sara niczego nie dotykała. – *Skoro tu grzecznie niczego nie ruszała, a zachowuje się tak, jakby o niczym nie wiedziała, to znaczy, że płyty z torby to nie jej sprawka. Na pewno ktoś z hotelowego personelu. Teraz należy się tylko spodziewać wielkiego skandalu.* – Coś go dusiło w gardle. Chciał zapytać Sarę wprost, czy jak przeszukiwała torbę to nie natknęła się na futerał z płytami, ale jakoś nie mogło mu to przejść przez gardło. Postanowił nie odzywać się na razie. Co będzie to będzie.

* * *

We wtorek, 28 marca 2000 roku Zebi pojawiła się w pracy jak zwykle punktualnie o ósmej. Nigdy się nie spóźniała, chociaż często prosto z domu jechała na miejsce jakiegoś zdarzenia, które ktoś z zespołu musiał zbadać, a najlepiej, żeby zrobił to ten, kto był najbliżej.

To było zamierzone i też było pracą. W pokoju był już Patrik i od razu skomentował jej wejście:

- Fiołkami to ty dzisiaj nas nie witasz droga koleżanko. Może to taki nowy rodzaj perfum teraz koleżanka lansuje?
- Spadaj Patriku, nie widzisz, że sama się z tym męczę. Nie mogę tego świństwa domyc. Coś mi się wylało na nogę i wali ode mnie jak cholera.
- To masz dzisiaj z głowy tych wszystkich interlokutorów którzy zawsze zawracają ci głowę przez pół dnia. Jak się nazywa ten smród którym się pochlapałaś?
- C-868, albo coś takiego. Myślisz, że jak będziesz wymyślał oryginalne nazwy dla tych wszystkich pianobijców to będzie mniej śmierdziało?
- Tego nigdzie nie ma w internecie. Co to za świństwo?
- To zostało wycofane z użycia jakieś dwadzieścia pięć lat temu, ale ja jeszcze miałam trochę ze starych zapasów i użyłam. Niestety trochę prysnęło mi na nogę i teraz śmierdząca jest. Jak ci to tak bardzo przeszkadza to po co tu siedzisz?
- Przyznaj się, komu tym prysnęłaś?
- Psu który rzucił się do mnie jak jechałam rowerem. Chciał mi odgryźć nogę więc mu psiknęłam, ale tak nieszczęśliwie, że opryskałam sobie tym swoją własną nogę.
- A co z psem?
- Albo przeżyje, albo nie. W każdym razie wężu to już miał nie będzie nigdy.
- Dobrze zrobiłaś. Mnie taki bydlak kiedyś tak ugryzł, że mam ślad do dzisiaj. Od teraz też będę jeździł na rowerze z gazem. To jest dobry pomysł. Co to był za piesek?
- Taki biały, co to bierze udział w walkach na śmierć i życie.
- Taki niewysoki z wielkim pyskiem? Z czarnymi jak węgiel małymi oczkami?
- Właśnie taki, może nie całkiem biały, ale taki trochę kremowy.
- To pewnie ten sam, który mnie ugryzł. Jak go zabiłaś, to zrobiłaś dobry uczynek. Wyśledziłem później w sieci, że jest to pies pewnego generała. Jest obowiązek prowadzenia takich bandytów na smyczy i w kagańcu, a ten palant myśli, że jak jest generałem to mu wszystko wolno i puszcza psa luzem. Tamten poluje na rowerzystów jak na zwierzynę. Idę sprawdzić, czy generał nie szuka zabójcy swojego ulubieńca.
- Niech lepiej uważa, żebym ja go nie szuknęła.
- Ja wyprowadzam się od ciebie niestety. Nie zniosę tego smrodu.
- I tak miałaś się wyprowadzić Patriku, to im szybciej to zrobisz tym lepiej. Pakuj się i znikaj.

Robert przysłał oryginał projektu domku letniskowego. Rzeczywiście robił wrażenie. Tu nie mieli takich projektów. Każda ćwiartka to jedno mieszkanie dla dwojga dorosłych z dwojgiem dzieci. Prawdziwy czworak. Łącznie można było zakwaterować tam wygodnie szesnaście osób. Zrobiła odbitki tego projektu i podrzuciła już następnego dnia szefowi firmy budowlanej w Larnace, żeby zrobił kosztorys budowy tego domku. Pan Stavros przysłał kosztorys mailem. Łącznie chciał sto siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów cypryjskich. Zebi podeszła do tego tak:

- Nie będę się targowała, ale chciałabym, żeby dorzucił pan do tego projektu okiennice i ceramiczną dachówkę. W tej chwili w projekcie jest blaszana. Przy takich zmianach zaakceptuję cenę.
- To dla mnie robi się trochę nieoptymalne szanowna pani. Jeżeli zgodzi się pani na sto osiemdziesiąt tysięcy, to podpisujemy aneks do tamtej umowy i budujemy dalej.
- Dobrze. Zgadzam się. Proszę przygotować aneks.

Zebi mogła podpisać ten aneks, ale postanowiła trochę bardziej zaangażować w te rzeczy Louis'a. Był czwartek, 30 marca 2000 roku. Następnego dnia był piątek, 31 marca, bardzo dobry dzień na podpisanie aneksu i wykonanie odbioru końcowego domu.

– Cześć drogi mężu. Polecisz do Larnaki i podpiszesz aneks do umowy na budowę domku letniskowego w moim imieniu, zrobisz odbiór domu, jeżeli uznasz, że wszystko jest zbudowane tak, jak chciałeś, to dasz Stavros'owi czek na zapłatę końcową za dom.

– Czy inspektor nadzoru już podpisał?

– Nie wiem. Zapytasz Stavros'a przy okazji.

– A właściwie, to po co nam ten domek letniskowy?

– To jest Cypr kochanie. Nad samym morzem. Będą do nas chcieli przyjeżdżać ludzie z rodziny twojej, mojej i znajomi. Mam ochotę każdego ugościć i zakwaterować.

– Czy to nie jest jakiś nadmierny altruizm?

– Lubię jak nas kochają. Ale muszą mieć za co. Za darmo nikt nikogo nie kocha.

– Widzę, że dawanie jest twoją obsesją. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale już od dawna widziałem, że o wiele bardziej lubisz dawać niż coś dostawać. Prezenty cieszą cię tylko te, które ty dajesz, a nie te które otrzymujesz. Jesteś skrajnie inna niż wszyscy ludzie których znałem. Szczególnie kobiety.

– Jak bardzo w takim razie, ci to przeszkadza?

– Nie przeszkadza mi wcale. Na początku byłem zdziwiony i myślałem, że to taka gra, wkrótce wszystko minie i zacznie się dziać normalnie, ale u ciebie to ma cały czas tendencję wzrostową. Zawsze jak idziemy gdzieś i pojawia się żebrak to ty go obdarowujesz. Prawie nikt tego nie robi, a ty dajesz.

Zebi zastanowiła się i zaczęła opowiadać urywanymi zdaniem o tym co czuje. Jak jej altruizm komponuje się z chciwością, która urosła w jej głowie do niewyobrażalnych rozmiarów. Czula to. Wiedziała, że tak to działa, że jak ktoś ma dużo, to chce jeszcze więcej i więcej. Robiła dość długie przerwy i Louis myślał, że już skończyła, szykował się, żeby to jakoś skomentować, a ona znów zaczynała:

– Mam taką świadomość, że skoro ten człowiek zszedł do takiego poziomu, że musi prosić ludzi o wsparcie, to rzeczywiście tego wsparcia potrzebuje. Naoglądałam się biedy i upokarzania ludzi na najróżniejsze sposoby. Mój prawny ojciec, który tak naprawdę nie był moim ojcem, ale nosiłam do niedawna jego nazwisko, był dyplomatą, a jednocześnie był zaplątany w działanie gangu handlującym ludźmi. Żywym towarem. Pod pozorem misji dyplomatycznych wywozili dziesiątki, a może setki tysięcy ludzi z terenów objętych działaniami wojennymi i rozmaitych konfliktów zbrojnych do obozów przejściowych, a stamtąd dalej sprzedawani byli ci ludzie do rozmaitych burdeli, studiów filmowych porno, na plantacje i do fabryk produkujących jakąś masówkę, przeważnie w Azji, ale nie tylko. W Europie również. Ojciec dorobił się ogromnej fortuny w milionach dolarów i nagle zniknął. Zaginął razem ze swoim kolegą, również dyplomatą. Został uznany za zmarłego i moja mama odziedziczyła tą jego wielką fortunę. Pomimo, że była milionerką, to zawsze pozostała osobą skromną, dobrze ułożoną i wspierała biedaków. Jak ze swoim kolegą zaczęli tworzyć dyskoteki w całym kraju, to dużą część swoich dochodów z tej działalności przeznaczała na wspieranie ludzi zdolnych, ale pozbawionych środków materialnych do swojego rozwoju. Ma niezwykle talent do projektowania plakatów, przez to najczęściej wspierała ludzi z talentem artystycznym. Malarzy, rzeźbiarzy i wszelkich innych utalentowanych plastyków. To był jej świat. Inwestowała w te dyskoteki, bo jej wspólnik był świetnym didżejem, ale jej projektowe wsparcie plastyczne w tych miejscach bardzo przyciągało ludzi. Gołe ściany na dyskoteci to porażka, a wytapetowanie ich plakatami przyciągało uwagę ludzi.

- To znaczy, że to są cechy które odziedziczyłaś po matce.
- Coś również odziedziczyłam po ojcu, ale tym prawdziwym.
- Skoro byłaś dzieckiem adoptowanym to nie wiesz tak naprawdę kto był twoją matką i ojcem prawdziwym.

- Tak się składa, że wiem. Ty również znasz doskonale moją matkę prawdziwą i mojego ojca. Ale to jest rozmowa, którą dokończymy jak już nasze dzieci dorosną i wyfruną z gniazda. Postanowiłam, że jak wytrzymasz ze mną do tego czasu to siądziemy sobie przy kominku i ja ci wyznam wszystko jak było.

- Jak pracowaliśmy w Europolu, to rozpracowywałaś jakieś gangi, albo organizacje, które sprzeciwiały się przeszczepom narządów, przetaczaniu krwi, aborcjom, in vitro i innym rzeczom. Czy te organizacje nagle zniknęły? Nie słyszę, żeby ktoś ich ścigał albo, żeby one w jakiś szczególny sposób zatruwały życie światu.

Zebi znów skupiła się na opowiadaniu. Poczuła się jak studentka politologii wyrwana do odpowiedzi. Teraz również opowiadała bez pośpiechu robiąc długie przerwy pomiędzy zdaniami.

- Europol dostawał dużo pieniędzy na ściganie tych gangów. Może rzeczywiście udało się zlikwidować dużą ich liczbę. Pozostali musieli zminimalizować swoje działania, mając cały czas nad głową topór Europolu i zeszedli gdzieś do głębokiego podziemia, albo dokonali samorozwiązania. Ja zwracałam uwagę szefów na zupełnie inny problem. Chodziło mi, o handel ludźmi i organami ludzkimi. Udowodniłam im, że to odzyskiwanie organów od nieboszczyków ulegających wypadkom, to przeważnie mit. Fikcja dla mediów. Chodzi zawsze o sztukę, żeby się zgadzała. Jak w magazynie wojskowym. W rzeczywistości jednak, te organy które były naprawdę przeszczepiane za duże pieniądze, nie pochodziły z magazynu tylko prawie zawsze od żywych ludzi. Od tych niewolników którymi handlowano udając dyplomatyczne misje humanitarne. To była normalna wymiana. Życie za życie. Na jednej sali operacyjnej przygotowywano osobę do przeszczepu – biorcę, a na drugiej, obok już krojono osobę która nawet nie wiedziała, że rozstaje się w tym momencie ze swoją wątrobą, nerkami, trzustką czy sercem. Stawała się dawcą. Przy okazji odzyskiwali od takiego dawcy wszystko, co dało się szybko sprzedać na specjalnie stworzonych w tym celu, na bardzo dobrze ukrytych stronach w darknecie. Jeden zdrowy dawca, a generował miliony dolarów czystego zysku.

Louis zapytał niecierpliwie:

- Co robią z ciałem tego, który był dawcą?
- Nie wiem. Jest ogromne zapotrzebowanie na krew, szpik kostny, ostatnio nawet na skórę, włosy i inne elementy ludzkiego ciała, które można zamrażać lub utrzymywać na długo w inny sposób. Utylizacją całej reszty zajmowali się ci, którzy go dostarczyli, wyspecjalizowana grupa. Poza tym, musisz wiedzieć, że tych ludzi nikt nie szukał i nie było ich w żadnych rejestrach. Nawet jak znaleziono jakieś fragmenty ciała, to nikt nigdy nie umiał ich z niczym połączyć. Ja uważałam wtedy i uważam również teraz, że te działania są dużo ważniejsze od tego, że ktoś się sprzeciwia przeszczepom i tym podobnym działaniom. Źródło zła, jest w zabijaniu ludzi dla jakiegoś narządu, dla jednego czy drugiego milionera, polityka, czy koronowanej głowy.

- Jasne. Ale w telewizji i innych mediach mówią, że jest w tej dziedzinie ogromny postęp i, że ta dziedzina ma wielką przyszłość. Co ty na to?

- Jeżeli jest coś postępowego w zabijaniu ludzi dla pozyskania ich organów, to gratuluję tym, co dali się tak łatwo zmanipulować. Wiem na pewno, że znalezienie dawcy na serce, wątrobę czy nerkę jest naprawdę tak prawdopodobne jak trafienie szóstki w totolotka, i to

być może nawet dwa razy pod rząd. Gołym okiem widać, że świat zaczął sobie radzić inaczej, a ludziom wmawia się, że jest postęp w dziedzinie przeszczepów. Magazyny organów to na ogół normalni żywi ludzie, pracujący gdzieś niewolniczo, w burdelach i studiach filmowych porno, spacyfikowani w jakichś obozach dokładnie przebadani, skatalogowani, dobrze odżywieni i nawet nie wiedzą, że są na liście dawców. Jak mają szczęście, albo w porę uciekną, to przeżyją swoje życie i nie znajdzie się biorca na ich organy, a jak go nie mają, to któregoś dnia przyjedzie dwóch smutnych panów, odkupią tą osobę za nieduże pieniądze od obecnego właściciela i wywiozą w nieznanym kierunku. Jedni wzbogacą się o kolejne miliony dolarów, a dla innych, dla tych właśnie biorców, będzie to niewielki uszczerbek na budżecie, ale za to będzie żył jeden z drugim następne długie lata. Z nowym sercem, wątrobą, nerkami a teraz coraz częściej również z innymi narządami. Tak naprawdę to nikt stamtąd nie ucieka, bo pomimo, że jest ciężka praca, to wyżywienie i opieka medyczna są znakomite. Ci ludzie nigdy w życiu tak dobrze się nie odżywiali i traktują to swoje niewolnictwo z przymrużeniem oka. Wydaje im się, że wystarczy przeczekać, a wolność tak czy siak nadejdzie.

– Kiedyś już mi to mówiłaś, ale jakoś wtedy to do mnie nie dotarło. To znaczy, że rządy krajów europejskich tak naprawdę ochraniają te gangi, które handlują narządami w formie żywych ludzi, a ścigają tych, co się temu sprzeciwiają?

– Tak właśnie jest. I to, moim zdaniem jest prawdziwy problem. Powiem ci jeszcze, że jak po wielu dyskusjach z szefami uznałam, że Europol jest w tym umoczony po szyję i oni mają pełną świadomość tego co jest grane, a mogą działać tylko w tych tematach, za które dostają pieniądze, to już wtedy odechciało mi się pracować dla nich. Myślę nawet, że ten przeciek który nas stamtąd wypędził był kontrolowany i cała góra i politycy, dokładnie wiedzieli, że po takiej akcji, albo będziemy musieli uciekać, albo uda się nas po cichu sprzątnąć. W jednym i w drugim przypadku, ja przestanę interesować się rzeczami, które im były nie na rękę. W ich mniemaniu, byliśmy szkodnikami, którzy chociaż dobrze pracowali, to za dużo wiedzieli i ja zdawałam za dużo konkretnych pytań.

– Ile twoim zdaniem dokonuje się takich przeszczepów rocznie?

– W Europie, czy na całym świecie?

– Nie wiem. Może na całym świecie, w 1991 roku było wszystkich przeszczepów około dziesięciu tysięcy, a już w 1998 roku, ponad pięć milionów. Teraz, to już jest moim zdaniem już plaga. Na pewno są to liczby, których kompletnie nikt nie ogarnia. Te kliniki transplantologiczne zeszły do podziemia i żadne statystyki już nad tym nie zapanują. Lekarzy specjalizujących się w tym temacie przybywa wszędzie w ogromnym tempie. Milionerzy i ich najbliżsi mogą sobie za pieniądze przedłużać życie za każdym razem jak coś w środku im wysiadzie. Kiedyś im się to kończy, ale gdyby nie pieniądze i możliwości transplantologiczne to nie żyli by tak długo jak to im się coraz częściej zdarza. Ktoś kto pije, pali i narkotyzuje się przez całe dorosłe życie nie może dożyć stu lat. A oni dożywają. Coraz częściej. Dostają nową wątrobę, dochodzą do siebie i dalej piją, palą i ćpają. Dostają nowe płuca i dalej palą.

– Do setki?

– Też niemożliwe. Są takie statystyki, które mówią, że najgorzej odżywiają się ludzie najbiedniejsi i najbogatsi. Ale to akurat jest prawda. Tym najbiedniejszym to akurat nic nie pomoże. Skoro źle się odżywiali to skrócili sobie życie do minimum, ale ci najbogatsi nie poddają się. Mają pieniądze to idą po nowe organy jak do sklepu. Przeszczep, okres przejściowy na rehabilitację i szaleństwo od nowa.

– No dobrze. Skończmy z tym. Oglądałaś już wszystkie zdjęcia z płyt Arno Mosela?

– Nie. Nie miałam czasu. A ty spojrzales tam?

– Owszem. Ta jego kochanka mieszała w swojej alkoce wielu znamienitych gości. To

nie byli byle jacy goście. Ważne osobistości z całej Europy. Nawet osoby z rodzin królewskich i dostojnicy kościelni.

– Tak. Wiem o tym. I my mamy to wszystko tu u siebie.

– Właśnie nie wiem jak zdobyłaś te materiały, ale twoi szefowie obsypali by cię złotem po czubek głowy za takie znalezisko. Każdy kraj w Europie mógłby chodzić na krótkiej smyczy tego, kto miałby w ręku ten materiał.

– Raczej nie będę tego wykorzystywała w żaden sposób. Mogą sobie tym złotem szastać gdzie indziej. Ja mam tylko pewność, że ten fotografik zasługuje na wszystko to, co mu się przydarzyło. Myślę, że zdeponuję to w skrytce bankowej. Nie ma sensu trzymać takiej bomby zegarowej we własnym domu.

– A nie myślałaś o tym, żeby to zniszczyć?

– O nie. Jeszcze nie wiadomo co może się zdarzyć. To tak, jak byś do niszczarki wrzucił pięć albo dziesięć milionów dolarów, albo życie kogoś z nas. Stać cię na takie marnotrawstwo?

– Nawet nigdy w życiu nie widziałem na oczy jednego miliona dolarów. Dlatego rzeczywiście, nie stać mnie. A jeśli chodzi o życie kogoś z nas, to nie ma silniejszego argumentu. Pilnuj tego jak oka w głowie, albo jeszcze bardziej.

Zebi podzieliła ten materiał na dwa pakiety i każdy z nich zdeponowała w skrytce innego banku w taki sposób, że połowa materiału w każdym z nich, to były oryginały, a druga połowa to kopie, w drugim pakiecie analogicznie.

* * *

Budowali dom na Cyprze, a Zebi cały czas pracowała w Tel Awiwie. Louis'a niecierpliwiło to, co miało się w najbliższym czasie podziać. Minęły Święta Wielkanocne, był wtorek 25 kwietnia 2000 roku. Dręczyła go kwestia pracy Zebi. Czy ona zamierzała zrezygnować z pracy, czy może planuje, że w jakiś sposób rozstaną się? Nie mógł zrozumieć kiedy znajdą czas, żeby zacząć mieszkać tam na Cyprze. Zaczął zadawać pytania, ale w taki sposób, żeby nie nasiać paniki. Zebi kazała mu usiąść w kuchni, usiadła przy nim i powiedziała:

– To bardzo proste Louis. Ja pracuję głównie przy komputerze. Dziewięćdziesiąt albo więcej procent mojej pracy, to właśnie komputer. Czy będę pracowała tu, czy tam na Cyprze, znaczy zdalnie, to dla tej firmy nie ma większego znaczenia. Teraz czasy się zmieniły. Kontakt bezpośredni jest ważny na początku, żeby się dobrze poznać. Potem można się rozproszyć po świecie. Będę musiała jeździć dwa razy do roku na szkolenia wojskowe i może raz, albo dwa razy w miesiącu na ogólną naradę, ale jak chcemy to już możemy zacząć się powoli przeprowadzać. Skończą domek letniskowy i już zaczniemy przeprowadzkę.

– Czy twoi szefowie zgodzą się na taką twoją zdalną pracę?

– Oni już się zgodzili w momencie, jak podjęliśmy decyzję o budowie domu koło Larnaki. Inaczej tego domu nie było by tam. Dla nich ważne jest to co ja wiem w danym momencie, a nie to, że jestem pod ręką. Agentów operacyjnych, to oni tam mają całe szwadrony. Powiem więcej, dla nich jeszcze lepiej, że mnie nie będzie tam, bo ostatnio bardzo boją się, że ktoś zechce na mnie zapolować. Tam byłoby to łatwiejsze niż tu.

– Myślisz Zebi, że ktoś chce cię zabić?

– Cały czas mam to na uwadze. Już nawet kilka razy odkryłam, że jestem na celowniku. Ale dla mnie to nie problem. Radzę sobie z takimi przeciwnikami.

Rozdział 32

Daniel

Zebi, która prawie nigdy nie spóźniała się, tego dnia, w piątek, 5 maja 2000 roku utknęła w windzie na dziesięć minut między piętrami. Z jakiegoś powodu nie było prądu i nie zadziałał jeszcze agregat prądotwórczy. Była wściekła, bo przestała te dziesięć minut z kolegą Hansem, z którym rozmowy już od jakiegoś czasu nie prowadziły do niczego dobrego. To był jeden z tych złoczyńców, którzy za wszelką cenę próbowali zatrzymać ją w Tel Awiwie. Niby zawsze się z nią droczył, ale ona raczej podejrzewała go, że on nie może bez niej żyć. Zawsze jak się spotykali przy jakiegokolwiek okazji, to ślinił się do niej obleśnie i ona to widziała. Nie był kompletnie w jej guście. Gdyby nie on w tej windzie, to wymknęła by się z tamtąd bez problemu, ale przy nim, nie mogła tego zrobić. Poza tym, te dziesięć minut, dało jej ostateczną odpowiedź na to, o co Hansowi chodzi. On ją prawdopodobnie kochał do szaleństwa i liczył na to, że jak ona zostanie w Izraelu, a Louis z dziećmi pojedą na Cypr, to ich małżeństwo wygaśnie i wtedy to on będzie mógł zbliżyć się do niej. Nieraz ludziom tak poukłada się w głowach i ciężko im wrócić na właściwe tory myślowe. Tam, w tej windzie, Zebi wyraźnie powiedziała Hansowi, że nawet, gdyby jej małżeństwo z Louis'em rozpadło się z jakiegoś powodu, to on nie może w najmniejszym stopniu liczyć na to, że między nimi nastąpi jakiegokolwiek zbliżenie. W końcu winda ruszyła i mogli wejść do swoich pokojów. Hans wiódł jeszcze za nią wzrokiem, a ona to wyczuwała.

- Całe szczęście, że się spóźniłaś.
- Pierwszy raz słyszę, że miałam szczęście, że się spóźniłam. Broń Boże nie włączaj swojego komputera.
- Dlaczego? Co jest grane.
- Kto tylko włączy i zaloguje się do internetu to mu komputer pada. Jakiś wściekły wirus szaleje i niszczy wszystko co napotka. Zmasowany atak hakerski na naszą firmę, albo na cały kraj.
- To głupia sprawa. Jak będziemy pracowali?
- Trzeba znaleźć jakieś antidotum, „elektroniczną szczepionkę”, albo coś takiego co będzie zabezpieczało komputery zanim się zalogują do sieci.
- Ja dzwonię do mojego przyjaciela do Polski i wypytam go, co on wie na ten temat.
- Dzwon.

Wzięła słuchawkę i wykręciła numer do Arka:

- Cześć Arku. Czy wiesz może co się dzieje? Podobno jakiś wirus szaleje? – ILOVEYOU. – Dobrze się czujesz? Ja też cię kocham stary obleśniku, ale powiedz mi, co do cholery się dzieje. – On się nazywa ILOVEYOU. Tu do nas jeszcze nie dotarł, nie wiem dlaczego. Może ci co go wprowadzali zapomnieli o Polsce. – Jest jakaś „elektroniczna szczepionka” na tego ILOVEYOU. – Jeszcze nie znam, ale jak chcesz, to poszperam i dowiem się. Oddzwonię na ten numer który mi się wyświetla. – Dobrze, czekam.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Daniela z miną niewiniątka. Przez dłuższą chwilę nikt nie miał nic do powiedzenia. Pierwszy odezwał się Daniel:

- Co robimy Zebi?
- Czekamy, aż mój przyjaciel oddzwoni.
- W takim razie, dopóki czekamy, to jest czas na przedyskutowanie tych rzeczy, które od jakiegoś czasu powinny być omówione, a leżą odłogiem. Zapraszam wszystkich do sali konferencyjnej.

Po dwóch godzinach oddzwonił Arek:

– To gówno wyszło z Rosji, albo z Chin. Oficjalnie mówi się, że z Filipin, ale ja już wiem, że to nieprawda. Rosjanie tak wymanewrowali, żeby wszystko spadło na Filipińczyków. Cała armia hakerów pracowała na rzecz Putina, żeby zmanipulować wybory, w końcu postanowili wyeliminować wszystkie komputery w najważniejszych miejscach. Chodziło o to, żeby Putin wygrał już w pierwszej turze. Później mogło się podzielić różnie i on musiał zrobić wszystko, żeby wygrać. Wirusa którego stworzyli na potrzeby tych wyborów, ktoś dla hecy wypuścił w świat w wersji lekko zmienionej, a on tak szybko się rozprzestrzenił, że na razie sami jego twórcy nie znają „szczepionki” na niego. Jak będę coś wiedział to dam ci znać. – A ten Putin w końcu wygrał? – Tak. Oczywiście. W pierwszej turze. Miał ponad sześćdziesiąt procent. – Cześć staruszku. – Co ty? Jesteśmy rówieśnikami.

Zebi rozłączyła się z Arkiem i powiedziała:

– Już wiem, że to wirus, który przywędrował z Rosji, (a oficjalnie podają, że z Filipin). Jeszcze nikt nie zna „szczepionki” na niego. Jak mój kolega ją znajdzie to będzie do mnie dzwonił.

Szef stanął na środku i dał znak ręką, że ma coś ważnego do powiedzenia. Wszyscy uciszyli się a on zaczął:

– Dobrze. Wracamy do naszych tematów. Pani Euzebia de Lorme, już od jakiegoś czasu szykuje się do opuszczenia naszego kraju, ale nie znaczy to, że kończymy współpracę. Będziemy nadal pracować razem. Pani Zebi będzie pracowała zdalnie, a za każdym razem jak będzie potrzebna tu u nas fizycznie, to przyleci. Będzie niedaleko, bo na Cyprze. Wszystkie ćwiczenia wojskowe i inne pani Zebi będzie odbywała tak, jak do tej pory.

– Jak do tej pory to była tylko raz, bo potem była w ciąży, albo karmiąca mamusia.

– Jestem pewny, że teraz szybko nadrobi. Zgadza się?

– Przysięgam. Chyba, że znowu przytrafi mi się zajść w ciążę.

– Wiedziałem. Ha,ha.

– Panie Hans, niech pan nie narzeka. Pani Zebi i tak po jednym tylko szkoleniu podjęła się karkołomnego zadania wydobywania z niewoli naszych dwóch ważnych agentów w Mogadiszu. Pamięta pan tą akcję?

– No tak. Ale my chcemy ją wyszkolić na mistrza szefie. Ja osobiście tego chcę.

– A ja chcę zajść w ciążę i bardzo intensywnie pracuję nad tym kolego Hans. Mam ostatnią okazję żeby tak się stało i nie będę się ociągać z tą decyzją ani dnia dłużej.

– Przejdźmy do spraw związanych z tym co się dzieje w Watykanie. Czy zostało zlokalizowane źródło tych antysemickich tekstów które płyną stamtąd w świat?

– W zasadzie tak, ale po wizycie papieża to jakby trochę ustały. Inicjatorem wszystkiego był pewien biskup, który tuż przed wizytą Ojca Świętego u nas, został dotkliwie pobity. Pobił go podobno jakiś włoski Żyd, którego potem aresztowano i do tej pory nikt nie wie dokładnie co się z nim stało. Nie było żadnego sądu, ani śledztwa, a policja rzymska mówi, że konsylium lekarskie uznało, że jest niepoczytalny i stanowi zagrożenie dla społeczeństwa. Postanowili umieścić go w szpitalu psychiatrycznym, ale nie wiemy czy to już nastąpiło, czy jeszcze jest w areszcie rzymskim.

– Czy znamy jego nazwisko i imię?

– Na razie tylko nazwisko. Nazywa się Mosel.

– Proszę dowiedzieć się coś więcej o tej sprawie, jak już będzie można włączyć komputery. Może on potrzebuje naszej pomocy? A ten biskup przeżył?

– Tak. Ale prawdopodobnie pójdzie na rentę, bo ma po tym urazie coś złe z pamięcią.

Ale są tacy, którzy twierdzą, że on z tą pamięcią miał źle już od bardzo dawna.

- A czy ten Mosel go sprął go gołymi rękami tak dotkliwie?
- Niestety nie. Bił go statywem od aparatu fotograficznego.
- To znaczy, że Mosel jest fotografem? Skoro uszkodził dotkliwie tego biskupa, który wypuszczał w świat takie kłamliwe świństwa o nas, to temu fotografowi należy się co najmniej medal, albo jakaś nagroda. Jak go znajdziemy? Proszę go odszukać, jak się uda uwolnić i przyprowadzić do mnie. Nie ma chyba wielu fotografików o nazwisku Mosel?
- Jeżeli jest obywatelem Izraela i jest tutaj, to znajdziemy go na pewno, ale jak nie, to będzie trudniej.

Zebi siedziała jak na rozżarzonych węglach. Był w Izraelu. Sama go tu przytransportowała. Znała wszystko bardzo dobrze, ale jak by się odezwała i połączono by ją z tematem, to mogło by być nieciekawie. Następnego dnia z rana, Arek zadzwonił do Zebi i przekazał informację jak szybko zainstalować na komputerze „elektroniczną szczepionkę”, antywirusa, dedykowanego do tego właśnie I LOVEYOU którą udało mu się pozyskać od Rosjan. Było to płatne oprogramowanie którego nie dało się przesłać drogą mailową. Zebi musiała pojawić się u Artura i odebrać osobiście płytę z oprogramowaniem. Spotkali się u niego w domu w sobotę, 6 maja.

- Zainwestowałem w to oprogramowanie ćwierć miliona dolarów. Twoja firma mi to zwróci?
- A ma inne wyjście?
- Może za kilka dni albo kilka tygodni Amerykanie, albo inni stworzą swoje oprogramowanie – antywirusowe i może będzie za darmo, więc najpierw upewnij się czy chcesz ją ode mnie wziąć, bo jeśli tak, to chcę pieniądze.
- Daj telefon. Tylko taki bez identyfikacji numeru.
- Nie ma sprawy. Możesz dzwonić z każdego, teraz wystarczy tylko wpisać przed numerem specjalny kod i po drugiej stronie wyświetla się, że numer niezidentyfikowany.

Zebi zadzwoniła do szefa i zapytała jaka jest decyzja:

- Pozytywnie. Oczywiście, że bierz tę płytę. – A jak nasz kolega będzie mógł odebrać swoje pieniądze? – Zgłosi się do naszej ambasady za tydzień. Będzie na niego czekała torba z pieniędzmi na jego nazwisko. – Dobrze, ale on nie ujawnia swoich personaliów nigdzie, więc on poda mi imię i nazwisko innej osoby, która w jego imieniu odbierze należność. – Dobrze. Może tak być. Podyktuj te personalia.

Zebi podyktowała i rozłączyła się.

- Czy po telefonie na pewno nie zlokalizują cię?
- Nie. To jest tak zwany prepaidowy, na kartę. Dodatkowo, jak już ci mówiłem, używam kodu, który pozwala na nieujawnianie własnego numeru. U niego wyświetlił się komunikat – telefon nieznanym.
- On nawet nie wiedział, że ja dzwoniłam z Polski?
- Nie wiedział.
- Super. Wracam do pracy. Zadzwonię jak wyślą te pieniądze. Cześć Arku.

Tego samego dnia, wszystkie komputery w firmie zostały zabezpieczone i włączone z powrotem do sieci.

- Sama widzisz Zebi, jaka jesteś potrzebna w naszej firmie jak silnik w samochodzie.
- Ja widzę, ale już mówię, że u Amerykanów zarobiłabym dwa razy tyle.
- Już nie mów, że dzieje ci się krzywda.
- Nie mówię wcale, ale perspektywa większych zarobków cały czas człowieka kusi.

- Przekazałem do centrali, że za to antywirusowe oprogramowanie zapłaciliśmy milion dolarów. Mam nadzieję, że twój szanowny kolega odda ci nadwyżkę od tej kwoty. Teraz właśnie całe ministerstwo instaluje sobie ten program w swoich komputerach. Po ostatnim przesłuchaniu w sprawie porwanych agentów, minister oświadczył, że ma do nas pełne zaufanie. Później pewnie ta płyta powędruje dalej i cały rząd się w to zaopatrzy, bo normalnie nie mogli pracować. W tej sytuacji jeden milion to jest jak kropla w morzu.
- Całe szczęście, bo już myślałam, że przyjdzie mi głodem przymierać w tej firmie.
- Chciwość nie ma do siebie dystansu.
- Mówisz o mojej chciwości?
- Oczywiście, przecież nie o swojej. Ze spokojnej dobrze ułożonej agentki, zrobiłaś się chciwą, słowiańską, drapieźną sekutnicą.
- Skoro to powiedziałaś Danielu, to znaczy, że oczekiwałeś, że się z tobą podzielę tą nieoczekiwaną nagrodą. Prawda? Czyli moja sugestia o chciwości była prawidłowa.
- Liczyłem na twoją inteligencję i nie pomyliłem się?
- Pół na pół?
- Jeśli taka jest decyzja łaskawej nowej współpracownicy, to tak musi być.
- Jeżeli chodzi o ścisłość, to zawsze byłam chciwą sekutnicą, tylko, że ty tego tak od razu nie zauważyłaś. Maskowałam się. Już do Mogadyszu leciałam i miałam w głowie tylko to, jak na tym zarobić. Kiedy te pieniądze tam będą?
- W piątek, 12 maja już od rana będzie można iść po tę paczkę.
- W takim razie w poniedziałek z samego rana ja przywożę ci to co ustalone, albo jak wolisz, to wpłacę ci całość na konto na Cyprze.
- Tak będzie dobrze.
- Albo jeszcze mam lepszy pomysł. Masz dzieci?
- Oczywiście, że mam.
- Zatem powinieneś założyć im z takich trochę lewych pieniędzy fundusz powierniczy. Jest tam oddział banku z Lichtensteinu do którego ja nigdy nie dałam rady się włamać. Jest świetny. Postanowiłam już wcześniej, że w nim założę fundusz powierniczy moim dzieciom. Teraz tylko powiększę go.
- Nawet nie myśl co by się stało, gdyby wykryto, że ja mam konto w innym kraju.
- W takim razie załóż je na żonę z twoim pełnym dostępem do niego. Ona jest wydawcą i nie musi się tłumaczyć z tego, że ma konto w innym kraju i z tego, że otwiera fundusz powierniczy swoim dzieciom.
- No dobrze. Gdybym rzeczywiście chciał coś takiego?
- To proste. Spisz mi wszystko na kartce, wasze dane i twoich dzieci, a ja założę ci to konto i fundusz. Jak znajdziecie z żoną jakiś dzień, żeby pojawić się w Nikozji, to pojedziecie z paszportami i podpiszecie karty wzorów podpisów.
- To może być konto z funduszem i normalne jednocześnie?
- Wszystkiego dowiem się w piątek. Na piątek biorę urlop, dobrze?
- Oczywiście. Już szykuję ci tę kartkę z danymi.
- A ile ty masz dzieci?
- Trójkę.
- I nie mają żadnego zabezpieczenia typu fundusz powierniczy?
- Nie. Nigdy nie miałem czasu się tym zająć. A i pieniędzy aż tyle nie było. Dopiero przy tobie to zaczęło się trochę zmieniać.
- Czasem dobrze jak Żyd zaufa Polce.

- Wcześniej bywało przeważnie odwrotnie, ale czasy się zmieniają.
- Zrobię tak. Na fundusz wpłacę trzy razy po sto dwadzieścia tysięcy, a piętnaście na normalne konto.
- Lepiej bym tego nie wymyślił. Pamiętasz o tym, że osoba na moim stanowisku, musi być kryształowo czysta. Dlatego moje zaufanie do ciebie to nie byle co. To jest sprawa życia i śmierci.
- Co ja zrobię jak mnie zwolnią. Pójdę do policji?
- Nikt cię nie zwolni. Kto załatwił tyle rzeczy ostatnio? Kto uratował firmę przed cyber atakiem? Powinni ci dać medal i całować po rękach a nie osaczać i grozić zwolnieniem.
- Co mi da ten fundusz?
- Zależy, czy na przykład chciałbyś żeby twoje dzieci w przyszłości studiowały?
- Pewnie tak.
- A czy jesteś pewny, że los tak pokieruje twoimi sprawami, że wystarczy ci pieniędzy na te ich studia?
- Nikt nie może być tego pewnym.
- Zatem, jak twoje dziecko za dziesięć lat zechce studiować, a ty nie będziesz miał pieniędzy na sfinansowanie mu tych studiów, albo może już nie będzie cię wśród żywych, (odpukać!) to dziecko zgłasza się do banku i oni z tego konta wypłacają mu co miesiąc przez przykładowo pięć lat po dwa i pół tysiąca dolarów, albo równowartość w innych pieniądzach.
- Tam nie będzie tyle, żeby wypłacać przez pięć lat po dwa i pół tysiąca.
- Nie zapomnij, że przez dziesięć, albo więcej lat te pieniądze będą zablokowane i będą w specjalny sposób oprocentowane. Po dziesięciu latach to już nie będzie sto dwadzieścia tysięcy, tylko sto czterdzieści kilka, albo i sto pięćdziesiąt tysięcy u każdego dziecka.
- Widzę, że już wiesz coś na ten temat.
- Musiałam to prześledzić, bo zakładałam coś takiego dla moich dzieci.
- Wiesz Zebi. Nikt mi na razie nie groził niczym, ale rządy się zmieniają, a jak jest taka zmiana, to chętnych na mój stołek jest cała kolejka. Muszę mieć naprawdę dobre notowania, żeby się utrzymać.
- Jeżeli oczekujesz ode mnie wsparcia, to obiecuję ci, że będę cię wspierać. Wiesz dobrze, że potrafię dokopać się do każdego i znaleźć to coś co go strąci ze sceny.
- No dobrze współpracuj. Liczę na ciebie. Twój urlop na piątek jest załatwiony. Jak twój dom na Cyprze?
- On już jest. Trzeba teraz tylko zrobić wykończenie, kupić meble, inne wyposażenie i można będzie zamieszkać. Myślę że to stanie się jeszcze w tym roku. Teraz właśnie mój szanowny mąż, francuski inżynier, ślęczy z jakąś młodą inżynierką nad projektem ogrodu. Ja uparłam się, że ma to być angielski ogród, taki trochę chaotyczny, rozproszony, ale oczywiście tylko pozornie, a ona przekonuje mojego męża o tym, że można zrobić wystrój bardziej symetryczny. A ja tego nienawidzę. Nawet nie znoszę strzyżonych trawników.
- Każdy inżynier dąży do symetrii. A już jak spotkają się takie dwie inżynierskie głowy i oboje są z Francji, to czego można się spodziewać.
- Jak zrobią projekt który mnie się nie spodoba, to ją pogonię, nie zapłacę ani szekli i szybko znajdę kogoś, kto zrobi to po mojemu.
- Tylko żeby twój mąż Zebi, za bardzo nie zaprzyjaźnił się z tą młodą inżynierką.
- Też się tego boję. Mam ich razem wysłać na Cypr z soboty na niedzielę.
- To niech ona może jechać z mężem, albo ze swoim chłopakiem.
- Też tak bym chciała. Czas pokaże co jest na rzeczy.

- Jeszcze może być tak, że tamci kochają trójkąty? OMNE TRINUM PERFECTUM.

Wszystko co potrójne jest doskonałe. Wiele par tak ma.

- Przestań, bo coś mnie ścisnęło za gardło. Chyba włączył mi się czwarty grzech główny.
- Jaki to jest?
- Zazdrość. Jak chcesz wiedzieć więcej, drugi na liście, to właśnie chciwość.
- Ale skoro ty będziesz w piątek na Cyprze, to pozostań tam przez weekend, a oni dolecą.
- Z dziećmi?
- Jasne, że z dziećmi. Odbierzesz ich z lotniska i wszyscy razem pojedziecie na budowę.
- Tak rzeczywiście zrobię. Wydaje mi się, że on ma jeszcze lęki jeżdżąc lewą stroną. Ja chyba mam coś w mózgu inaczej, bo momentalnie się przestawiam i dzisiaj jeżdżę po prawej a jutro po lewej. Wiesz, że ja umiem pisać i prawą i lewą ręką naprzemiennie?
- Naprawdę? Pokaż.
- Rzeczywiście, kiedy się tego nauczyłaś?
- Od zawsze to umiałam. Nauczyciele nie mogli się nadziwić. Było przeważnie tak, że ktoś był praworęczny albo leworęczny. Teraz jak piszę łańską pisownią to biorę pióro w prawą rękę, a jak mam pisać po hebrajsku to biorę pióro w lewą rękę i nigdy nie zamazuję sobie tekstu.
- Oburęcznych jest podobno tylko mała garstka na świecie. Promil, albo jeszcze mniej.
- Ja jestem w tej garstce.
- Za to dwulicowych jest od cholery.
- Patrzyłeś na mnie jak to powiedziałeś. Miałeś mnie na myśli?
- Nie. Akurat ciebie nie. Chciałem ci tylko powiedzieć, że w tej firmie dwulicowych jest może nawet większość. Trzeba się mieć na baczności. Wiem, że główny doradca premiera ma tu całą sforę dwulicowych na swoje usługi.
- To akurat to i ja wiem od dawna i uważam. Będą wybory prezydenckie w Stanach i mój kolega z Warszawy ma informacje, że Rosjanie mają pomysł jak zmanipulować te wybory. My mamy jakieś swoje interesy do ugrania w tych wyborach?
- Nie wiem. Jak będę miał spotkanie z politykami to zapytam.
- Wiem, że Rosjanom zależy na kandydacie Busch'u. Jakoś się już dogadali z Putinem.
- Coś niesamowitego. Do czego doszło, żeby gangsterzy z jednego kraju manipulowali wyborami w drugim kraju.
- Zawsze tak było, tylko to teraz odbywa się to elektronicznie.

W piątek, 12 maja 2000 roku, Zebi wpadła do domu Teresy.

- Jak się czujecie, moi drodzy?
- My? Bardzo dobrze, a ciebie co sprowadza?
- Mam interes w Warszawie, ale potrzebny mi jest twój samochód. Pożyczysz mi go na kilka godzin?
- Oczywiście, już teraz, czy masz chwilkę, żeby posiedzieć?
- Już teraz? I w tej chwili już nie mam czasu.

O dziesiątej była umówiona z Arkiem i z jego dziewczyną Kingą pod ich domem w Warszawie. Podjechała pod ich dom i czekała. Grzebali się jakby chodziło o jakąś błahą sprawę, a to przecież była poważna rzecz, warta milion dolarów. Za nią zaparkował przystojniak białym mercedesem. Zauważyła że wysiadł, a kluczyki włożył do bocznej kieszeni marynarki, którą przewiesił sobie przez ramię. Wysiadła i ruszyła za nim. Wszedł do budynku, wjechał windą na czwarte piętro, otworzył drzwi swojego mieszkania i wszedł. Rzucił

marynarkę na fotel i wszedł do łazienki. Zebi pojawiła się taam, wyjęła mu kluczyki z kieszeni i bezszelestnie wyszła z mieszkania zostawiając drzwi otwarte. Na parkingu Arek z Kingą już czekali. Podeszła do mercedesa i otworzyła drzwi pilotem. Wsiedli i pojechali pod ambasadę Izraela. Zebi z Arkiem zaczęli w samochodzie, a Kinga weszła do ambasady. Po piętnastu minutach wyszła z paczką, która miała rączkę, ale widać, że była dosyć ciężka. Zebi podjechała bliżej, żeby ona nie musiała tyle nieść. Musiała sobie poradzić sama. Wiedziała, że są fotografowani ze wszystkich stron, dlatego tego dnia występowała w czarnym hidżabie i ciemnych okularach. Arek siedział z tyłu i przyciemniane szyby maskowały jego tożsamość. Pojechali wszyscy do domu Arka. Sprawdziła, czy nikt nie przyjechał za nimi. Zaparkowała trochę dalej i teraz już niosły paczkę we dwie. Kluczyki od białego mercedesa zostawiła w skrytce. Weszli do domu Arka, podzielili pieniądze. Dostała od Arka plecak i tam włożyła całą swoją część. Schodziła na dół, a Arek z Kingą postanowili odprowadzić ją. Jakie było ich zdziwienie, kiedy zobaczyli, że Zebi wsiada do małego forda fiesty, zamiast do mercedesa, którym wcześniej jeździli. Arek dawał jej jakieś znaki, że chyba pomyliła auta, ale ona tylko zaśmiała się, uchyliła szybę i powiedziała, że tamto było pożyczone. Pojechała do mieszkania mamy. Po drodze kupiła w aptece plastry i bandaże. Rozebrała się i poprosiła mamę, żeby pomogła jej umocować na skórze pakiety z pieniędzmi, potem się ubrała, dała jej buziaka i bez żadnego kamuflażu zniknęła. W Nikozji poszła do tego samego hotelu co poprzednio i poprosiła o pokój jednoosobowy na godzinę. Portier był nowy i nie wiedział o co chodzi. Po drodze w sklepie hotelowym kupiła torbę podróżną i pomaszerowała z nią do pokoju. Przepakowała pieniądze do torby wzięła prysznic i zeszła do portierni.

- Z łóżka nie korzystałam.
- Nie szkodzi. I tak liczę jak za dobę.
- Dobrze. Skoro pan musi to proszę bardzo.

Do banku było blisko i poszła piechotą. Otwieranie rachunku, trzech funduszy dla dzieci, konta dla Wandy – żony Daniela i liczenie pieniędzy trwało dwie godziny. Przekierowała wyliczoną kwotę na podatek, na specjalnie utworzone dodatkowo subkonto. Dostała dokument potwierdzający i wyszła na ulicę. Szukała przez chwilę miejsca żeby się ukryć i zniknąć, ale pomyślała, że najpierw pójdzie w to miejsce gdzie stoją żebracy. Wrzuciła do torby sto dolarów i odszukała tego samego żebraka bez nóg. Siedział teraz na wózku trochę lepszym niż poprzednio. – *...dorobił się, ale czy przy okazji nie stracił czegoś? Teraz wygląda na zamożniejszego i pewnie jest z tego powodu bardziej pomijany.* – Położyła przed nim torbę a on ją poznał. Mówił do niej coś po grecku, zrozumiała tylko tyle, że przyniosła mu szczęście. Odpowiedziała, że jego życzenie też się spełniło. Powiedziała mu, że urodziła syna. Dziadek był bardzo szczęśliwy w swoim bezzębnym uśmiechu. Poszła dalej do wypożyczalni samochodów. Wypożyczyła dużą lancję i pomknęła na lotnisko. Zaraz miał wylądować Louis z dziećmi i z inżynierką od ogrodów. Jak dojechała, to oni stali już przed terminalem. Coś jej się nie zgadzało. Powinni dopiero teraz lądować, a oni już tam stali? Okazało się, że były małe zmiany w rozkładzie, które przeoczyła. Dała sygnał, że już jest, podjechała i wszyscy wskoczyli do środka. Dla Moniki był fotelik, a Maks został przypięty razem z nosidełkiem. Wykręciła i pojechali prosto na działkę. Pani Nuda usiadła z przodu, a Louis z dziećmi z tyłu. – *...żeby ona wiedziała co jej imię znaczy po Polsku* – pomyślała Zebi. Zaczęły rozmawiać i okazało się, że to jej imię dokładnie pasuje do osoby. W połowie drogi zjechała na parking przed restauracją.

- Na pewno wszyscy są bardzo głodni. Idziemy coś zjeść. – zaproponowała Zebi.
Pani Nuda nie mogła się zdecydować, nie umiała rozszyfrować menu. Pomogli jej coś

wybrać i sami również zamówili obiad dla siebie. Zebi zaproponowała, żeby ona wyciągnęła jakieś szkice wstępne które z pewnością zrobiła. Nuda pobiegła do samochodu i przyniosła szkice. Były niezłe, ale wymagały sporo poprawek. Zebi dostrzegła elementy stylu francuskiego, bo właściwie tylko to ją interesowało i postanowiła to wyeliminować w zarodku ku niezadowoleniu dwóch osób przy stole. Dała do zrozumienia, że jej decyzja jest nieodwołalna. Pojechali na budowę, obeszlą teren dokładnie i wiele razy. Tam powstały już ostatnie uszczegółowienia.

- Czy pani wraca dzisiaj do domu, czy zostanie tu na weekend?
- Dzisiaj już nie ma lotu, ale może jutro bym wróciła. Dobrze. To ja dzwonię do hotelu, i zamawiam pokoje dla nas. Dla pani jedynekę jak będzie?
- Bardzo proszę.
- Dla nas biorę apartament czteroosobowy.
- Podpowiedz mi, czy już wiesz co będziemy robili jutro?
- Otóż jutro, będziemy kupowali meble do domu. W Larnace. Tam jest sporo sklepów z meblami. Potem załatwimy, że wszystko przywiozą w niedzielę, a w przyszłym tygodniu ekipa monterów od pana Stavrosa przyjedzie poskłada to wszystko i poustawia.
- Oni jeszcze coś robią?
- No tak. Jeszcze budują domek letniskowy według planu który przysłał Robert.
- Jak daleko jest zaawansowany?
- Skończą na wrzesień, albo początek października.
- Jak skończą to my się wprowadzamy?
- My wcześniej. Już w sierpniu, jak skończą klimatyzację i te wszystkie oświetleniowe sprawy, to my już zaczynamy się sprowadzać.

Nuda wyleciała w sobotę 13 maja 2000 roku z samego rana, a oni w niedzielę po południu. W sobotę kupili meble do trzech pokoi i do kuchni. Poza tym lampy, kinkiety i żyrandole. Wszystko na parter. Resztę postanowili wyposażyć jak już się sprowadzą. Projekt ogrodu powstał 31 maja, tak jak było w umowie. Został zaakceptowany i Zebi wypisała Nudzie czek. Projekt został przekazany do firmy którą polecał szef budowlańców, pan Stavros. Oferta za zrealizowanie tego projektu przerosła oczekiwania Louis'a i Zebi. Zaproponowali trzydzieści dziewięć tysięcy funtów. Zebi wysłała Louis'a, żeby wytargował przynajmniej na trzydzieści pięć. Dzwonił z Larnaki kilka razy, czy ustąpić, ona się nie godziła więc targował się do skutku aż osiągnął to co było minimum zaakceptowane przez Zebi i podpisał z firmą umowę. Zgodzili się wejść na teren od następnego tygodnia i rozpocząć pracę. Zebi wysłała im zaliczkę pięćdziesiąt procent, zgodnie z umową, chociaż uważała, że są za drodzy. Nie znalazła jednak nikogo tańszego na Cyprze. Można było wziąć firmę turecką, byli tańsi, ale fama rozeszłaby się po okolicy i pozostałby niesmak na długo.

* * *

W poniedziałek, 5 czerwca 2000 roku, minęła na korytarzu Arno Mosel'a. Szedł do szefa na jego zaproszenie i na szczęście jej nie poznał. Daniel telefonicznie zaprosił Zebi na spotkanie do siebie z ciekawym człowiekiem, który opowiada jak był więziony w katolickim wariatkowie pod Rzymem. Odmówiła. Powiedziała, że jest tak bardzo zajęta, że może innym razem. Po spotkaniu, szef przyszedł do pokoju Zebi.

- Wiesz. Ten Mosel dał po łbie biskupowi dlatego, bo go rozpoznał jak na jakimś spotkaniu, na którym znalazł się przypadkowo i miał wykonać sesję zdjęciową. Ustyszał wykład tego biskupa, jakich metod propagandowych trzeba użyć, żeby zniszczyć Izrael. Od

tego dnia nienawidził szczerze tego człowieka, a jak napatoczył mu się w zacisznym miejscu bez świadków, to nie odmówił sobie przyjemności, żeby dać mu po łbie.

- Myślę, że on kłamie. Ma w dupie faszystów i całą propagandę przeciwko Izraelowi.
- Tak? Na jakiej podstawie tak sądzisz?
- Tylko tak myślę. To jest złodziej dzieł sztuki. Prześwietliłam go. Szykował się, żeby okraść to muzeum, a biskup go przyłapał. Żeby uciec, musiał najpierw go unieszkodliwić. Pech chciał, że go dorwali.
- Skąd to wiesz?
- Czytałam raport policyjny z tamtego zdarzenia. Miał w swoim aparacie zdjęcia najcenniejszych obrazów z tego muzeum. Z innego źródła wiem, że należy on do jednego z największych, a może nawet największego gangu złodziei dzieł sztuki na świecie. Jego rolą jest precyzyjne fotografowanie i obmiar, a pozostali wykonują perfekcyjną kopię a jeszcze inni podmieniają kopię i kradną oryginał. Sprzedają kolekcjonerom w Ameryce, w Japonii albo jeszcze gdzie indziej i zgarniają niezłą forszę. Tu są w obrocie setki milionów dolarów. On jest i fotografikiem i handlowcem w tym gangu. Oryginał od podróbki można poznać tylko po drobnych szczegółach i naprawdę niewiele jest osób na świecie, które potrafią wnikać w te szczegóły i je odróżnić. Każdy specjalista skupia się na jednym, albo najwyżej na dwóch mistrzach.
- A jak to robią, że bezkarnie podmieniają jeden na drugi?
- Bez problemu. Pieniądze otwierają każde drzwi. Płacą za wejście. Wchodzą jak do siebie przeważnie nocą, jeden zdejmują, drugi wieszają i odjeżdżają spokojnie w swoją dal. Muzeum nawet jak zorientuje się po latach, albo wcześniej, że dzieło zostało podmienione, to milczy, bo wszyscy boją się kompromitacji, albo ci, którzy nim zarządzają dostali taki zastrzyk finansowy, że już nie muszą obawiać się przyszłości. Ludzie którzy tam pracowali już dawno pracują gdzie indziej, nie żyją, albo są na emeryturze.
- To temu złodziejowi nie należy się żaden medal.
- No oczywiście, że nie. Jego powinno się ścigać, a nie nagradzać medalami. Tylko, że niestety nic mu się nie da udowodnić.
- Jesteś tego pewna?
- Tak. Poza tym, on nigdy w swojej karierze złodziejskiej nie zadziałał przeciwko Izraelowi. Tu nawet uczciwie płaci podatki.
- Dlatego przemilczymy to i dajmy sobie z nim spokój raz na zawsze. Zrobił coś pozytywnego, dalej robi coś negatywnego, w sumie wychodzi na zero i niech tak pozostanie.

* * *

Sierpień 2000 roku, był miesiącem przeprowadzki do domu na Cyprze, w miejscowości Meneu w pobliżu Larnaki. Zebi rozliczyła się z właścicielką kamienicy u której wynajmowali mieszkanie. Zapytała ją, czy ma jakieś wolne mieszkanie, tylko mniejsze. Dwupokojowe o metrażu od pięćdziesiąt do sześćdziesięciu metrów kwadratowych. Było takie mieszkanie, ale dopiero od października. Trzecie piętro. Weszły do wnętrza. Mieszkanie było bardzo ładne i wysokie. Miało pięćdziesiąt pięć metrów i dwa pokoje. Jeden większy, drugi mniejszy. Spodobało jej się i poprosiła właścicielkę o przygotowanie umowy. Cena dość wygórowana, ale wliczał się w nią prąd woda i klimatyzacja, więc Zebi uznała, że jest znośnie.

- Ja mam pani wszystkie dane z poprzedniej umowy, więc tylko przepiszę. – odezwała się pani Stephanie.
- Nie do końca droga pani. Zmieniłam nazwisko.

- A co się stało?
- Wyszłam za męża.
- A to wy nie byliście małżeństwem?
- Nie. Dopiero tu mieszkając zdecydowałam się za niego wyjść.
- To go pani przetrzymała. Ja bym się nie odważyła tak długo chłopca trzymać w niepewności. Jeszcze mając dziecko. Ho, ho. Ma pani ogień w sobie.
- Bez ognia w sobie, jak to pani nazywa, nie odważyła bym się tu przyjechać. My tu nikogo nie znaleźliśmy. Przyjechałam do pracy i dopiero poznawałam ludzi i uczyłam się wszystkiego tu na miejscu, a teraz właśnie wyprowadziliśmy się i będę tu przyjeżdżała sama, tylko do pracy.
- A mąż?
- Z dziećmi będzie siedział. W naszym nowym domu na Cyprze.
- Zanudzi się sam.
- Nie, tam jeszcze trwa budowa, poza tym to jest duży teren i jest co robić. Od świtu do nocy nie wiadomo w co najpierw wsadzić ręce.
- Jeżeli tak wam pasuje, to niech będzie. Jak teraz pani się nazywa?
- Teraz jestem de Lorme, zapiszę to pani, żeby nie było pomyłki.
- Mam to zapisane, bo pani Louis przecież tak się nazywał.

Budowa domku letniskowego ruszyła i trzeba było pilnować dzieci, żeby nie plątały się za blisko placu budowy. Inna ekipa budowała ogrodzenie i jednocześnie demontowała stare. Też trzeba było pilnować, żeby się nie zbliżały. Zebi widziała, że Louis coraz bardziej jest rozproszony z powodu dzieci, bo chciałby coś zrobić, a one nie pozwalały mu na skupienie się na czymkolwiek. Postanowiła zatrudnić opiekunkę. Zadzwoiła do mamy i powiedziała, że potrzebuje opiekunki do dzieci i chce, żeby była to pani z Polski, bo inaczej dzieci nigdy nie nauczą się polskiego. Teresa szybko uporała się z problemem i wysłała jej cv chyba z trzydziestu opiekunek, które chciały pracować gdzieś na zachodzie. Przystudiowali z Louis'em całą listę i wybrali dwie. Odpisali z pytaniem jakie mają oczekiwania i czego mogą się spodziewać w zamian. Potem Zebi przeprowadziła rozmowy telefoniczne z każdą z osobna i wybrała jedną. Panią Darię Lisowską z Warszawy. Kobieta miała czterdzieści pięć lat i była nauczycielką, której zbrzydła praca w szkolnictwie a, że była osobą samotną od jakiegoś czasu, to chciała popracować na zachodzie. To wprawdzie nie był zachód, ale południe również dobre. Dostała zapewnienie, że nawet, jak coś pójdzie źle i nie zatrudni się u nich, to przelot w obie strony ma refundowany. Przyleciała do Nikozji pod koniec sierpnia. Zebi zdecydowała, że pojedą kupić samochód. Louis miał się wypowiedzieć jaki by chciał mieć model i markę.

- Mnie osobiście to przydałby się tu jakiś z napędem na cztery koła. Tu są takie miejsca, gdzie taki właśnie takie auto jest niezbędne.
- Ja się pytam konkretnie. Jaki mamy kupić samochód?
- Konkretnie, to podoba mi się land rover.
- Dobrze. To dzwoń do firmy gdzie takie sprzedają, wytarguj upust i jedziemy kupić.
- Tak od razu?
- A co? Może do końca życia będziemy jeździli tą wynajętą lanią?

Wybrali biały, nie dlatego, że słońce tak nie rozgrzewa karoserii i że nie było innych, tylko dlatego, że biały miał akurat najlepsze wyposażenie. Kazali od razu zamontować z tyłu dwa foteliki dla dzieci, bo tam na Cyprze akurat obowiązywały pod tym względem bardzo surowe przepisy. Zebi wypisała czek i wyjechali nowiutkim autem na ulice miasta. Zebi jechała land

roverem a Louis pokierował lanią do punktu wynajmu samochodów, oddał auto i rozliczył się za wynajem. Potem land roverem jechał już Louis i był naprawdę bardzo zadowolony z zakupu.

- Musimy jeszcze mieć jakieś małe, podręczne auto do jeżdżenia po zakupy i do twojego jeżdżenia na lotnisko. Nie będę cię przecież za każdym razem odwoził.
- Dlaczego nie. Jak już będzie tu ta pani, to ona zostanie z dziećmi, a ty mnie będziesz odwoził.
- Jasne. Ale sama widzisz, że jeszcze jakiś maluszek by się przydał.
- Tak, widzę. To jest miejsce, że bez samochodu, tu nie ma życia. Często trzeba gdzieś pojechać, ale nie niekoniecznie akurat land roverem. Ten internet tutaj mnie zamęczy. Przyzwyczyłam się do szybkiego internetu, a tu jest dwadzieścia razy wolniej wszystko.
- Załatwiłem, że założą nam najszybszy internet na wyspie. Będzie kosztowało, ale będzie już za niecały miesiąc.
- Gdybym wiedziała, że tyle się czeka, to zamówiła bym to przyłączy już dawno temu.
- Pan w punkcie powiedział, o ile dobrze zrozumiałem, że mogą przyspieszyć jeżeli dopłacimy za ekspres.
- No to pewnie, że dopłacimy. Dawaj do niego numer, już dzwonię.

Założyli przyłączy szybkiego internetu już za niecały tydzień. Pani Daria przyleciała pod koniec sierpnia. Dostała pokój na piętrze i był to pierwszy umeblowany i urządzony pokój na piętrze. Łazienka również była już gotowa, więc pani Daria miała praktycznie całe piętro dla siebie.

* * *

W Stanach trwała kampania wyborcza na prezydenta. Zebi śledziła wszystko co się z tym wiązało, ale bardziej u Rosjan niż w Ameryce. Putin już uruchomił swoich hakerów, którzy czynili starania na rzecz wygranej Buscha. Wszystko szło łeb w łeb, aż okazało się, że języczkiem uwagi jest stan Floryda. Minimalną większością głosów wygrał tam Busch i zarządzono ręczne liczenie głosów, ponieważ sztab Gorea dopatrył się nieprawidłowości. Rozpoczęto liczenie, ale nie udało się zmieścić w ustalonym terminie, więc Sąd Najwyższy USA unieważnił 26 listopada 2000 roku to liczenie i ogłosił zwycięzcą Georga W. Buscha. Zebi pokazywała się teraz w firmie raz, albo dwa razy w tygodniu, przeważnie wtedy, jak trzeba było uczestniczyć w jakiejś ważnej naradzie, spotkać się z kimś lub przesłuchać kogoś polskojęzycznego lub innego, którego język Zebi bardzo dobrze znała. Była nawet potrzebna przy przesłuchaniach arabskojęzycznych. Pojawiała się, była tyle czasu ile ją potrzebowali i znikwała. Miała teraz do swoich jazd na Cyprze małą hondę civic, którą odjeżdżała spod domu jechała do Larnaki a tam przemieszczała się do Tel Awiwu swoim sposobem. Louis był przekonany, że ona jest gdzieś w mieście, a ona postanowiła dalej nie zdradzić się ze swoją tajemnicą przed nikim. Nawet przed najbliższymi. Pani Daria próbowała nauczyć się jazdy lewą stroną, ale nie za bardzo jej to wychodziło. W końcu przełamała się i przewyciężyła swój opór wewnętrzny jaki miała, szczególnie przed skrętem w prawo na ruchliwym skrzyżowaniu. Kupili jej okazyjnie fiata punto i rozszerzyli zakres obowiązków na robienie zakupów. Uwielbiała to robić, zwłaszcza tu na Cyprze. Wszystkiego było pod dostatkiem, a ona rodowita Warszawianka doskonale pamiętała jeszcze jak wszystkiego w Polsce brakowało. Teraz była w swoim żywiole. Tworzyła listę zakupów pod kontem tego co się na ogół jadło w tym domu, uzgadniała szczegóły z Zebi, brała pieniądze i ruszała fiatem na zakupy.

- Ciekawe, co on obiecał Putinowi za takie potężne wsparcie elektroniczne. – Zebi rozmawiała z Louisem w domu głównie o polityce.
- Wkrótce się dowiemy. Na pewno jest coś, co ma ogromną wagę. Podejrzewam, że chodzi o politykę cenową surowców. Musi być jakaś zmowa. Jak nie bardzo wiadomo o co chodzi, to znaczy, że chodzi o pieniądze. Na logikę, chodzi o przejęcie kontroli nad zasobami ropy w krajach arabskich. Muszą zrobić to tak, żeby cały świat myślał, że robią dobrze.
- Wynajęłam małe mieszkanie w Tel Awiwie. W tej samej kamienicy co mieszkaliśmy tylko na trzecim piętrze.
- I co tam robisz?
- Jeszcze nic, bo na razie jest remontowane, ale głównie mam zamiar odpoczywać.
- Spać, jeść, kąpać się i to co się robi w mieszkaniu.
- Spotykasz się z kimś?
- Louis. Jeżeli będę się tam z kimś spotykała, a mam taki zamiar, to tylko po to, żeby omówić jakieś sprawy o których nie mogę rozmawiać ani w pracy ani w restauracji, ani nigdzie w plenerze. Jeżeli myślisz o tym, czy będę cię zdradzała, to nie musisz się obawiać. Nie będę tego robiła. Możesz być tego pewny. Ale czasem muszę chwilę odpocząć, a jak mam taki komfort, że mogę iść do domu, rzucić się na parę godzin na łóżko i w ciszy odpocząć we własnym łóżku, to wszystko jest inaczej.
- Jakie jest to mieszkanie?
- Dwa pokoje, jeden większy, po mojemu salon, a drugi mniejszy, sypialnia. Dość duża kuchnia, łazienka i ubikacja oddzielnie.
- Jest klimatyzacja?
- Tak. I jeszcze kupiłam zestaw hi fi, bo lubię posłuchać dla relaksu dobrej muzyki.
- Drogie jest to mieszkanie?
- Moje niecałe dwie dniówki.
- Ile to w szeklach?
- Pięć tysięcy.
- To oni tyle ci płacą netto? Na rękę?
- Tyle mam w umowie. Płacą dużo więcej, bo inaczej nie opłacałoby mi się tam pracować.
- Zadziwiasz mnie. Czy to co robisz ma rzeczywiście takie wielkie znaczenie?
- Ma. Ja przekazuję im informacje, które powodują, że nie dochodzi do takich czy innych zdarzeń, w których sam już miałeś okazję uczestniczyć jak tam mieszkaliśmy. Oni muszą mieć ciągle informacje z wyprzedzeniem, żeby zapobiegać tym wydarzeniom a nie tylko sprzątać zgliszczą. Arabowie uwielbiają fajerwerki, a jak się temu nie zapobiegnie w porę to Państwo Izrael szybko zniknie z mapy świata. Wyobraź sobie, jakby codziennie w kilku miejscach w każdym większym mieście wybuchały bomby. Ludzie szybko zniechęciliby się do mieszkania w takim kraju. Uciekliby do Ameryki albo gdzieś do Europy. Nie wspomnę o turystach, którzy nie pojadą do kraju, w którym co chwilę wybuchają bomby. Dlatego ja im te informacje dostarczam, oni przeciwdziałają i mi płacą. Dzięki temu oni żyją i my mamy z czego żyć. Czysty biznes. Jak na razie cały czas jestem najlepsza w wyszukiwaniu zbrodniczych planów Palestyńczyków i innych Arabów. Nauczyliśmy się temu przeciwdziałać. Arabowie też nie są głupi i jak widzą, że wszystko co organizują spala na panewce, to zniechęcają się. Każda wystrzelona rakietą to tysiące dolarów, a Izrael ma systemy antyrakietowe które je skutecznie niszczą. Ile można inwestować w to strzelanie na próżno? Już mówiłam ci, że zadeklarowałam jeden procent od pensji na Judaizm. Żyjemy z nich, a u

nich jest to religia wiodąca. Poza tym podoba mi się, że rabin ma żonę i dzieci. Podobają mi się ich święta, jedzenie i muzyka. Że nie wspomnę o literaturze, która jest zupełnie inna od wszystkiego. Judaizm wydaje mi się taką religią dość przyjazną. Te kobiety aszkenazyjskie są takie twarde, niezależne. Zupełnie inne niż cała Europa. Mężczyźni wyglądają na super samców, a są jak koniki morskie. Opiekują się czule potomstwem i wcale im to nie przynosi ujmy. Wszystko odwrotnie niż chociażby w Polsce.

– To ja jestem taki, jak ten mężczyzna aszkenazyjski a ty jak taka właśnie kobieta.

– Tak. Ale u nas to może się przecież w każdej chwili zmienić. Ja mam tego pełną świadomość.

– Tak. Ja też przywykłem do tamtego kraju. Teraz tu trzeba żyć i uczyć się greckiego. Wiesz. Tu niedaleko jest szkoła podstawowa. Może z pół kilometra. Ale Monika nie zna tego języka. Jak sobie poradzi?

– No tak. Trzeba ją posłać do przedszkola. Szybko się nauczy. Czy przy tej szkole jest również przedszkole?

– Nie wiem, ale jutro to sprawdzimy.

Ogród już był, domek letniskowy też już był na ukończeniu. Trzeba było jeszcze zatrudnić ogrodnika, żeby przychodził raz, lub dwa razy w tygodniu, a od wiosny ze trzy razy w tygodniu, bo nikt z nich jakoś nie garnął się do pracy w tym ogrodzie. Było tam trochę rzeczy do zrobienia których oni nie ogarniali. Pani z sąsiedztwa obiecała, że zajmie się poszukianiem dla nich odpowiedniego, dobrego ogrodnika na ćwierć etatu. Zgłosił się pan, na emeryturze ale jeszcze całkiem dziarski. Miał na imię Teo. Pewnie to skrót od Teodora. Teo przyjeżdżał na skuterze. Monika została zapisana do przedszkola. Płakała przez pierwszy tydzień i trzeba było ją zabierać wcześniej, bo nie umiała się z nikim dogadać. Po tygodniu jednak, zaczęła już rozumieć coraz więcej po grecku. Dziecko miało mętlik. Z mamą i z nianią rozmawiała po polsku, z ojcem po francusku a w przedszkolu i z ogrodnikiem po grecku. Przy tym wszystkim jeszcze nieźle pamiętała hebrajski i nieraz potrafiła się jeszcze w tym języku odezwać, zwłaszcza, jak się na coś rozzłościła albo chciała naurągać Maksowi.

– Musimy jeszcze zatrudnić w domu jakąś Żydówkę, żeby Monika miała z kim rozmawiać po hebrajsku. Nie śmieć się. Ona wyraźnie ma talent do języków i trzeba coś zrobić, bo jak zapomni to już później będzie musiała uczyć się go od nowa.

– A czy ty myślisz, że ten język może jej kiedyś w życiu być potrzebny?

– Każdy język kiedyś w życiu jest potrzebny. A ten jest wyjątkowy.

– Ja nie mam pomysłu. Jak ty na coś wpadniesz to wrócimy do tematu.

Louis dostał informację od swojego szefa, że jak chce przerwać swój urlop tacierzyński, to jest do tego odpowiednia okazja, bowiem w Larnace będzie się otwierał oddział Europolu. Jak się nie zdecyduje w ciągu kilku dni, to obsadzą stanowiska i już nie będzie wolnego etatu. Louis rwał się do tej pracy bardzo i Zebi postanowiła, że muszą zatrudnić jeszcze dodatkowo kucharza. Zaczęła szukać w ogłoszeniach, ale to nic nie dało. Trzeba było samemu coś ogłosić. Rozkleili kilka ogłoszeń na przystankach w okolicy i zgłosiła się tylko jedna kobieta. Znała tylko grecki i nikt oprócz Moniki nie umiał z nią swobodnie rozmawiać. Wyszło na to, że kobieta może gotować i sprzątać w domu. Przyjęli ją na próbę. Miała na imię Liz. Jeździła też skuterem i zadeklarowała się, że będzie robiła również zakupy. Miała duży koszt na swoim skuterze i mogła codziennie coś dowozić. Odciażyła w ten sposób panią Darię, która miała teraz więcej obowiązków z dziećmi, bo Louis poszedł do pracy. Zarabiał w funtach cypryjskich i skończył się problem z ciągłym wymianianiem pieniędzy w kantorach. On teraz musiał nauczyć się lepiej greckiego, bo ponad połowa załogi w jego wydziale to Grecy. Wprawdzie wszyscy znali świetnie język angielski, ale Louis'owi już się trochę zapomniało przez długie

nieużywanie go. Nie zarabiał dużo, a w porównaniu z Zebi to nawet trochę niesprawiedliwie mało, ale jego stan psychiczny był ważniejszy. Odbudowywał się psychicznie szybko po prawie pięciu latach siedzenia w domu z dziećmi.

Zebi zauważyła niepokojące zachowania w Al-Kaidzie. Wyglądało na to, że szykują się na jakąś wielką akcję terrorystyczną i to chyba na Izrael z użyciem czegoś, co jeszcze nigdy nie miało miejsca. Dokopała się do informacji, że to miał to być samolot udający pasażerski, wyładowany po sufit materiałami wybuchowymi. Sugestią do takiego działania, był amerykański film, w którym scenarzyści wymyślili, że terroryści użyją samolotu pasażerskiego. Al-Kaida momentalnie ten pomysł podchwyciła i zaczęły się przygotowania. Miałyby runąć na któreś z miast w Izraelu. Najprawdopodobniej chcieliby zniszczyć ten fragment stolicy, gdzie mieścił się Kneset i siedziba rządu. Śledziła tą grupę uważnie i już była pewna, że szkolą pilotów samobójców do tego zadania. Tego jeszcze nie było. Udało jej się zdobyć wizerunki tych szkolonych pilotów i namiary na nich. To miało być tak zrobione, żeby nie wzbudzić najmniejszego podejrzenia. Rozmowy które udało jej się nagrać były bardzo niepokojące. Przekazała swojemu szefowi te obserwacje. Zarządzono akcję pojmania szkolących się w Europie pilotów. Agenci Mosadu deptali im po piętach przez kilka tygodni, aż w końcu pojmano ich i przekazano w Berlinie Amerykanom. Od tego momentu, wszelki ślad po nich zaginął.

– Co to ma być? Dlaczego Amerykanie nic nam nawet nie mówią. Powinniśmy dostać raport z przesłuchań. Jakies informacje nam się należą.

– Oni mają jakiś interes w tym, żeby się nawet nie odzywać. Nie wiesz, że „Amerykanie zawsze wiedzą wszystko najlepiej”? Wywieźli ich do Guantanamo i nic. Ani pół słowa. Musieli się czegoś przecież dowiedzieć.

– Jeżeli tak będzie wyglądała współpraca z nimi, to nie dostaną już więcej od nas żadnych informacji. A uzbierało się trochę.

– Mów co wiesz nowego.

– Wiem, że Usama ma niezły budżet na tą rozwałkę którą właśnie szykują.

– Jaki?

– Osiem milionów dolarów.

– To w takim razie musimy ostro brać się do roboty.

Dzięki informacjom wywiadowczym Zebi, wydano rozporządzenie, żeby wzmocnić kontrolę lotów. Nic się jednak nie działo i podwyższony stan zagrożenia powoli przygasał. Wyglądało na to, że tamci dwaj pojmani, którzy szkolili się na pilotów i zostali odstawieni Amerykanom, byli postaciami kluczowymi w tej sprawie. Jak ich zabrakło, to temat w Al-Kaidzie zawałił się. Postanowiła dalej obserwować tą grupę, bo była pewna, że mimo wszystko szykują coś strasznego.

– Myślę, że musimy się teraz skupić najbardziej na Hamasie. Oni są tu, za płotem. I chcą zza tego płotu uderzyć. Jasne, że tamtych nie można spuszczać z oczu, bo raz spuszczeni wymkną się i już ich nie rozszyfrujemy w razie czego. – powiedział Daniel do Zebi.

Był styczeń 2001 roku. Georg W. Bush został zaprzysiężony na prezydenta USA. Cały świat arabski kipiał ze złości bo już od grudnia 2000 roku, kiedy było pewne, że to właśnie Bush a nie Gore zostanie prezydentem USA. Teraz wymieniali się informacjami o tym jak zintensyfikować swoje działania. Al-Kaida koncentrowała się teraz już głównie na Stanach. Plany wojenne przeciwko Izraelowi odłożyli na później. Cały czas coś wisało w powietrzu, albo Zebi miała już stany przed paranoiczne. Potrzebowała odpoczynku.

– Szefie. Ja mam tylko kilkudniowe krótkie urlopy od dwóch lat, a czuję, że potrzebuję przynajmniej dwutygodniowego wypoczynku i nic nierobienia, bo popadnę w paranoję.

- No tak. Nie możemy do tego dopuścić. Chcesz gdzieś wyjechać?
- Nie. Chcę побыć z dziećmi, bo tak mało z nimi jestem, że jakby dostały mamę na dwa tygodnie, to może poczulibyśmy się wszyscy dużo lepiej.
- Wiem, ale właśnie zmienił się rząd. Ariel Szaron został premierem i nie wiem jak będzie wyglądało moje miejsce pracy w momencie, jak wrócisz z tego urlopu. W połowie marca 2001 roku może mnie już tu nie być. Ty nie jesteś zagrożona, bo to się nie przekłada na załogę. Agenci zawsze zostają na swoich miejscach.
- Jeżeli sytuacja jest napięta, to może ja zrezygnuję z urlopu i popracuję nad tym, żeby mieć na oku twoje sprawy.
- Jak chcesz to zrobić?
- Polecę do Polski i razem z moim przyjacielem Arachem siądziemy i prześledzimy wszystko co dzieje się za kulisami tego rządu.
- Dlaczego akurat z nim?
- Bo on nawet jak zostanie namierzony, to nikt tego nie skojarzy ze mną. On potrafi robić takie rzeczy przez serwery rosyjskie, islandzkie, tajlandzkie czy filipińskie i nie ma w tym nic dziwnego w razie wpadki. Głównie Rusczy uwielbiają nurzać się we wszystkim co mocno śmierdzi.
- Pewnie ten twój przyjaciel chce za to dużo pieniędzy?
- Potraktuje to jako moje szkolenie i ja sama mu zapłacę.
- Nie zgadzam się. Zapłacimy przynajmniej po połowie. W końcu jest to moja sprawa. A jak zdołacie w razie czego zadziałać, żeby mnie zostawili w spokoju?
- Przede wszystkim musimy dotrzeć do źródła i dowiedzieć się kogo Szaron i jego ekipa chce wpakować na twoje miejsce. Jak już się dowiemy, to trzeba tą osobę, albo te osoby osaczyć i wydobyć jak najwięcej informacji o nich. Nawet taka rzecz, że bije swoją żonę, albo, że znęcał się nad dzieckiem jest ważna i można to wykorzystać. Jeżeli w grę wchodzi kochanki albo prostytutki, to już jest sprawa bardzo prosta. Nigdy nie dostanie stanowiska ktoś taki, kto chodzi do burdelu i nie daj Boże upija się tam lub narkotyzuje.
- To takie trochę śliskie. Poniżej pasa.
- Cała polityka jest śliska i poniżej pasa. A jak bomby spadają w Centrum to jest przyjemnie. My już wiemy jak się przed tym ustrzec. Nowy dyrektor przyjdzie i wprowadzi swoje zmiany, być może zupełnie nieświadomie, które zamkną ważne programy. Zaraz potem nastąpi fala terroru, bo zanim zaczną działać nowy program, Palestyńczycy to wykorzystają i rozwalą co tylko się da. Mogą nawet skorzystać z okazji i wtedy właśnie spuścić ten samolot wyładowany po sufit ładunkami wybuchowymi na Kneset i siedzibę rządu. Oni mają to przygotowane już od ponad roku, tylko nie ma okazji, żeby to zrealizować. Jak zmieni się dyrekcja to taka okazja już pojawi się.
- Nie mają okazji, bo ty trzymasz rękę na pulsie?
- Nie tylko ja. Jest jeszcze kilka osób u nas i w ten sposób ta nierozpoczęta jeszcze akcja jest monitorowana non-stop. I oni o tym wiedzą. Podrzucamy im tą wiedzę przewencyjnie.
- Tak. Ja wiem o tym i pamiętam, że to jest ważne, żeby nie spuścić tego ani na chwilę z oczu. Nowy dyrektor może nawet nieświadomie wprowadzić zamęt i stanie się.
- Oczywiście. Rozwalą pół Tel Awiwu i sam zobaczysz ile rodzin z tych co właśnie się osiedlili, ucieknie. To byłaby dla nas katastrofa. Ja w takim razie swój urlop przekładam na później, a tymczasem lecę do Polski i tam pobędę przez następny tydzień, lub trochę więcej jak będzie trzeba. Będziemy w kontakcie. Będę miała telefon, którego nie da się namierzyć.
- Dobrze wiesz, że ja przez całe życie szedłem prostą drogą i nigdy nie robiłem nic

niestosownego. Przynajmniej się starałem.

– Wiem Danielu, jesteś bardzo przyzwoitym człowiekiem, a właściwie byłeś do dzisiaj. Dlatego ten jeden raz ci przysługuje. Tak jak z jedzeniem. Jeden posiłek w miesiącu może być niekoszerny.

– A jak ja będę mógł się z tobą kontaktować?

– Ja zadzwonię codziennie tuż przed południem. Zbieraj dla mnie informacje przez cały ten czas. Jak będziemy na linii to przekażesz mi wszystko za jednym zamachem. Ja tobie też. Żadnej łączności przez maila.

Zebi zadzwoniła od razu do Arka, czy zechce popracować z nią przez następny tydzień nad drażliwą sprawą. Zgodził się od razu i Zebi pojawiła się w Warszawie. Teresa była zachwycona, że ją widzi, natomiast mniej tym, że dawno nie widziała swojego wnuka.

– Mamo. Ja mogę ci przywieźć ich oboje tu, choćby jutro na cały tydzień albo dłużej, ale zważ, że twój dom będzie się potem nadawał już tylko do kapitalnego remontu po tej wizycie.

– I tak już się właśnie do tego nadaje, więc dawaj ich tu.

– Piotr powiedział, że zawiesza klawiaturę na kołek i chce was tutaj na tyle ile dacie radę tu pobyc.

– Dobrze. Jutro zwałam się tu z dziećmi. Zrób takie zmiany, żeby ci czegoś cennego nie pościągali ze stołu ani z mebli. Pochowaj co się da.

Następnego dnia dzieci wyszykowane i spakowane zostały odwiezione wraz z Zebi i z panią Darią na lotnisko w Nikozji przez Louis'a. Skorzystała z tej nieoczekiwanej okazji i wybrała się do Warszawy odwiedzić rodzinę.

– Dacie sobie radę?

– Tak oczywiście. Nie musisz czekać, leć do pracy bo już jesteś spóźniony.

W Warszawie czekał na nich Piotr. Przyjechał pięknym dużym mercedesem Teresy. Najpierw odwieźli panią Darię, pod sam dom, potem pojechali prosto do domu. Drugim samochodem jaki mieli był ford fiesta i Zebi pożyczyła go na te dni kiedy miała codziennie jeździć do Arka. Jego całe mieszkanie było pięknie utrzymane, dbała o to jego nowa przyjaciółka Kinga, ale jego „pracownia” była nietknięta ręką kobiecą od dawna i tu Arek czuł się jak ryba w wodzie. Ciężko się było przedrzeć do biurka z komputerem, bo na podłodze leżały różne części i elementy od komputerów, pootwierane pudła z różnymi sprzętami raz użytymi i nie do końca spakowanymi z powrotem. Na środku były dwa biurka zsunięte z sobą i na jednym miał rozstawioną swoją aparaturę Arek, a na drugim, naprzeciwko rozłożyła się Zebi ze swoim sprzętem.

– Od czego zaczynamy?

– Od Szarona i jego świty. Musimy dowiedzieć się kogo on ma w swoich szeregach od wywiadu.

– Dobrze. A czy masz klawiaturę hebrajską?

– Tak.

– To ty musisz na swoim komputerze dotrzeć do tych informacji a ja siądę obok ciebie i będziemy posuwać się powoli do przodu. Ja po hebrajsku nie znam ani słowa, dlatego będziesz mi wszystko tłumaczyła na polski.

– Nie ma sprawy. Jedziemy.

Trzeciego dnia już wiedzieli dokładnie jakie są plany nowego rządu względem jej szefa, teraz tylko trzeba było znaleźć kwity na osoby wytypowane na stanowisko Daniela. Kandydatów było dwóch. Po trzech dniach obserwacji i drażenia okazało się, że jeden z nich miał obywatelstwo Urugwaju, co skrzętnie ukrywał. Miał tam dom i konkubinę z dzieckiem,

co nie przeszkadzało mu mieć w Izraelu legalnej żony. Drugi miał tu na miejscu kochankę i był uzależniony od hazardu. Zebrali dowody i dokumentację zdjęciową. Zebi w te pędy udała się z tym do Tel Awiwu spotkać się z Danielem. Położyła mu całą paczkę „kwitów” na obu kandydatów na stole w jej mieszkaniu.

– Oglądaj i powiedz, czego nie wolno twoim zdaniem ujawniać?

Daniel obejrzał i przeczytał wszystkie informacje kilka razy. Zamknął oczy, położył dłoń na czole i zastanawiał się nad tym co do niego właśnie dotarło. Ręką na czole chciał być może włączyć sobie wspomaganie, aby wydobyć z siebie dodatkowy strumień myśli. Jeszcze raz wszystko rozłożył na stole, jak pasjans. Zaczął przekładać i analizować każde słowo tekstu. Upłynęło może pół godziny w milczeniu, a Zebi skorzystała i naląła do kieliszków wina. Widać tego mu było potrzeba, bo sięgnął od razu i dość szybko opróżnił swój kieliszek.

– Mam pomysł. Jest teraz u nas dwoje młodych ludzi. Chłopak i dziewczyna. Są prawdopodobnie parą. Ale jedno co jest w tym najistotniejsze to to, że są oboje niesamowicie zdolni, jeżeli chodzi o komputery. Oboje są absolwentami informatyki. Mój pomysł jest taki, żebyś ty, jeżeli oczywiście się zgodzisz, zaczęła ich szkolić.

– Wiesz ile ja zainwestowałam w wyszkolenie samej siebie?

– Niedokładnie, ale domyślam się, że dość dużo. Więcej niż milion dolarów?

– No nie więcej. Ale blisko.

– U nas, pełne wyszkolenie jednego agenta łącznie kosztuje blisko dwa miliony dolarów. Jeżeli wydamy na tą wyjątkowo uzdolnioną dwójkę na przykład pół miliona, na same szkolenia komputerowe to nie będą to źle zainwestowane pieniądze. Patrzę pod kontem tego co tu zrobiłaś w tydzień ze swoim przyjacielem. Jeżeli będziemy mieli takich agentów jak ty więcej, to każdy dostanie swój temat i będzie mógł skupiać się na nim tak długo jak będzie aktualny. Bo to co ty robisz teraz, to skaczesz po tematach i nie jestem pewny, czy dostatecznie dużo uwagi poświęcasz na każdy z nich. Myślę, że teraz dwoje, a za pół roku następna dwójka i zwróci ci się to co zainwestowałaś w swoje wyszkolenie, a my będziemy mieli opanowany temat i co najważniejsze nie zaangażujemy nikogo z zewnątrz. Ja teraz będę musiał wykazać się nadzwyczajną skutecznością. Wiesz o czym mówię?

Zebi przyznała mu rację. Powiedziała, że jak już jest w środku i dochodzi do jądra sprawy, to okazuje się, że jest coś pilniejszego. Tamto zostawia i pędzi na przelaj do następnego tematu. Jak wraca do tamtego, to często już jest pozamiatane. Znów naląła po lampce wina, a Daniel wypił swoje dość szybko. Wyglądało na to, że wino dostarcza mu energii i dzięki niemu udaje mu się myśleć szybciej i lepiej. Opróżnili butelkę i gdyby miała drugą, to pewnie też by opróżnili. Na szczęście nie miała, a Daniel zaczął nagle ziewać.

– Chcesz się położyć szefie?

– Rzeczywiście. Może na chwilę. Na leżący, jak u psychologa, będzie mi się lepiej myślało.

Nie było tak jak sobie wymyślił. Zasnął prawie natychmiast, a Zebi przykryła go cienkim pledem. Obudził się po godzinie, a ona w tym czasie przygotowała posiłek. Usiedli przy stole i zaczęli dalej rozmawiać.

– Nie mam tylko pomysłu, jak te pieniądze w najbardziej legalny sposób pozyskać i przelać ci na twoje konto.

– A skąd wiesz, że ci dwoje nie wyszkolą się za darmo i nie pójdą na przykład do Amerykanów, albo do innej konkurencji?

– Nie wiem. Nie daj Boże.

– Dlatego złóż im propozycję, niech sami zapłacą.

– A skąd wezmą tyle pieniędzy?

– Firma podżyruje im kredyt na dziesięć lat, który po pięciu latach będzie mógł być na przykład umorzony. Wtedy spłacają z pensji po trochu i są uwiązani przynajmniej przez pięć lat. Pensję im podniesiesz za podwyższenie kwalifikacji i na pewno się zgodzą.

– Ale jeszcze potrzebowałbym jakiś rachunek za to szkolenie i najlepiej, żeby był od tego legalnie zapłacony podatek.

– Po pierwsze, jeżeli oni sami zapłacą za to szkolenie, to rachunek firmie jest niepotrzebny, tylko im. Wy podpinacie tylko kopię do wniosku o zgodę na szkolenie i ewentualne podżyrowanie kredytu bankowego. Po drugie na Cyprze są na razie najniższe podatki w Europie. Poproszę kogoś, kto ma firmę szkoleniową, żeby mi załatwił taki rachunek. Już ja sobie z tym poradzę. Ale jeden warunek. Oni muszą przyjechać do mnie i to szkolenie będzie miało miejsce u mnie w domu.

– Skoro taki masz warunek, to muszę się zgodzić. A wyjawisz mi dlaczego tak?

– Mogę. To proste. Moja córka Monika, nauczyła się dość dobrze języka hebrajskiego, a teraz straciła kontakt z tym językiem, bo w przedszkolu ma grecki. Jak taka para będzie u nas dzień w dzień, a Monika będzie z nimi obcowała, popracuję nad tym, żeby wolny czas spędzali razem, to ona nie wypadnie z kursu. Później nauczy się pisać i będzie miała opanowany język hebrajski. To dla mnie bardzo ważne.

– Nieźle to wykombinowałaś. Na poczekaniu. Widzę, że to prawda z tym twoim indukcyjnym myśleniem.

– A co z tym co leży na stole? Co się nadaje a co odrzucimy?

– W zasadzie, wszystko można puścić. Gdzie chcesz z tym iść?

– Teraz jest pytanie. Czy ja, czy ty, czy może jeszcze ktoś inny. Wydaje mi się, że ani ja ani ty nie możemy pokazać komukolwiek, że maczaliśmy w tym palce.

– To kto?

– Znajdź kogoś do kogo masz największe zaufanie i niech ten ktoś idzie do którejś codziennej gazety i wyłoży to na stół. Twoja żona jest wydawcą. Na pewno zna całe mnóstwo ludzi, którzy nadają się do takiego zadania.

– Wiesz, że chyba mam kogoś kto to zrobi. Nie zawaha się, bo nie ma nic do stracenia. Tylko nie wiem czy tak do końca mogę tej osobie zaufać? Ale wiem jak to sprawdzić.

– Wiem kto to taki?

– Nie. I chyba lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Czy były jakieś przecieki albo inne sygnały, że ma nastąpić zmiana na twoim stanowisku?

– Nie. Jeszcze nic oficjalnie nie wypłynęło, ale do końca przyszłego tygodnia Szaron musi wręczyć nominacje i obsadzić najważniejsze stanowiska. Jak z tych dwóch wytypował już sobie jednego, a nic nie zrobimy, to po mnie. Jednak jak coś się ukaże na nich, to jest prawie pewne, że trzeciego królika z rękawa nie wytrząchnie. Będzie musiał zostawić mnie na następną kadencję.

– No to do dzieła szefie.

– Ile ci wiszę licząc pół na pół tak jak się umówiliśmy?

– Szczerze mówiąc najchętniej to ja bym nic od ciebie nie brała.

– Nie ma tak. Ty płacisz za to, to ja muszę być solidarny. Pytam ile, a ty masz mi tu zaraz powiedzieć.

– Dziewięć tysięcy. W zasadzie niecałe, więc zrobmy, że osiem.

– W zaokrągleniu dziesięć, bo samolot i wszystkie inne rzeczy. Zgoda?

– No niech będzie.

- Przelewamy ci jutro na twoje konto na Cyprze.
- Dzięki.

Artykuł ukazał się już trzeciego dnia od ich rozmowy i wywołał spodziewany efekt. Było lekkie trzęsienie ziemi i obaj panowie poszli szukać sobie pracy poza rządowymi strukturami, a Daniel jak gdyby nigdy nic, jakby to było czymś zupełnie oczywistym, poszedł do kancelarii premiera na zaproszenie które dostał przez kuriera. Nominację na dyrektora na następną kadencję dostał z rąk Ariela Szarona z gratulacjami za znakomite dotychczasowe wyniki. Obiecał, że wyniki w następnej kadencji będą jeszcze lepsze.

- Zebi. Teraz możesz iść na urlop nawet na trzy tygodnie. Chcesz?
- Jasne.

Wróciła do domu w nadzwyczajnym humorze. Nie cieszyła się tak od kilku lat.

– Hej dzieciaki. Mam od dzisiaj urlop, aż do świąt wielkanocnych. Idę do pracy dopiero we wtorek 17 kwietnia.

- Co zamierzasz robić?

– Nic wielkiego. Chcę nacieszyć się domem. Będziemy teraz wszystko urządzać. Kupimy meble i inne wyposażenie do pomieszczeń na piętrze i do domku letniskowego.

Zebi szalała z dziećmi i z panią Darią. Jeździli po całej Larnace i kupowali najlepsze meble i inne rzeczy. Dwa lokale w domku letniskowym urządzili tak, że duże wygodne łóżko było na górze, a wersalka składana na dole. Jeden w ten sposób, że duże łóżko było na dole, a dwa małe w pokoju na górze. A w jednym lokalu zrobili tak, że w pokoju na górze były dwa łóżka piętrowe, a na dole duży tapczan. To dla tych, którzy mieli więcej niż dwoje dzieci. W domu wszystkie pokoje na górze były wyposażone w dwa oddzielne mniejsze łóżka. Jednym była wersalka składana a drugim wąski tapczan. Do tego stół biurko do pracy i inne najpotrzebniejsze sprzęty. Swój gabinet do pracy, Zebi teraz też urządziła na górze. Wybrała na to największy pokój, bo spodziewała się, że może być taka sytuacja, że będzie musiała tam zapraszać różnych ludzi. Było biurko, wygodny fotel i dwa mniejsze po bokach, na wypadek, gdyby ktoś miał się dosiąść i wspólnie śledzić to co na ekranie komputera. Na środku stał długi stół, co najmniej na osiem osób. Wszystko teraz prezentowało się doskonale. Zaprosiła na święta mamę z Piotrem, Maję z rodziną i Darka z rodziną. Tylko Darek nie przyjechał, bo wybrali się w tym czasie do Francji do rodziny Izabel Mari z synkiem. Siedmioro gości to i tak dużo jak na pierwszy raz. Wszystkich dorosłych zakwaterowała w domu, a synowie Mai woleli mieszkać oddzielnie w domku letniskowym. Święta przeminęły w rodzinnej atmosferze. Dzieci się zintegrowały, chociaż dzieci Mai to już młodzieńcy, tym niemniej świetnie się bawili. Monika teraz musiała przestawić się na język polski. Chociaż z mamą rozmawiały codziennie, to teraz widać było jak ona ten język bardzo kaleczy. Wynajęli busa z przewodnikiem angielskojęzycznym i obwieźli całe towarzystwo po najciekawszych miejscach na Cyprze. Przy świątecznym stole okazało się, że Henryk stracił swoją pracę. Zebi od razu zaproponowała, żeby dogadywali się i niech Henryk obejmie nadzór nad wszystkimi biznesami jakie posiada mama. Wszyscy najpierw oniemieli, potem jednak zaczęli rozważać tą propozycję i okazało się, że Henryk będzie świetnym kandydatem. Teresie też kamień z serca spadł, bo jako osoba która właśnie dobijała siedemdziesiątki, nie bardzo już miała ochotę uczestniczyć w tym wszystkim. Zaproponowała Henrykowi:

– Będę twoim doradcą Henryku. Poza tym, moja pracownia plakatu cały czas pracuje na pełnych obrotach. Zatrudniam teraz piętnaście bardzo zdolnych osób. Możesz mi wierzyć, że bez dobrych plakatów, żaden biznes rozrywkowy nie istnieje. Dobry plakat jest podstawą sukcesu.

Henryk zgodził się i ustalono, że jego wynagrodzeniem będzie procent od zysku firmy. Maja wiedziała, że Henryk jest bardzo pracowity i że ta forma wynagrodzenia będzie mu sprzyjała. Koniec urlopu był jednocześnie końcem wizyty rodzinnej. W poniedziałek, 16 kwietnia 2001 roku, Louis odwiózł całe dorosłe towarzystwo, a Zebi młodzież i dzieci małą hondą na lotnisko. Louis musiał iść do pracy, bo na Cyprze poniedziałek wielkanocny nie był dniem wolnym. Rodzina odleciała, a Zebi z dziećmi poszła na zakupy. Wcześniej odszukała w Larnace firmy, które podejmowały się szkolenia komputerowego. Porozmawiała z szefem pierwszej z nich i po chwili wiedziała, że to nie jest to, czego szuka. Pojechała do następnych i również po kilku minutach rozmowy było wiadomo, że to nie o to chodzi. W ostatniej jaką miała na liście, a z której już nawet chciała zrezygnować, spotkała szefa który był bardzo podobny do aktora, Jacka Nicolsona. Zadziorny, wesoły i znał kilka języków. Dogadali się po angielsku. Zapytała go po kwadransie rozmowy, ile by chciał za przeprowadzenie przez jego firmę szkolenia bez szkolenia. Chodzi tylko o rachunek, a właściwie dwa rachunki na dwie osoby. Początkowo chciał dziesięć procent, docelowo stanęło na pięciu. Szkolenie miało trwać trzy miesiące a osoby które miały się szkolić pochodziły z Izraela. Płatnikiem za to szkolenie będzie bank. Szkolenie ma się zacząć od pierwszego maja i ma trwać do końca lipca. Poziom wyszkolenia jaki prezentował pan Jorgos był imponujący w porównaniu z poprzednimi firmami z którymi zaczęła rozmowy. Dzieci były już kompletnie znudzone, ale musieli i tak wykorzystać ten czas do końca dnia, ponieważ późnym popołudniem miała wylądować pani Daria. Poszli na obiad, a potem ruszyli na lotnisko.

Rozdział 33

Talenty

Od 30 kwietnia 2001 roku ruszyło w domu Zebi i Louis'a szkolenie dwojga agentów, Nachuma i Ewy. Uczyła ich wszystkich metod działania na komputerze, które sama знаła. Agenci którzy działali na miejscu mieli teraz pełne ręce roboty, bo doszło im śledzenie Hamasu i wszystkiego co było planowane przeciwko Izraelowi w tym czasie. Hamas prawdopodobnie zorientował się, że nie ma chwilowo w izraelskim zespole najważniejszych agentów, którzy deptali im dotąd po piętach i rozpoczęli swoją ekspansję.

W piątek, 1 czerwca 2001 roku, do nocnego klubu w Tel Awiwie wtargnął zamachowiec samobójca i zdetonował bombę którą miał na sobie. Daniel zadzwonił do Zebi:

- Słyszałaś Zebi co narobili ci Palestyńczycy? Dwadzieścia dwie osoby nie żyją, a osiemdziesiąt jest rannych, w tym wielu turystów. Minister jest załamany i wściekły.
- Tak. Nie mogli nie być widoczni. Trzeba intensywniej używać tych kamer które już są zamontowane w całym mieście.
- Śledzenie wszystkiego w miastach to podstawa. Policja robi to, a ja już złożyłem wniosek, że potrzebne jest zamontowanie dużej liczby dodatkowych kamer. Jak dobrze pójdzie to będą również na osiedlach, na których ich dotąd nie było. I potrzeba więcej policji, patroli pieszych i zmotoryzowanych. Przecież takiego terrorystę samobójcę to da się rozpoznać.
- Ja rozpoznałam już kilkunastu.
- Tak. Oczywiście. Ja to pamiętam. Jak idzie szkolenie?
- Doskonale. Uczniowie bardzo pojętni i wiedzą po co tu przyjechali i za co płacą.
- Jakbyście coś w trakcie szkolenia dostrzegli u tych z Hamasu to od razu alarmujcie.
- Lepiej pięć razy pojechać na próżno niż raz dać się zaskoczyć takim atakiem jak ten wczorajszy.

- Ciekawe tylko kto nam zwiększy pięciokrotnie budżet operacyjny?
- Nie da się zjeść ciastko i mieć ciastko.
- W tym przypadku, to wybór jest taki, że płacić, albo nie żyć.
- Muszę cię kiedyś zaprosić na debatę budżetową. Przekonasz się jak ciężko jest wyrwać jakikolwiek grosz na bezpieczeństwo ludzi i kraju.

Szkolenie trwało do 2 sierpnia 2001 roku. Wszyscy pojawili się w firmie 6 sierpnia. Nachum i Ewa dostali komputery najnowszej generacji i od razu zabrali się ostro do pracy. Już po dwóch dniach Nachum wykrył, że jest szykowany następny zamach bombowy. Ściągnięto do Tel Awiwu całą policję jaka była dostępna. Patrole piesze z długą bronią gotową do strzału i zmotoryzowane krążyły po mieście. Każdy podejrzany był zatrzymywany i przeszukiwany. Tel Awiw był przygotowany na najgorsze, tymczasem atak nastąpił w Jerozolimie. Terrorysta samobójca kierował się prawdopodobnie na bazar, ale został namierzony przez patrol. Był otoczony i byłby zatrzymany, ale podjął w ostatniej chwili decyzję o zmianie miejsca ataku i wtargnął do pizzerii zanim dosięgły go kule patrolowców. Istniało podejrzenie, że został trafiony kulą, zanim dobiegł do drzwi pizzerii, ale ponieważ jeszcze potrafił ustać na nogach i doczłapać się na środek sali, to odpalił ładunki i w sekundę zmienił restaurację w zgliszcza. Piętnaście osób zginęło a dziewięćdziesiąt było rannych. Nie wiadomo, czy więcej strat by dokonał wchodząc na bazar, czy w restauracji? W każdym razie sam fakt, że policjanci mieli go już na muszce i przez ułamek sekundy któryś z nich zawahał się sprawił, że atak doszedł do skutku. Nachuma chwalono, że dotarł do tak ściśle chronionych informacji, ale żał po tym, że nie udało się zamachowca zatrzymać pozostał.

- Wiesz Zebi. Myślę, że bez twojego szkolenia, to on by tak szybko nie dotarł do tych informacji.
- Też tak myślę, chociaż wiem, że popełniam w tym momencie grzech pychy. Oni oboje nieźle pracują. Już u nich byłam kilka razy i sprawdzałam jak im idzie.
- Więc tak. Jest już pewne, że twoje szkolenie sprawiło, że Nachum zdołał przedrzeć się przez ich zabezpieczenia i dotarł do tych informacji. Jak to widzisz?
- Nie będę dalej brnęła w ten grzech. Nie mnie to oceniać, ale myślę, że świetnie. Powiem ci, że oni już wcześniej bardzo dużo umieli. Teraz jak będą ostro pracowali nad tym co już wiedzą, to za rok mogą być najlepsi. Każdy człowiek, jak już umie dotrzeć do najbardziej tajnych informacji to uczy się każdego dnia nowych rzeczy. To nie ma końca i nigdy nie osiągnie się najwyższego punktu wtajemniczenia, bo postęp idzie szybciej niż my możemy nadążyć za nim własnym rozumem. Postęp kreują ludzie, których umysły daleko wyprzedzają nasze, a dodatkowo jest ich wielu. Uważam jeszcze, że firma powinna zainwestować i kupić im obojgu po zestawie narzędzi hakerskich. Do łamania kodów. Ja je mam i wiem, że bez nich niewiele bym zdziałała.
- Tak. Ja nawet nie wiedziałem, że coś takiego istnieje, ale skoro tak, to porozmawiam z nimi i zadbam o to, żeby je dostali. Podejrzewam jednak, że tego nie da się kupić legalnie.
- Istotnie. Z całą pewnością faktury na to nie dostaniesz.
- W końcu oni oboje skończyli studia w tym kierunku. Poradzą sobie z tymi narzędziami. A ty nad czym teraz pracujesz?
- Draję Al-Kaidę. Wydaje mi się, że szkolą nowych pilotów i chcą ponowić próbę rozwalenia Knesetu i spuścić w końcu samolot wyładowany dynamitem na Centrum.
- Znaczą, że chcą koniecznie dokończyć tę nieudaną akcję z ubiegłego roku?
- Tak mi się wydaje. Wtedy szkolili dwóch pilotów, a teraz szkolą ich już cały oddział. Chyba ze dwudziestu.
- A gdzie ich szkolą? Gdzieś w Europie?

- Tak. Dwóch w Rosji, dwóch w Hiszpanii a pozostałych w Stanach.
- Kto ich tam szkoli w Stanach?
- Tam są firmy szkoleniowe i każdy kto ma jakieś podstawy i zapłacił za kurs to może się szkolić. Wszędzie szkolą się po dwóch. W Stanach, są w różnych miastach. Rozproszeni.
- Długo to już trwa?
- Nie wiem, ale z tego co widzę, to chyba już kończą.
- Masz te wszystkie namiary?
- Może nie wszystkie, ale myślę, że większość mam.
- Przynieś mi wydrukowane wszystko co masz na ten temat. Zaraz zwołamy naradę.

Zebi i jeszcze jeden agent znaleźli podejrzanе dwa nazwiska na liście szkolących się osób na pilotów w Hiszpanii. Od razu wysłano informację do Hiszpańskiej Agencji Wywiadu CNI o tych osobach. Policja wpadła do firmy szkolącej i zdobyła adres domowy kursantów arabskich. Mieli bardzo dobre dokumenty. Uznali, że aż za dobre i udali się do ich miejsca zamieszkania. Nikogo nie było w domu, więc zarządzono poszukiwania. Prawdopodobnie ktoś ich ostrzegł, bo zniknęli z mieszkania i nie pojawili się więcej na kursie. Nie zabrali nawet najważniejszych rzeczy. Wywiad hiszpański postawił sobie jednak cel nadrzędny, żeby tych dwóch kursantów uciekinierów schwytać i wydobyć od nich jak najwięcej informacji. Z przekazu Izraelczyków wynikało bowiem, że szkolili się po to, żeby dokonać ataku terrorystycznego samolotem na centrum Tel Awiwu. Do Stanów również wysłano po naradzie informację, że szkolą się u nich członkowie Al-Kaidy na pilotów samolotów pasażerskich i, że to może być tylko po to, żeby dokonać ataku terrorystycznego. Tam również ruszył pościg za kursantami, a oni podobnie ja ci z Hiszpanii zapadli się jak kamień w wodę. Były zdjęcia tych Arabów, więc trzeba było ich tylko odnaleźć. Nie udało się ani w Hiszpanii ani w Stanach. Wszystkie wywiady Europy i Ameryki już wiedziały, że grupa członków Al-Kaidy wzięła udział w szkoleniach z pilotażu samolotów pasażerskich, ale nikt nie wiedział jeszcze po co. Zebi i cała jej firma byli przekonani, że chodzi o dokończenie ataku na Tel Awiw. Hiszpanie byli przekonani, że to oni są w centrum zainteresowania, a Amerykanie ostrożnie nie wypowiadali się na ten temat. Prawdopodobnie robili swoje, jak zwykle nic nikomu nie mówiąc i nie wymieniając się za bardzo informacjami. Szef FBI w rozmowie telefonicznej z naszym szefem powiedział, że „milczenie jest złotem”...

* * *

Tuż przed czwartą po południu, we wtorek 11 września 2001 roku, na ekranie telewizora w domu Zebi na Cyprze, pojawiła się relacja na żywo z Nowego Yorku, o zamachu terrorystycznym, jakiego dokonano na wieżę World Trade Center. Samolot pasażerski wbił się w tą wieżę, trochę powyżej połowy. Louis’a jeszcze nie było, ale Zebi razem z Darią i kucharką Liz, przykleiły się do telewizora i patrzyły z niedowierzaniem nic nie mówiąc. Za chwilę obraz zniknął i znów pojawił się ale tak jakby z innej kamery. Po mniej więcej dwudziestu minutach widać było, że do drugiej, południowej wieży dolatuje drugi samolot i wbija się w nią nieco niżej niż ten pierwszy. Przebił ją na wylot a szczątki jego przedniej części przeszły na drugą stronę wieży. Wszystko płonęło, a wystające kawałki samolotu odłamywały się i opadały na ulicę. Pokazany był tłum ludzi na dole uciekający ulicami jak najdalej od miejsca zdarzenia. Po niecałej godzinie pierwsza zaatakowana wieża na oczach całego świata zawaliła się a wszystko wkoło płonęło i spowite było chmurą kurzu i dymu. Rumowisko gruzu i ludzkich ciał rozsypało się po sąsiednich ulicach. Teraz obraz był pokazywany z kilku kamer na przemian i z latającego w pobliżu helikoptera. Potem, po następnych dwudziestu kilku

minutach zawaliła się druga wieża. Powstał niewyobrażalny chaos. Ludzie uciekali na oślep, a straże pożarne i karetki pogotowia które próbowały dotrzeć jak najbliżej, a potem próbowały jak najszybciej wycofać się, bo płomienie i gorący gruz błyskawicznie jak lawa wulkaniczna rozlewał się po okolicy niszcząc wszystko wkoło. Po niespełna czterdziestu minutach obraz przeniósł się do Waszyngtonu. Tam też nastąpił atak, na budynek Pentagonu. Na szczęście uderzył w skrzydło świeżo po remoncie które w tym momencie nie było bardzo zaludnione. Planowany był jeszcze czwarty atak na Kapitol albo Biały Dom, ale pasażerowie już wiedzieli o trwających atakach, wszczęli bunt na pokładzie samolotu i udaremniili porywaczom dokonanie tego czwartego ataku. Samolot runął na ziemię w okolicy Pittsburgha nie czyniąc innych strat. Telefon niecierpliwie dzwonił u Zebi w kieszeni, a ona już wiedziała kto dzwoni. Spojrzała na wyświetlacz. Daniel.

- Co powiesz?
- Louis’a jeszcze nie ma. Ciekawe czy wie?
- Jak słucha radia, to wie.
- Ty doskonale wiedziałaś, że szykują się na ten atak.
- Tak, ale do końca byłam pewna, że będzie wycelowany w nas. Szkoda, że Amerykanie nie podjęli lepszej współpracy, bo mogłoby do tego nie dojść.
- Ja też myślałem, że szykują się na nas. Amerykanie cały czas boją się, że jak zaczniemy współpracować na szerszą skalę, to będą się musieli za bardzo dzielić swoimi informacjami, a oni wolą mieć wszystko utajnione i jak najwięcej dla siebie. Tylko dla siebie. I dlatego tak na tym wychodzą.
- Skąd wiesz. U nich funkcjonuje powiedzonko, że „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”.
- To samo powiedzonko funkcjonuje świetnie i u nas, w Polsce.
- Spodziewałabyś się, że posuną się do aż takiego ataku?
- Że aż tak, to nie. Ale skoro wypowiedzieli wojnę, to trzeba sprawę traktować poważnie. Myślę, że pierwszą akcją z samolotem pasażerskim mielibyśmy u siebie już rok temu, gdyby nie udało się ująć tych dwóch co się wtedy szkolili.
- Jesteś pewna, że to przeważało?
- Jasne. Zobaczyli, że wywiad izraelski to nie jakaś partyzantka, tylko profesjonalne działanie. Tylko ja wiedziałam, że tych dwóch, szkoleni są po to, żeby runąć na nas. Teraz już Osama wie, że my wiemy i nabrał szacunku. Przekierował ostrze swojej agresji na Amerykę, bo ten drugi ich szef, jest Palestyńczykiem i obaj wiedzą, że jakby zrobili coś takiego, to najwięcej na tym ucierpieliby właśnie Palestyńczycy.
- Masz rację. Chciałbym przeprowadzić jeszcze co najmniej jedno takie samo szkolenie jak poprzednio. Zgadzasz się?
- Jeżeli kandydaci są tak samo zdolni jak tamci to chętnie.
- Myślę, że jeszcze bardziej.
- Jestem otwarta na współpracę. Teraz już wiemy z kim walczymy i nie można się zatrzymać.
- Tym razem będzie trójka. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Może być?
- A co z kasą?
- Tak samo. Oni płacą za siebie, my im żyrujemy pożyczkę. Po kursie dostają niewielką podwyżkę i nie mają dużego uszczerbku na budżecie domowym. Po pięciu latach, jak są efekty to firma im umarza resztę, czyli połowę, biorąc spłatę na siebie. W bilansie ogólnym, to bardzo się opłaca.

- Od poniedziałku 17 września do piątku 14 grudnia będzie dobrze?
- Co mam powiedzieć? Zgoda. Ale warunek ten sam. Szkolenie u mnie w domu.

Zakończyli rozmowę i za chwilę do domu wparował Louis. Słuchał radia w samochodzie i wiedział co się stało. Od razu podszedł do telewizora i patrzył na wszystko co się stało. CNN bez przerwy powtarzało od początku wszystkie zdarzenia, a komentator cały czas relacjonował jak było i co dzieje się aktualnie.

– Wiesz jaki chaos na ulicach? Ludzie zatrzymują się w różnych niebezpiecznych miejscach, na środku ulic, na zakrętach, wysiadają z samochodów i dyskutują. Nie można dojechać do domu.

– Dziwisz im się? Czegoś takiego jeszcze świat nie widział. Ludzie są w szoku. Każdemu włączyła się wyobraźnia i zobaczył swoje miasto w takiej ruinie. Sodoma i Gomora.

* * *

Busch ogłosił listę dwudziestu dwóch najgroźniejszych terrorystów na świecie. Zebi powiedziała oficjalnie na zebraniu, że mogłaby mu podrzucić drugą taką samą listę z jeszcze groźniejszymi niż ci których on wytypował. Zebranie miało miejsce już następnego dnia, we środę 12 września 2001 roku. Zebi miała okazję bliżej poznać trójkę nowych kursantów. Wprowadziła ich w szczegóły dotyczące jej programu zabawy połączonej z nauką ich dzieci. Doszedł szef i musieli przerwać pogawędkę.

– Wiesz co? To ty tą listę lepiej mnie podrzuć.

– Tobie to ja przygotowałam nawet listę rozszerzoną. Stu najgroźniejszych terrorystów. Ta lista którą zaprezentował Busch nie ma ani jednego Palestyńczyka, a ja mam ich ze dwudziestu.

– Super. Gdzie masz tą listę?

– Jeszcze dzisiaj ci dostarczę. Jest jedna sprawa. Mam trójkę nowych kursantów Debora, Tubol i Michael. Sprawdziłam ich wiedzę i wyszkolenie, ale ten Michael wydał mi się od początku znajomy. Już gdzieś go widziałam. On jest wyraźnie starszy od tamtych dwojga. Czy mogę spojrzeć w jego teczkę? Muszę coś sprawdzić.

– W zasadzie nie mogę tego robić, ale wiem, że jeżeli ty chcesz zajrzeć to i tak zajrzysz. Chodźmy, zajrzemy razem. Co cię zaniepokoiło?

– Na razie nic nie będę mówiła, nie chcę niczego popsuć, ale muszę wiedzieć, czy nie pracował wcześniej w Europolu.

Doszli do działu, gdzie znajdowały się tajne archiwa. Otwarto im pancerne drzwi i w asyście archiwisty weszli do pomieszczenia. Towarzyszący im archiwista od razu sięgnął po teczkę o którą chodziło. Otworzyli i po dwóch minutach było wiadomo, że ten Michael pracował w Europolu w Brukseli, przez krótki okres w tym samym czasie co Zebi i Louis.

– Ale to nie wszystko. Jestem przekonana, że widziałam go gdzieś jeszcze.

– Jakiej on jest narodowości?

– Jest Belgiem. Ale ma korzenie żydowskie. Wystąpił o obywatelstwo izraelskie.

– Czy masz do niego jakieś zastrzeżenia?

– Jeszcze nie, ale jak coś mi się przypomni i będę miała, to od razu dam ci znać. Czy, żeby dostać obywatelstwo izraelskie, to trzeba udowodnić, że się ma jakieś korzenie żydowskie?

– Absolutnie nie. Wystarczy, że się jest osobą zasłużoną dla naszego kraju.

– A ja jestem?

– Oczywiście. Nawet mogę wystąpić o stosowne odznaczenie dla ciebie, a twój mąż już

takie dostał. Tylko nie wiem czy już odebrał.

– Tak. Odebrał już z miesiąc temu. Skoro taki Michael występuje o obywatelstwo, to my też możemy. Mam polskie i francuskie, teraz czas na izraelskie.

– Dalej mam wrażenie, że nie masz do niego zaufania.

– Myślę, że widziałam go w Libanie wśród ludzi Hamasu, ale to mógł być ktoś podobny.

– Nie. To był on. Długi czas działał w Bejrucie i miał za zadanie przeniknąć do ludzi z Hamasu. Nie za bardzo ta akcja się udała i jak zaczął mu się palić grunt pod nogami to go wycofaliśmy. Prawdopodobnie w ostatniej chwili, jak już był wydany na niego wyrok. Tym niemniej dostaliśmy taki pakiet informacji, że uniknęliśmy bardzo wielu niebezpiecznych zdarzeń. On jest bardzo odważny i przebojowy. Teraz chcemy go posadzić w biurze przy komputerze i jak najdłużej pozostawić w ukryciu przed światem. Zmienił wygląd i działa trochę w opcji zmienionej. Pamiętaj, że to jest najściślej tajemnica. Chodzi o jego życie.

– Kto wie, że on będzie mieszkał u mnie w domu?

– Tylko ty i ja.

– Nikt więcej?

– Nikt. Oprócz tych dwojga którzy będą tam z wami i tych osób u ciebie w domu.

– To niech tak pozostanie. Jak Hamasowcy mają na niego oko, to nie chcę, żeby dotarli do mojego domu. Wiesz, że oni się nie patyczkują, nawet z dziećmi.

– Nie ma obawy. Nikt tam nie dotrze.

* * *

Każda z osób szkolących się w domu Zebi miała dodatkowe zadanie bawić się z dziećmi w wolnych chwilach. Nikt z domowników nie wiedział, czy oni są z tego zadowoleni, czy robią to na siłę. Jedno było pewne, że Michael bawił się doskonale. Czytał im i co chwilę wymyślał nowe zabawy.

– Wiecie, że ja lubię jak się z nimi bawicie, ale tak naprawdę wcale nie musicie tego robić, jeżeli was to nuży.

– Nie. Jest bardzo fajnie. One są bardzo zabawne, a Monika jest nawet bardzo dowcipna. To świadczy o tym, że jest inteligentna. Niełatwo być dowcipną mając pięć lat.

– Mnie chodzi o to, żeby Monika nie utraciła kontaktu z językiem, dlatego tak lubię jak one tu są blisko was. W ten sposób może i Maks coś przyswoi. Potem będzie mi łatwiej go uczyć.

– Ja mogę poopowiadać im trochę. Znam opowieści biblijne, a co nie pamiętam to sobie wydrukuję. Uwielbiam czytać dzieciom. Nie mam jeszcze swoich, ale może jeszcze będę miał.

– Skąd znasz te rzeczy Michaelu?

– To właściwie jest mój zawód.

– Jaki jest twój zawód?

– Jestem archeologiem.

– Co nakłoniło cię do takich studiów?

– Interesowało mnie zawsze to co kryje ziemia, a w szczególności jaskinie i grotty.

Uważam, że pod ziemią jest cały ukryty świat który dopiero zaczynamy poznawać, a wrotami do tych światów mogą być często właśnie jaskinie i grotty.

– Z takim zawodem wstąpiłeś do policji?

– Tak. Policja i wywiad, to jest druga rzecz która mnie pociąga, a archeolodzy są tu

bardzo potrzebni. Zwłaszcza ci archeolodzy którzy umieją świetnie pracować z komputerem. Zresztą w terenie też już kilka razy przydałem się. Myślę, że będę częściej potrzebny i namawiam dyrekcję, żeby stworzyli u nas prawdziwe laboratorium, bo oddawanie niektórych próbek na zewnątrz jest dla nas bardzo niekorzystne. Nie da się utrzymać tajemnicy, a ona jest w naszej pracy najważniejsza. Nieraz na wagę życia.

– W tym miejscu masz rację. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, a u nas co chwilę odkrywa się coś nowego. Czy w związku z połączeniem tych dwóch zawodów chcesz osiągnąć coś wyjątkowego, albo znaleźć odpowiedź na jakieś pytania?

– Tak. Chcę nauczyć się pracy z komputerem, żeby znaleźć odpowiedź na całe mnóstwo pytań. Jednak jedno z nich jest szczególne?

– Wyjawisz je nam?

– Tak. To nic nadzwyczajnego, ale... Chcę znaleźć odpowiedź na pytanie, po co my, ludzie, jesteśmy tu, na Ziemi? Nie tylko po to żeby żyć, bo to jest raczej oczywiste. Ale jest jeszcze coś, czego nie odkryłem.

– Zaciekawileś mnie. Czy to znaczy, że mając rozszerzoną wiedzę komputerową możesz realizować swoje zainteresowania?

– Ja muszę to robić. To jest mój, że tak powiem ogień wewnętrzny. Praca tu, dała mi więcej odpowiedzi na najtrudniejsze pytania, niż gdybym przez pół życia kopał w ziemi. Teraz jak już nauczę się sięgać głębiej, to wszystko co mnie interesuje otrzymam z marszu. Przynajmniej na to liczę.

– Czy jest w takim razie pytanie, na które chciałbyś znaleźć odpowiedź najszybciej jak to tylko możliwe?

– Jasne. Chciałbym dotrzeć do informacji, czy ludzie powstali w wyniku ewolucji, tak jak to jest w tej chwili powszechne, czy pojawili się na ziemi nagle, niespodziewanie w wyniku tego, że zostali skądś sprowadzeni, przywiezieni i pozostawieni tu na pastwę żywołów?

– Mów dalej. Pewnie masz już jako archeolog jakiś pogląd na ten temat?

– Mam, ale to na razie tylko takie moje hipotezy. Myślę, że i jedno i drugie jest prawdziwe. To znaczy, że byli ludzie, którzy rozwijali się przez tysiąclecia drogą normalnej ewolucji i byli to Neandertalczyki i być może inne dwunożne hominidy którzy niestety nie przetrwali, i byliśmy my. Czyli ludzie, homo sapiens którzy przetrwali i jesteśmy. Z tą jednak różnicą, że my nie ewoluowaliśmy jak inni. My zostaliśmy tu dostarczeni w jakiś sposób i pozostawieni. Wierzę w to, że jesteśmy niejako eksperymentem naukowym jakiejś innej cywilizacji. Jestem również przekonany, że obserwacja nas i mieszanie się do naszego życia trwa do dzisiaj. Najdziwniejsze jednak jest to, że ludzie, znaczy homo sapiens mogli krzyżować się z innymi hominidami, ale tylko w jeden sposób. Człowiek, homo sapiens mężczyzna mógł zapłodnić przedstawicielkę innej rasy. Odwrotnie nie dało się. Najnowsze badania wskazują, że są regiony gdzie tych *obcych genów* jest więcej, są gdzie jest mniej, a są i takie gdzie nie ma ich wcale.

– Wiesz co Michaelu? Wy sobie tu z Zebi i z Tobolem porozmawiajcie, a mnie to jakoś nie interesuje. Jeżeli masz wydrukowane jakieś fajne opowiadania to ja pójde przeczytać dzieciom w ogrodzie.

– Pamiętaj Deboro, rozmawiaj z nimi i czytaj tylko po hebrajsku.

– Oczywiście.

– Mów dalej. Czy ciebie Tobolu ten temat też mało interesuje?

– Wręcz przeciwnie. Mnie interesuje bardzo i jestem przekonany, że któregoś dnia ta wiedza przyda mi się również w tej pracy.

Michael kontynuował a jego wyrażanie opinii już nie było takie jak poprzednio. Usiadł

prosto, a jego tembr głosu nabrał cech mentora:

– Moje odczucia są takie, że chcąc bardziej angażować się w te rzeczy, to muszę być niejako neutralnym. To znaczy uważam, że najlepiej być ateistą. Ktoś kto ma w sobie, tak jak to niektórzy naukowcy już w tej chwili próbują udowodnić, gen wiary, czyli taki ładunek intelektualny, który nie pozwala mu nawet uczestniczyć w tego typu dyskusjach. Tak jak zrobiła to przed chwilą Debora.

– Gen wiary? O czym ty mówisz?

– Mówię o tym, że istnieją cały czas badania nad naszym DNA i są naukowcy, którzy już udowodnili, a właściwie to chyba są bliscy udowodnienia, że jedni ludzie rodzą się z genem wiary i tylko w zależności do jakiego obrządku religijnego trafią, to będą osobami wierzącymi od urodzenia do śmierci i są również ludzie którzy tego genu nie posiadają. Jest to nieliczna grupa, tak zwanych neutralnych, czyli inaczej mówiąc ateistów, którzy nawet nieraz uczestniczą w obrządkach religijnych, nieraz nawet zostają kapłanami, ale nie mają tego genu i nigdy nie stają się ludźmi wierzącymi. Są jak kardynał Richelieu. Kapłaństwo to biznes. Zatem tak jak mówię, jest gen wiary u jednych, i jest to zdecydowana większość ludzi na świecie, i są ludzie z DNA pozbawionym tego genu. Ja chyba też należę do tej właśnie grupy. Nie wiem jak to wytłumaczyć i nie wiem jak wy, ale wiem jednocześnie, że są tacy, którzy przez całe życie uważają się za ateistów a u schyłku życia, ni stąd ni z owąd nabierają wiary. To mogą być ludzie którzy albo cały czas mieli ten gen, a swoją wiarę tłumili, albo go nigdy nie mieli, a wiarę na końcówce życia symulują. Nikt nie wie po co. Taka manifestacja czegoś, co przeważnie nawet im za dobrze nie wychodzi i jak ktoś jest dobrym obserwatorem to może poznać, że jest to fałszywa wiara.

– Czy ci naukowcy, którzy przeprowadzili te badania i stwierdzili obecność lub nieobecność genu wiary w DNA ludzi, to mają jakieś założenia? Chcą coś z tym zrobić?

– Tak dokładnie to nie wiem. Prawdopodobnie dałoby się pójść z tym w jedną albo w drugą stronę. Albo zmanipulować to ludzkie DNA w taki sposób, żeby gen wiary rozprzestrzenił się na całą ludzkość i w ten sposób wszyscy staliby się bezwzględnie wierzącymi, albo zastosować coś co będzie go skutecznie wytrącało z naszego DNA. Czyli coś na kształt antygeny wiary, który spowoduje, że z czasem, cała ludzkość odejdzie od wiary. Kościoły, meczety, cerkwie i inne świątynie staną się wyłącznie muzeami, albo znajdą inne przeznaczenie. Z moich obserwacji wiem, że nauka zmierza już właśnie w tą stronę i będzie prawdopodobnie już tak, że z czasem religie znikną z naszego życia. To jednak stanie się dopiero za kilkadziesiąt, lub kilkaset lat, jeżeli stanie się tak jak myślę. Może jednak pojawić się jakiś czynnik, katalizator, który przyspieszy to zjawisko.

– Kto może chcieć takiej zmiany?

– To bardzo proste. Na pewno wszyscy ci, którzy szczerze wierzą, że wszelkie wojny i konflikty na świecie wywoływane są pośrednio lub bezpośrednio z powodów religijnych. Oni właśnie będą dążyć do pokoju za wszelką cenę. Nawet za cenę manipulacji genetycznej na ogromną, być może nawet globalną skalę. Teraz już stosuje się obowiązkowe szczepienia dzieci. Nawet nie wyobrażacie sobie, jak łatwo jest podać ten mikroskopijny antygen w szczepionce. Moim zdaniem pierwszym eksperymentem, już jakiś czas temu była Holandia, a być może jeszcze Dania i Belgia. Tam zastosowano zmasowaną ekspansję podawania tego antygeny. Efekt wszyscy znamy. Jeżeli kiedyś dojdzie do takiej sytuacji, że nastąpi jakaś globalna epidemia, czyli pandemia, to nie wyobrażam sobie, żeby rządzący tym światem, powstrzymali się i nie stworzyli w masowych szczepionkach tej mikroskopijnej dawki antygeny, który jest tak ważny, dla zachowania światowego pokoju.

Dalej, to już Zebi i Tobol zaczęli wypowiadać się w tej sprawie. Pierwsza zaczęła Zebi:

– W tej chwili ja znam sekty, które walczą w sposób radykalny z wszelkim postępem, związanym głównie z transplantologią. Ale nie tylko. Ich motto, to wykrywanie, gdzie umiejscawiają się kliniki (które w tej chwili zeszyły niejako do podziemia, z obawy na tych sekciarzy) i niszczyć je. Zabijać lekarzy, właścicieli i wszystkich tych „nieczystych”, którzy poddali się zabiegowi takiego czy innego przeszczepu, transfuzji, aborcji, czy in vitro. Być może lada moment zaczną walczyć z ruchem szczepionkowym, jak tylko dowiedzą się o antygenach i kampanii na rzecz wykorzenia z ludzi wiary. Wiem, że Europol walczy z tymi sektami w sposób zdecydowany, ale absolutnie nie walczy z handlarzami ludźmi i narządami. To co powiedziałaś, nasuwa pogląd, że jest to robione umyślnie. Rządy, są w zмовie i chcą na różne sposoby podawać nam ów antygen, który wyczyści ludzi z wiary i robi z człowieka ateistę.

– Pracowałem w Europolu. Nawet pamiętam ciebie Zebi i Louis’a z tamtych czasów. Nie mieliśmy okazji ani razu rozmawiać, ale braliśmy kilka razy udział w tych samych naradach. Potem zniknęliście gwałtownie i nikt z nas nie wiedział dlaczego.

– Chodziło o księżną Dianę. Rozszyfrowaliśmy kto chciał ją zabić, a w Europolu powstał przeciek i z myśliwych staliśmy się zwierzyną. Trzeba było szybko się ukryć. Louis dalej pracuje w Europolu, tylko, że teraz tu, w Larnace. Wróćmy jednak do twojej wiedzy archeologicznej i historycznej. Pytaniem wiodącym jak powiedziałaś jest cały czas, – po co my ludzie, jesteśmy tu, na ziemi?

– Myślę, że już coś opowiedziałem na ten temat. Mogę tylko dodać, że po to, żeby uczestniczyć w eksperymencie który przeprowadzają na nas istoty z innych światów. My ich bezpośrednio nie znamy, ale uważam, że one są wśród nas, albo gdzie blisko nas. Mają wyznaczone zadania i każdy z tych osobników prowadzi ten swój cząstkowy zakres realizacji eksperymentu. Nie wiem czy mieszają się do naszego życia i rozwoju czy nie, ale na pewno bacznie nas obserwują. Mówi się, że są to Strażnicy. Tak są nazwani albo sami tak się nazwali i nawet występują pod tą nazwą w tekstach Starego Testamentu. W jakiejś współczesnej relacji z bliskiego spotkania, również została potwierdzona ta nazwa. Jestem pewny, że są tu od tysięcy lat. Nie wiem jak tu przybywają, czy rodzą się na ziemi, czy gdzie indziej, czy się starzeją jak ludzie, czy umierają? Ale tego, to akurat można być pewnym, bo i na naszym świecie i w całym wszechświecie nie ma nic trwałego. Wszystko co się urodziło, również umiera. To są pytania na które szukam odpowiedzi, a nie chcę zgadywać, bo nie o to chodzi, żeby tworzyć jakieś hipotezy. Przy okazji tej nauki, tutaj z tobą, kiedyś może znajdę odpowiedzi na te pytania. Może nie na wszystkie, ale chociaż na niektóre. Poza tym uważam, że tu na Ziemię przybywają, albo może nawet są tu cały czas różne postacie z innych cywilizacji. Jedne współpracują, a inne walczą ze sobą. Teolodzy nazwali to walką dobra ze złem, ale moim zdaniem to jest zbyt daleko idące uproszczenie. Prawdopodobnie panoszą się tu przybysze z innych światów, którzy cały czas coś potrzebują od nas ludzi, ale nam raczej nie sprzyjają. Są tacy którzy też coś potrzebują, ale postanowili działać łagodnie i jak mają okazję pomóc, to pomagają. I jedni i drudzy potrzebują surowców i energii. To jest pewne. Bez nich nie są w stanie funkcjonować. Teolodzy nazwali jednych aniołami a drugich diabłami. To znowu jest daleko idącym uproszczeniem, ponieważ i jedni i drudzy chcą mniej więcej tego samego. Prawdopodobnie i jedni i drudzy potrzebują od nas nieustannie, naszego ludzkiego materiału genetycznego i tych właśnie surowców ziemskich, o których już wspominałem. Jedni pozyskują je czyniąc dobro, albo sprytnie symulując to, że czynią właśnie to dobro – i to są ci rzekomi aniołowie, a drudzy wcale się nie patyczkują i biorą co chcą niemalże bez pytania. To są ci zdefiniowani jako źli, czyli według teologów ciemne moce – czyli diabły.

Następne pytanie miał Tobol:

- Jak uważasz, czy człowiek jest wyposażony w duszę, czy tylko w ciało fizyczne?
- To już znów jest problem teologów. Nie mam pojęcia. Natomiast jestem prawie pewny, że istnieje podobno coś takiego jak ciało astralne człowieka. Ale to czy istnieje na pewno, i czy to jest to samo co dusza? Tego nie wiem. Nie wiem również, czy w to ciało astralne są wyposażeni wszyscy ludzie, czy tylko niektórzy. Słyszałem natomiast o ludziach, którzy potrafili przebywać w dwóch miejscach jednocześnie. Ja rozumiem to tak, że w jednym miejscu przebywał jako normalny człowiek, a w drugim jako swoje własne ciało astralne. To przypadki z Indii, z Chin i z Tybetu. Czytałem również o wielu innych miejscach na Ziemi, gdzie odbyła się taka manifestacja. Byli podobno też tacy, którzy potrafili zniknąć i pojawiać się w drugim miejscu oddalonym od tamtego o setki albo tysiące kilometrów, a potem znów pojawiać się w tym poprzednim miejscu. Chociaż ja w to za bardzo nie wierzę. Jak żywe ciało może zniknąć a potem znów się pojawić. W literaturze fantastycznej nazywa się to teleportacją. Ciężko coś takiego sobie wyobrazić, chociaż patrząc na występy niektórych magów, można by pomyśleć, że coś jest na rzeczy. Sam widziałem jak jeden taki wchodził za parawan, za chwilę asystentka usuwała parawan, a jego tam nie było. Jeżeli istnieje hipnoza, medytacja, autohipnoza i telepatia, to znaczy, że poza ciałem coś może wędrować. Znamy cztery podstawowe wymiary, długość, szerokość, wysokość i jako czwarty czas. W biblii można wyczytać, że jest dwanaście wymiarów, naukowcy również przychylają się do tej tezy, a to oznacza, że nie jesteśmy jeszcze nawet w połowie drogi do poznania tego co dzieje się wokół nas.
- Czy ty Tobol jeszcze wiesz coś na ten temat?
- Tak. Miałem w rodzinie wuja, który prawie każdego potrafił zahipnotyzować i kierować nim i jego działaniem jak robotem nieraz nawet przez kilkadziesiąt minut.
- Czy on to robił na takiej zasadzie, że chodził wszędzie za nim i wydawał mu polecenia?
- Na początku tak, ale potem, jak mówił, sam wprawiał się w stan autohipnozy i sterował już tym zahipnotyzowanym bez słów. Niejako telepatycznie, ale zawsze musiał mieć go w zasięgu wzroku. Jak ich kontakt wzrokowy się urywał, to tamten się budził. Przez chwilę był lekko zdziwiony i nie wiedział co robi w tym właśnie miejscu, ale zaraz otrząsał się i ruszał dalej do swoich zajęć. To może oznaczać, że istotnie są jakieś inne wymiary. Nie tylko te cztery które znamy.
- To by oznaczało, że jest jakaś transmisja fal mózgowych pomiędzy ludźmi. Może w przyszłości nie będą ludziom potrzebne telefony.
- A czy on wprawiał w ten stan tylko tych ludzi którzy dobrowolnie poddawali się takiemu eksperymentowi?
- Tak. Ale mówił nam, że wcale nie jest to konieczne. Człowieka który kompletnie nie orientuje się, że właśnie jest poddawany hipnozie, można również w nią wprowadzić i sterować nim. Są jednak ludzie, których jak twierdził, nie da się w żaden sposób zahipnotyzować. Nigdy nie miał do takich zaufania i wręcz unikał kontaktu z nimi. Uważał ich za jakichś cyborgów bez duszy. W młodości ten wuj był okropnym kobieciarzem. Potrafił swoją gadką otumanić prawie każdą dziewczynę, która mu się spodobała i miał ją już, jak się chwalił na pierwszej randce. On gadał i gadał, a ona posłusznie ściągała majtki i rozkładała nogi.
- A to wstrętny gwałcieł.
- Ja w życiu spotkałem takich bajerantów gwałcicieli więcej. Niektórych znam do tej

pory. Chodzą bezkarnie po tym świecie i nikt im nic nie zarzuca. Nawet te kobiety wydają się być zadowolone z tego, że zostały zgwałcone.

- Gdzie? W Izraelu?
- Tam też.
- To ty mnie Tobolu z nim szybko zapoznaj. Ja mam trudności z nawiązywaniem kontaktów z panienkami z dobrych domów, a taki twój koleżka może by mi to ułatwił...
- A do tych z trochę gorszych domów to już ci nie staje?
- Koniec przerwy. Wracamy do nauki. Podstawą tego kursu jest powściągliwość. W piątek, 14 grudnia kończymy nasze szkolenie. W poniedziałek, 17 grudnia wracamy do pracy. Przez ten tydzień macie szansę jeszcze dopytać mnie o wszystko, co tu omawialiśmy i czego was uczyłam. Cały ten tydzień przeznaczam na powtórzenia i pytania. Nikt nie może wyjechać stąd niedouczony. Kto musi, niech robi notatki. Zgoda?
- Zgoda.

* * *

Szkolenie zakończone i Zebi postanowiła cały następny tydzień, plus Święta Bożego Narodzenia jeszcze odpocząć na urlopie. Louis codziennie z rana pędził do swojej pracy. Mało opowiadał co Europol robi na wyspie, ale widocznie mieli jakieś zadania, bo nieraz zostawał dłużej. Był 26 grudnia 2001 roku. Oboje spędzali święta w domu. Tym razem nikogo nie zaprosili. Louis ślezczał teraz nad komputerem całymi popołudniami, a Zebi tym razem złościła się, że to on przynosi pracę do domu.

- Opowiedz mi, co wy takiego macie tu do roboty, bo widzę, że jesteś tak mocno wkręcony w tą pracę.
- Jak wiesz, tu na Cyprze jest dość łatwo się ukryć. Stale zamieszkującej ludności jest tu niewiele ponad milion ludzi, a w najbardziej urlopowych miesiącach, czyli przez więcej niż pół roku liczba ludności dobija tu do pięciu milionów. Wśród tego tłumu wypoczywających jest całe mnóstwo mafiozów, gangsterów i różnych innych typków objętych międzynarodowymi listami gończymi. Jesteśmy jednostką posiadającą uprawnienia do ścigania i aresztowania tych ludzi.
- Jak to robicie, że w tym tłumie turystów potraficie wyłowić gangsterów?
- Współpracujemy z policją i z miejscowym społeczeństwem.
- Policjanci nie są wrywni do tego, żeby osaczać i aresztować Rosjanina, Bułgara, Albańczyka czy Serba. Boją się, że oni później będą mścić się na miejscowej policji. Udają dobrych wujaszków niezaangażowanych w te sprawy. Łapią za normalne wykroczenia, wlepiają mandaty i ani kroku dalej. Współpracują z nami i najważniejsze informacje przekazują, ale tylko takie, które jak sami oceniają nie mogą odbić się rykoszetem w nich samych.
- A wy się nie boicie?
- My też się boimy. Ale jak chcą mieć do nas pretensję, to niech jadą do Brukseli. Poza tym, my nie występujemy w mundurach. Jesteśmy brygadą tajniaków zlewających się z tłumem. Ci których chwytny i odwozimy do Nikozji i stamtąd lecą od razu do miejsca, gdzie są przesłuchiwani, a potem sądzeni. Nic nie dzieje się tu na miejscu. Tu jest cały czas otwarty konflikt z Turkami i jedna sprawa rozpędzona na miejscu rozogniłaby ten konflikt na nowo. I tak już za dużo ludzi zginęło. Tu jest jak w Irlandii Północnej.
- Czyli jeździecie po całym Cyprze i łowicie gangsterów?
- Nie. My jeździmy tylko tu. W okolicach Larnaki i mamy huk roboty. W każdym

większym mieście jest teraz taka sama placówka jak nasza.

– Czyli gdzie?

– Jeszcze w Limasol, Polis i Nikozji. Łącznie ponad dwieście osób ugania się tu za tymi gangsterami z całego świata. Najwięcej jest Rosjan, ale oni pootwierali tu oddziały swoich firm i całkiem legalnie prosperują. Wystarczyłoby jednak wziąć te ich oddziały pod lupę i można by było stamtąd wyłowić coś istotnego. Do tego rząd się przymierza, ale boją się, że oni zaraz się przesiedlą, a jest to spory kapitał. W tutejszych bankach trzymają miliardy dolarów.

– A gdyby puścić to na żywioł. Zostawić w spokoju, to stało by się coś złego?

– Bruksela i cała Unia uważają, że gdyby puścić na żywioł, to Cypr szybko stałby się Mekką wszelkiego zła. Magazynem Ścieków z całego świata. My pełnimy rolę takich czyścicieli, którzy pozwalają zachować jako taką równowagę, przynajmniej z resztą Europy. Skąd ich się tu tyłu wzięło?

Twierdził, że jeżeli na Cyprze są najniższe podatki w Europie i jedne z najniższych na świecie, to ciągnie tu zewsząd cały biznes, który chce uratować swoje „ciężko zarobione pieniądze” przed fiskusem. Każdy z tych „biznesmenów” jest zanurzony do pasa, a niektórzy po szyję w różne rzeczy z pogranicza prawa, albo całkiem spoza prawa. Przy takich biznesach, jak przy wychodku krąży cała masa much. Oni na ogół łapią tylko muchy. Wychodek zostawiają w spokoju, bo to jest fortuna która napędza budżet Cypru. Oni nawet budują tu szkoły, przedszkola domy starców i hospicja. Władze lokalne pieją z zachwytu, ale on myśli, że oni to robią głównie dla siebie. To ich dzieci nie mają się gdzie podziąć więc tatusiowie zgłaszają się do gmin i oferują, że zbudują to czy tamto, dołożą do czegoś, ale jak zwykle, coś za coś. Chcą tu mieć święty spokój. I mają.

– Boże, wszędzie to samo. Myślałam, że tylko u nas w firmie mamy do czynienia z takimi wychodkami, a to wszędzie, nawet tu na Cyprze.

– Powiedziałbym, że przede wszystkim tu na Cyprze. Tu to jest dopiero eldorado dla tych ludzi spod ciemnej gwiazdy.

– Jeżeli uganiacie się za nimi, a są to niebezpieczni ludzie, to dlaczego wam tak mało płacą?

– Mało? Wszyscy uważają, że całkiem sporo. Mamy wcale nie mniej niż ci w Brukseli.

– A zdawało mi się, że to jest mało.

– To przypomnij sobie ile zarabialiśmy w Brukseli. Jasne, przy twoich obecnych zarobkach, może wydawać się mało, ale przy ogólnie europejskich to jest całkiem nieźle.

– Niestety. U nas, to znaczy w Izraelu, znowu podnieśli podatki i niedługo ludzie zaczną się buntować. Rząd twierdzi, że podatki muszą być wysokie, bo musimy mieć najlepszą na świecie armię, najlepszą policję i najlepszy wywiad. Inaczej nas zmiotą z powierzchni ziemi, jak Truman Hiroszimę i Nagasaki.

– Cypr poszedł inną drogą i mamy tu na miejscu to co mamy.

– A co mamy takiego?

– Milion miejscowych i cztery miliony przyjezdnych. A my w liczbie dwustu osób musimy z tych czterech milionów turystów i niby-turystów, plus miliona miejscowych wyłowić, aresztować i wywieźć z wyspy tą kwintesencję zła. Podejrzewam, że nawet jak byłoby nas dwa tysiące, albo i cztery, to i tak jeszcze nie połapałibyśmy całego towarzystwa które trzeba połapać. Działamy na razie tylko jak ta muchołapka. Na zasadzie, że tamci wiedzą, że tu coś takiego jest, działa i przynajmniej odrobinę się kryją.

– Mówisz o Rosjanach?

– No, a o kim. Pobudowali takie twierdze, że tylko przez satelitę albo z samolotu

szpiegowskiego można podejrzec co tam jest w środku. Wwożą tu takie ilości pieniędzy, że jak już mówiłem ci, zaraz kupią tą wyspę. Polityków pewnie już kupili. Przynajmniej niektórych. Gniazda os.

– Oni wprost zacierają do stworzenia na tej wyspie plutokracji. Będą rządzić tym krajem z tylnego siedzenia, a politycy będą tylko ich marionetkami.

– Tak. Mówisz gniazda os?

– To są wredni, i bardzo niebezpieczni ludzie. Nad czym się tak mocno zadumałaś moja żono kochana?

– Jak byłam mała, to rozwalaliśmy nieraz gniazda os w lesie. Zwykłym patykiem.

Wystarczyło je potrącić, ono spadało i po gnieździe. Pewnie zaraz budowały sobie nowe. Nie była to grzeczna zabawa i na pewno leśniczy by nas potępił, ale zawsze było to jakieś doświadczenie. Myśleliśmy, że osy są szkodnikami.

– Ale wy to chyba musieliście mieć niezły charakter w nogach po takim zrzucie.

– Nawet nie. One nas z tym nie kojarzyły. Latały na oślep we wszystkich kierunkach.

Można było bez pośpiechu oddalić się.

– To było głupie. Nie uważasz?

– Może głupie, ale mieliśmy ubaw, kiedy spacerowicze szli w tym kierunku, gdzie było to rozwalone gniazdo, a potem wracali sprintem i machali nad głowami czym się da. Można tak było bawić się przez cały dzień.

– Nikogo nie pokąsały?

– Każde z nas oberwało, ale to było wpisane w program zabawy. Chciałam ci przez to powiedzieć, że jeżeli to są rzeczywiście gniazda os, to tak naprawdę łatwo je unieszkodliwić. Może nawet zwykłym patykiem. Nie ma się czego obawiać. Na nich zapolują takie niedźwiedzie, które w każdej chwili mogą podejść i rozwalić im te gniazda.

– Kogo masz na myśli mówiąc niedźwiedzie?

– Dokładnie to co usłyszałaś. Niedźwiedzie. Po rosyjsku Miedwiedi.

– No jest tam Miedwiediew. Oni się go boją?

– Oni tu instalują pieniądze nowych władców Rosji, więc muszą się bać.

– Z kim tak się bawiłaś nierozważnie?

– Zawsze z moim jedynym kolegą i przyjacielem Lolkiem.

– Nie miałaś koleżanek, jak inne dziewczynki?

– Nie. Znacząc miałam, ale to były koleżeństwa płytkie. Wszystko poza szkołą już się nie liczyło. Tylko Lolek umiał czytać i czytał dużo. Ja miałam świra na punkcie czytania już od pierwszej klasy. A tak naprawdę jeszcze dużo wcześniej. Jak oni uczyli się w klasie liter to ja z Lolkiem już czytaliśmy komiksy i książki. Wyprzedzaliśmy rówieśników o ładnych kilka lat. Później jak przeprowadziliśmy się do Łomianek to jeździliśmy z Lolkiem rowerami do lasu. Tam dyskutowaliśmy o książkach i filmach. Ja uczyłam się języków o on uczył się ładnie i ciekawie pisać. Nieraz mu się udawało, ale ja byłam czepliwa osa i łącałam go za co drugie słowo.

– To ten sam Lolek, który chciał uznać Monikę za swoją córkę gdybym ja został z Catherine?

– Ten sam.

– On był później twoim chłopakiem?

Zebi opowiedziała o Lolku, a Louis patrzył na nią z niewyraźną miną. Był zazdrosny, ale nie mógł tego w żaden sposób wyartykułować, bo przecież on też miał w przeszłości sporo dziewczyn i narzeczoną, którą Zebi przecież poznała.

– Miał świra na moim punkcie i nie mógł sobie darować, że nie zaszłam z nim w ciążę, bo miałby szansę na małżeństwo ze mną. To on był moim chłopakiem od pierwszej klasy, tylko jeszcze wtedy o tym tak dokładnie nie wiedzieliśmy. Właściwie gdyby nie on, to byłabym pewnie grubą dziewczynką, a później grubą kobietą, bo miałam taki apetyt, że nie umiałam się opamiętać. On stał na straży i cały czas pilnował, żebym jadła więcej warzyw a mniej rzeczy tłustych i mięsa. Chwytał mnie za rękę, kiedy sięgałam po słodczyce i mówił: „...nie wolno ci, bo później byś tego żałowała”. Wszyscy się obżerali a ja, nie wiem dlaczego, ale wtedy słuchałam się go. Roberta poznałeś i wiesz, że jest szczupły i sprawny, Maję i Darka też znasz i wiesz, że są prawdziwymi sportowcami. To też miało wpływ na to, że coraz bardziej dbałam o dietę. Teraz nie jestem gruba, bo pewne rzeczy w porę dotarły do mnie. Na szczęście, już wtedy radykalnie zmieniałam dietę. Sam widzisz, że nie pozwalam, żeby na naszym stole pojawiały się rzeczy ciężkostrawne i wysokokaloryczne. Jedynym wyjątkiem było wesele. Tam pojawiło się wszystko.

– Francuzi podobnie jak Polacy lubią tłuste i mocno kaloryczne jedzenie, ale nie są grubi. Statystycznie oczywiście. Nie wiem dlaczego, może to od dużej ilości wytrawnego wina które spożywamy. Ono podobno poprawia pracę jelit.

– Mnie się wydaje, że to wasze jedzenie, jednak nie jest takie kaloryczne jak polskie.

– Lolek miał skądś wiedzę o tym, że trzeba cię pilnować, bo bez jego wsparcia utyłałabyś? Wtedy byłem zazdrosny i wściekły na niego. Miałbym ochotę dać mu po gębie, ale już mi przeszło. Pewnie teraz chętnie bym go poznał i pogratulował wytrwałości w pracy nad tobą.

– Powiedziałaś, bez jego wsparcia. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się, skąd u niego, młodego chłopaka taka inicjatywa. Wiem, że był czytany, miał sporą wiedzę już od najmłodszych lat, ale skąd taki pomysł, żeby udzielać mi wsparcia i pilnować mojej diety, żebym nie utyła. W tamtych czasach, kiedy było kiepskie zaopatrzenie, jadło się tylko rzeczy ciężko zdobyte. Nietrudno było utyć. A on ciągle stał mi nad głową i hamował moje zapędy w jedzeniu. Prawdopodobnie to jego matka miała sporą wiedzę na ten temat i od najmłodszych lat wpajała mu ją. Była lekarzem.

– Zależało mu na tobie, ale to były już te szczególne relacje między wami.

– Tak, ale ja do tej pory traktowałam to jako coś oczywistego. Coś, co się po prostu działo i nie było w tym nic dziwnego. A teraz widzę to inaczej. Więcej ci powiem. Myślę, że jemu cały czas zależy na mnie i gdybym popadła w jakieś kłopoty to on pierwszy ruszyłby mi na pomoc. Ja jemu chyba też.

– Widzisz inaczej, czyli jak?

– Teraz wydaje mi się, że on był mi podrzucony. Odgórnie.

– Chyba przesadzasz. Jak to odgórnie. Przecież oboje jesteśmy ateistami. O czym ty mówisz?

Przesadzała. Co by się jednak stało, gdyby jego przy niej nie było? Babcia która też mocno zwracała uwagę na jej nadmierny apetyt, siostra i brat, którzy byli sportowcami, prawie od urodzenia. Uważali, że skoro miała taki wilczy apetyt, to powinna ćwiczyć. Zapisać się tak jak oni na różne kursy sportowe, basen i wtedy nie będzie tyła. Lolek podszedł do tego inaczej i trafił do niej bardzo rzeczowymi argumentami. Na nim jej zależało, a babcia, mama, czy rodzeństwo byli dla niej rzeczywistością która nie mogła się nigdzie zapodziać. Lolek mógł. Był dla niej bardzo ważny. Chociaż ona dość długo udawała hardą i mówiła, że jak mu się nie podoba, to może sobie iść i nie wracać, to rzeczywistość była inna.

– Ale przecież jak spotkałaś mnie, to z Lolkiem ustały wszelkie twoje kontakty.

– Nie do końca. Jeszcze wtedy czasem rozmawialiśmy. Nasze kontakty ustały dopiero,

jak Catherine wyjechała oburzona, że masz słowiańską kochankę w ciąży. On złożył wtedy swoją słynną deklarację o uznaniu dziecka. Catherine wyjechała i od tamtej pory nie mieliśmy kontaktu.

- Uważasz, że powinnaś zainteresować się co się z nim dzieje?
- Może tylko na zasadzie ciekawostki. Osobiście już nic mnie z nim nie łączy. Jak się rozstawaliśmy był dziennikarzem. Chyba nawet całkiem dobrym. Na pewno jest coś o nim w sieci. Później spojrzę i powiem ci co się dowiem. Koniec urlopu. Wracam jutro do pracy.

* * *

Georg Busch ogłosił Irak, Iran i Koreę Północną osią zła w dniu 29 stycznia 2002 roku. Coś było na rzeczy. To, że Iran mu pluł do zupy, a Korea wywijiała szabelką to było bez znaczenia, ale dlaczego Irak był jego zdaniem w tej samej linii co Iran i Korea? Husain był niegrzeczny i miał głupie pomysły, ale w osi zła raczej nie był. Palestyńczycy zaczęli planować swoje zamachy w taki sposób, że nie było już widać ich pomysłów w sieci. Najwyraźniej zorientowali się, że agenci izraelscy ich podglądają i podsłuchują, więc robili wszystko „na piechotę”. Każdy zamek i każdy szyfr można otworzyć lub złamać, ale jak ktoś działa „na piechotę”, to trudno się do takiego dobrać. Zebi miała swój tajny sposób na docieranie do najskrytszych informacji. Potrafiła wykraść plany działań które przygotowywane były w największej tajemnicy, z największą ostrożnością i bez użycia komputera. Dyrektorzy byli pełni uznania i podziwu, że potrafiła złamać takie tajemnice. Nigdy oczywiście nikomu nie ujawniła jak to robiła. Daniel domyślał się, ale czuł się jej cichym współnikiem i przyjacielem. Nigdy więc o nic nie pytał.

- Spróbuj rozszyfrować, o co chodzi z tym Irakiem?
- Jak to o co. Busch każe ujawnić Husajnowi gdzie ma zapasy broni chemicznej, a tamten mówi, że nic takiego nie ma.
- Który mówi prawdę?
- Tego nie wiem. Myślę, że obaj kłamią.
- Jak to rozumieć?
- A tak, że Busch doskonale wie, że tam nic takiego nie ma, a Husain tak zaprzecza, żeby wszyscy myśleli, że ma. On ma taki pomysł, że skoro już jest w tej osi zła, to niech się go boją.
- To kretyn. Przecież Amerykanie w końcu zaatakują Irak i rzucają go na kolana.
- No tak. Ale Husain myśli, że Amerykanie tam nie przylecą bo się boją broni chemicznej i Rosjan. Myśli, że będzie jak za pierwszym razem. Zaatakują, pomachają szabelką i odstąpią.
- Już się nie boją, bo jadą właśnie do Moskwy dogadać się w tej sprawie. Busch leci do Putina podpisywać rzekomo jakieś traktaty o rozbrojeniu. Spotykają się w cztery oczy, żeby się rozliczyć za wybory i zrobić podział niedoszłych łupów.
- Wszystko zaczyna się potwierdzać, to co mówiłaś o zмовie cenowej na surowce.
- Tak? A co wiesz na ten temat?
- Husain mówi, że jak Amerykanie wjadą na Półwysep Arabski to ruszy na nich cały świat arabski i pokonają Jankesów. Wymyślił, że skoro nie dali rady Wietnamczykom, to Arabom tym bardziej nie dadzą rady.
- Z jego wypowiedzi można nawet pomyśleć, że on przeżył wojnę?
- Chyba teraz to już musi. Jak odpuści, to znajdzie się w ogniu walki wewnętrznej, a wie, że tu przegra na pewno. Lepsza wojna niż haniebna porażka z rąk własnych braci.

- A co twój mąż na to?
- On nie ma czasu zastanawiać się nad tym. Jest mocno zajęty łapaniem średnich i małych gangsterów na Cyprze.
- A co z dużymi?
- Są pod ochroną rządu, albo sami rządzą. Ich w razie czego łapią tylko niedźwiedzie.
- Możesz mi przybliżyć? Nie wiem o czy ty mówisz. O jakie niedźwiedzie chodzi.
- Właściwie to tylko o jednego. Miedwiediew. Słyszałeś już takie nazwisko?
- To znaczy niedźwiedź. Nie wszystko z tego jeszcze rozumiem, ale już cokolwiek mi świta. Myślę, że jak zwykle. Jeśli nie wiadomo o co chodzi, to znaczy, że chodzi o pieniądze.
- Tym razem, to są już naprawdę duże pieniądze. Nieraz tak wielkie jak budżety średnich państw europejskich na przykład.
- Dlatego potrzebna im jest ta zmowa cenowa. Dziesięć dolarów na baryłce, to jest tyle co budżet całej Rosji. Dlatego się dogadują?
- Tak. Jedni bez drugich nie dadzą rady tak wypiętrzyć cen.

* * *

Zebi miała swoją pracownię na piętrze po jednej stronie, a Louis miał swoją po przeciwnej. Pisał raporty z działań operacyjnych i ciągle rysował twarze. Były to najczęściej podobizny tych których ścigali. Ludzie opowiadali jak wyglądał ten czy tamten poszukiwany, lub ścigany, a on na podstawie tych relacji tworzył jego portret pamięciowy. Miał talent. Jeden agent przesłuchiwał świadka, a on siedział przy stoliku obok i szkicował twarz, na podstawie opowiadania. Bardzo często te portrety przydały się w pracy zespołu. Ołówek i gumka stały się jego podstawowymi narzędziami.

- Skąd masz taki talent do tych rzeczy?
- Nie wiem. Przez całą młodość szkicowałem budynki, albo inne obiekty. Potrzebne mi to było do nauki i do pracy, nigdy nie szkicowałem twarzy. Myślałem, że nie umiem, ale teraz była potrzeba chwili, nikt nie umiał, ja wziąłem kartkę i wyszło mi najpierw koszmarnie kiepsko, później trochę lepiej, a teraz tak, że mimo to najlepiej ze wszystkich.
- Masz tych szkiców tyle, że mógłbyś otworzyć jakąś wystawę.
- Już jest wystawa. U nas w firmie cały jeden korytarz, na który nie mają wstępu postronni i są to kopie tych twarzy. Jest już ich prawie setka.
- Wszyscy złapani?
- Nie. Złapanych zdejmujemy, żeby się nie myliło.
- Może dla zabawy zacząłbyś rysować polityków, w takiej lekkiej karykaturze. Wychwycisz najbardziej charakterystyczne cechy z twarzy, uwydatnisz je lekko i gotowe. A tych gangsterów będziesz robił na komputerze, będzie szybciej i łatwiej.
- Ja nie umiem rysować na komputerze.
- To ja cię nauczę. Zrobimy kilka lub kilkanaście podstawowych wzorów czaszek a do tego całe mnóstwo różnych elementów twarzy. Siądziesz ze świadkiem przy komputerze, on będzie mówił, a ty będziesz wstawiał te wyrysowane już wcześniej przez siebie elementy. Nie wiem, czy ktoś już takiego programu wizualizacyjnego nie zrobił. Jeżeli istnieje, to tylko trzeba go ściągnąć.
- Teraz to już każdy będzie mógł pracować ze świadkiem i ja pójdę w odstawkę.
- Nie, ty będziesz robił o wiele ciekawsze rzeczy. Na tamto szkoda twojego talentu.
- Mówisz poważnie? Uważasz, że mam talent?

- Jasne. Trzeba go tylko u ciebie rozwinąć. Nie wiem jeszcze jak, ale coś wymyślimy. Tak naprawdę, to każdy człowiek ma jakiś talent, ale bardzo często, a właściwie najczęściej przeżywa swoje życie i nawet nie dowie się, co kryje się w zakamarkach jego umysłu.
- A jaki talent ma nasza córka?
- Łatwo uczy się języków. Pewnie ma to po mnie. Ja też mam do tego talent.
- A Maks?
- On na razie wygląda mi na wszechstronnie uzdolnionego. Jak trochę podrośnie to na pewno coś zauważymy.
- Czyli, że odkrywanie talentu u dzieci, to szczególna rola rodziców.
- Nieraz jest jednak tak, że dziecko posiada wiele talentów i rodzice mają utrudnione zadanie. Można umożliwić rozwój dziecka w jednym, a nieraz w dwóch dziedzinach, a jeżeli ma zdolności i ma ich więcej, to co wybrać żeby dziecka nie skrzywdzić.
- Twój talent do rysowania twarzy ujawnił się dopiero teraz. Właściwie, to dla potrzeb zawodu który wykonujesz. A jeżeli są ludzie którzy odkrywają swój talent u schyłku życia, to jest im przykro, że tyle lat zmarnowali na robienie czegoś innego, co tak naprawdę za wiele ich nie interesowało.
- Może jednak ten odkryty talent, który ujawnił się dopiero u schyłku życia, nigdy by się nie ujawnił, gdyby nie wcześniejsze doświadczenia w zawodzie który wykonywał?
- Tak też może być. Ważne jest, że mając już ten odkryty talent, osoba będąca u schyłku życia może go realizować.
- To rzeczywiście jest piękne. Ma zajęcie i pasję, a co może być ważniejszego dla człowieka u schyłku życia. Wchodzimy na śliski grunt psychologii. Są całe Instytuty zajmujące się tymi rzeczami. Badają i analizują ludzkie talenty i sposoby ujawniania ich.
- W Jerozolimie jest taki Instytut, w którym zajmują się psychoanalizą. Miałam okazję być tam na kilku odczytach. To co ukryte jest w umysłach ludzi, to ocean możliwości, których nie zdoła się wydobyć bez zaawansowanej psychoanalizy.
- Mówisz o rzeczach, które już gdzieś słyszałem, ale zupełnie nie wiem jak to działa.
- Postaram się dać ci kilka przykładów. Weźmy takiego Hitlera. Wiemy, że miał talent oratorski i aktorski. Poza tym jeszcze malował. Gdyby poszedł w malarstwo, nie mielibyśmy tego wszystkiego co się wydarzyło. Ale trafił na lekarza, który eksperymentował z psychoanalizą i jak odkrył u niego talent do wygłaszania płomiennych przemówień to umiejętnie zachęcił go do działania w tym kierunku. Hitler był bardzo nieśmiałym człowiekiem. Doktorowi było bardzo trudno naprowadzić go na właściwe tory myślenia i wykorzenić tą wrodzoną nieśmiałość. Nauczył go gestów i min które trzeba przy tej okazji wykonywać i dalej już poszło samo. Bez tego zewnętrznego wsparcia psychologicznego, Hitler jako człowiek zagubiony i nieśmiały, nigdy nigdzie by nie wypłynął. To samo jest prawie ze wszystkimi wielkimi przywódcami. Psychoanalitik musi wydobyć z niego te cechy, które stanowią o jego najważniejszych talentach, odstąpić je pacjentowi, a następnie popchnąć go do działania w tym kierunku, krok po kroku bez zbytniego pośpiechu. Reszta przychodzi sama. Dam ci inny przykład. Wszyscy mieli pewnego młodego człowieka za mało zdolnego i kompletnie nieutalentowanego w żadnej dziedzinie. Ten ktoś zupełnie nie miał pamięci. Nie potrafił nauczyć się niczego na pamięć. Nie mógł zdać żadnego egzaminu, a nauczyciele uznali go za kretyna i tak właśnie go traktowali. Młody przebrnął z trudem podstawówkę i wypadało iść uczyć się dalej, ale sam uwierzył już, że jest kretynem i nie wiedział co mógłby robić. Ojciec został zmuszony przez kierownika szkoły, żeby zaprowadzić młodego do psychologa i z jego pomocą mieliby wybrać dla niego dalszą ścieżkę rozwoju zawodowego. Tamten miał za zadanie wyłowić u niego jakiś talent żeby można było posłać go na dalszą

naukę w tym kierunku. Psycholog, w tym przypadku była to kobieta w średnim wieku i dowiedziawszy się, że młodzieniec kompletnie nie ma pamięci, ujawniła ojcu chłopca, że jest kilka rodzajów pamięci. Jest pamięć słuchowa, jest wzrokowa i jest jeszcze bardzo rzadko spotykana pamięć psychomotoryczna. Znaczy to, że taki człowiek jak chce coś zapamiętać musi to od razu zapisywać. Tylko tak potrafi zapamiętać. Okazało się, że ten młodzieniec miał właśnie taki rodzaj pamięci. Pani psycholog nauczyła go, że będąc na lekcji, musi cały czas robić sobie notatki. Musi nauczyć się szybkiego zapisywania i notowania wszystkiego przynajmniej hasłowo. Po tym jednym, trwającym niecałą godzinę spotkaniu z psychologiem, młodemu zmieniło się całe życie. Poszedł do szkoły średniej i tam okazało się, że jest w pierwszej trójce najlepszych uczniów w szkole. Kompletny szok. Rodzice nie mogli uwierzyć w taką przemianę, chociaż ojciec wyczuwał już, co się stało. Nabrał szacunku do psychologów i co najważniejsze, do własnego syna.

- Myślisz, że zawsze musi być ten czynnik zewnętrzny w postaci psychologa?
- W przypadku przywódców, chyba zawsze. W przypadku innych talentów nie. Inne mogą rozwijać się samoczynnie, tylko to pewnie dłużej trwa i nieraz można się pogubić. A jak ktoś odnajdzie się, będąc już emerytem, to ciężka sprawa.
- Kto twoim zdaniem, z takich znanych, pogubił się?
- Pierwszy z brzegu, to Jerzy Kosiński. To moim zdaniem klasyczny przykład człowieka który się pogubił. Miał talent, a świat rozleciał mu się w najważniejszym momencie życia.
- To fakt. Ja też czytałem „Malowanego ptaka”. Długo nie wiedziałem co o tym myśleć. Z jednej strony czytamy przekaz autora, że to tylko fantazja literacka, a z drugiej wszyscy wiedzą, że takie rzeczy, jak opisane w książce miały miejsce.
- Ja nie chcę być broń Boże jakimś twoim domorośłym psychologiem, ale wydaje mi się, że przebywałeś dużo z naszymi dziećmi. Przez prawie pięć lat i pewnie nikt tak dobrze jak ty nie zna potrzeb intelektualnych dzieci. Wiadomo przecież, że podstawą rozwoju dziecka jest słowo i obraz, czyli krótko mówiąc ilustrowana książeczka. Na każdym etapie życia inna. Teraz ktoś taki jak ty, który przeczytał dzieciom tych książeczek setki, doskonale, jak mało kto orientujesz się jakie rysunki do jakiego tekstu byłyby najodpowiedniejsze. A czy są odpowiednie?
- No nie są. Bardzo często zdarzało się, że dzieci reagowały na rysunki zupełnie inaczej niż można było się spodziewać. Nam, a przynajmniej mnie mogło to się podobać, ale dziecko rzeczywiście niektóre rzeczy widzi inaczej.
- Wiadomo, że nie mogą być za ostre, nie mogą być również takie, które nie nawiązują bezpośrednio do treści, ale zważywszy jaką karierę zrobiły komiksy, można pomyśleć, że to co ty właśnie u siebie odkryłeś jest dziedziną otwartą i praktycznie bez dna. Ktoś z takim talentem jak ty, mieści się tam bez trudu.
- Louis pochylał się, pocałował i przytulił swoją mądrą żonę.
- Ty masz niezwykły talent, do robienia ludziom wody z mózgu. Mam na miejscu dwoje recenzentów mojej pracy twórczej, więc zdecydowałem, że będę to robił. Przynajmniej dla zabawy.

Rozdział 34

Imre

Zebi czuła, że coś straszego wisi w powietrzu. Jeszcze nie wiedziała co się wydarzy, ale wyraźnie wyczuwała jakieś złe wibracje. Ten dzień, 3 czerwca 2002 roku już od samego rana był inny niż wszystkie dni tego roku. Serce biło jej mocniej. Czuła, że powinna iść do

ambulatorium i przebadac się. Ciśnienie, cukier i co tylko tam mogą sprawdzić. Ociągała się z tym jednak. Pomyślała, że może ten dziwny stan zaraz sam przejdzie. Na popołudnie, szef szykował zebranie. Napiętrzyło się takich spraw, które trzeba było omówić w szerszym gronie. Poszła do laboratorium fotograficznego i zaczęła rozmawiać z jego szefem o portretach pamięciowych.

– Jest taki program, przy pomocy którego można błyskawicznie tworzyć portrety pamięciowe. Ma go nasza policja w Jerozolimie. Ale wszystko jest po hebrajsku. Trzeba pracować z klawiaturą hebrajską.

– Czy dostaniemy go za darmo? Na razie za darmo, na zasadzie wypożyczenia. Ale potem jak byśmy chcieli z niego korzystać na zawsze, to trzeba go pewnie kupić i zapłacić.

Zebi zrelacjonowała Louis'owi telefonicznie czego się dowiedziała. Powiedziała jeszcze, że dziwnie się czuje i zaraz wybierze się do ambulatorium. Zamierza poprosić, żeby ją zbadano. On ucieszył się, bo jak po hebrajsku, to jeszcze lepiej. Będzie bardziej przydatny w biurze. Te akcje w terenie trochę już go denerwowały. Codziennie jakaś awantura. Zdawał sobie sprawę, że jego twarz nie powinna zbyt często pojawiać się w relacjach bezpośrednich z gangsterami. Nigdy nie wiadomo kto i kiedy wszystko filmuje. Mogą chcieć szukać zemsty, bo niektóre z tych spraw wymagały zdecydowanego działania.

– Nikt oprócz ciebie nie zna u was hebrajskiego?

– Nikt. Przywieź mi ten program. Nauczę się go i zrobię prezentację w firmie. Ale ja mogę go najwyżej kupić.

– No to kup.

Zebi już weszła do ambulatorium i nawet już powiedziała o swoim dziwnym stanie, ale w tym momencie odebrała telefon od jednego z agentów.

– Cześć Zebi. Czy ty jesteś znajomą Sary Mosel?

– Tak.

– Miała wypadek samochodowy pod Betlejem. Leży w szpitalu i chce cię zobaczyć u siebie. Jechała z mężczyzną który niestety nie żyje.

– Co to za mężczyzna? – zapytała Zebi bez emocji.

– Jakiś Węgier. Policja musi sprowadzić kogoś z jego rodziny, żeby rozpoznać zwłoki.

– A jak się nazywa ten Węgier!?

– Benesz. Robert Benesz.

– To jest mój brat! – wrzasnęła w słuchawkę.

– W takim razie musisz jechać do Betlejem natychmiast. Samochód z agentem Hansem Krugerem będzie czekał ciebie na dole. Czarne renault laguna. Biegnij, on już za chwilę będzie na ciebie czekał. Sara Mosel kazała cię wezwać.

Zebi schodziła na dół i na klawiaturze swojego telefonu szukała nerwowo kontaktu do Louis'a. W końcu znalazła i zadzwoniła:

– Dostałam informację, że mój brat Robert zginął w wypadku pod Betlejem. Jadę tam. Znaczą teraz jadę do szpitala do Betlejem. Będę musiała rozpoznać zwłoki. Nie wiem, czy dzisiaj wrócę do domu.

Potem, już z samochodu zadzwoniła do mamy, do Mai i do Darka. Powinna zadzwonić jeszcze do Victorii, ale coś ją powstrzymywało. Pomyślała, że najpierw porozmawia z Sarą. Dowie się co tak naprawdę się stało. Hans prawie wcale nie odzywał się. Potem jednak zaczęli rozmawiać. Rozmawiali głównie o rodzinie. Potem zeszli na sprawy pogrzebu, konieczności przetransportowania zwłok i tym podobne tematy. Do Betlejem dojechali po godzinie. W recepcji szpitala dowiedziała się w której sali leży Sara. Pobiegnęła do niej, stanęła

w drzwiach i patrzyła na nią z wyrzutem, jak na morderczynię swojego brata. Miała obie nogi w gipsie i na wyciągu. Prawa ręka również unieruchomiona i podwieszona. Twarz na szczęście nietknięta, tylko lekkie skaleczenia od rozpryskującego się szkła. Podsunęła sobie krzesło i usiadła obok Sary.

– Mów jak było.

– Robert przyleciał w sobotę, przedwczoraj. Chciał zobaczyć Betlejem i mieliśmy się zdecydować, w niedzielę czy w poniedziałek. On wolał w poniedziałek, więc spakowaliśmy się i pojechaliśmy tam z samego. Jak wjechaliśmy na Hebron Rd to nie wiadomo skąd posypał się na nas grad kamieni. Wcisnęłam hamulec bo przednia szyba popękła i nic nie było widać. Wpadłam w poślizg i obudziłam się dopiero tutaj jak mi nastawiali nogę. Robert nie żyje.

– Wiem. Mówili mi przez telefon.

Do sali weszła lekarka z pielęgniarką. Lekarka zwróciła się do Zebi po angielsku, ale ona od razu sprostowała, że zna hebrajski i że mogą rozmawiać w tym języku.

– Pani jest siostrą Roberta Benesza?

– Tak.

– Proszę z nami. Będzie pani musiała zidentyfikować zwłoki brata. Czy jest pani gotowa na to?

– Tak. Bardzo proszę.

– Ja idę. Trzymaj się Saro. Może jeszcze tu do ciebie zajrzę.

Zjechały windą do podziemi. Zaprowadzono Zebi do pomieszczenia, gdzie znajdowały się lodówki z nieboszczykami. Pracownik dostał informację od pielęgniarki, że idą do zwłok Roberta Benesza i on od razu skierował się do szafy z której wysunął szufladę z ciałem. Było przykryte cienką białą tkaniną. Odsłoniła twarz. To był Robert. Zebi jeszcze raz rozplakała się. Trudno było jej pogodzić się ze śmiercią brata. Może nie miała z nim takiego bliskiego kontaktu jak z Darkiem i Mają, ale jego też kochała. Zwłaszcza po jego ostatnim, miesięcznym pobycie w Izraelu. Spotykali się w tym czasie prawie codziennie i ich relacje odbudowały się po długiej przerwie. Wyjechali windą znów na drugie piętro i Zebi weszła jeszcze raz do sali w której leżała Sara.

– Dlaczego rzucali w was kamieniami?

– Nie wiem. Może zobaczyli tablice rejestracyjną z Tel Awiwu i postanowili nas zabić.

Jak się jedzie ponad sto na godzinę, a polecą kamienie wielkie jak pięści w karoserię i w szyby, to nie wiadomo co się dzieje. Myślałam że to ostrzał z jakichś karabinów. Później dowiedziałam się dopiero, że to były zwykłe kamienie. Wpadliśmy przy pełnej prędkości na barierkę, ale główne uderzenie było od strony Roberta. Został zgnieciony.

– Czy od tamtego czasu kiedy on tu pracował, był pierwszy raz u ciebie?

– Nie. To był już trzeci raz. Miał cały czas aktualną wizę, to chciał wykorzystać każdy wolny weekend na spotkania ze mną. Ale postanowił również, że za każdym razem jak tu przyleci, to będzie chciał zwiedzić inne historyczne miejsce. Teraz wybór padł na Betlejem.

– Co z twoim synem?

– Jest z ojcem. Mają tu być obaj, jeszcze dzisiaj.

– Teraz Victoria oskarży mnie, że to ja was poznałam i to ja będę winna jego śmierci.

– Nikt ze znanych mi ludzi nie jest winien jego śmierci, ani tego, że ja tu leżę. A tak w ogóle to po co masz jej mówić o mnie. Ja się już nie liczę, więc ani słowa o mnie. Przyleciał, bo miał tu jakieś interesy, nic więcej. Pracował tu i miał ważną wizę, więc nie ma sprawy.

– Masz rację. Ale przecież będą widzieli raport policyjny i będzie, że to ty prowadziłaś i, że to był twój samochód.

– Jedź do Jerozolimy na komendę policji i załatw, żeby umieszczono w raporcie notatkę,

że byłam oddelegowana z firmy współpracującej z firmą Roberta. Wiozłam go na spotkanie biznesowe.

- A czy rzeczywiście jest jakaś firma, z którą Robert aktualnie współpracował?
- Nie. Ale co to dla ciebie załatwić takie antydatowane porozumienie? Wcześniej jak przyjeżdżał papież to była firma z którą zawarł kontrakt.
- To rzeczywiście może nie być takie trudne. Znam adres. Przejadę się do nich.

Zebi udała się do zakładu pogrzebowego w Betlejem i zleciła odtransportowanie zwłok Roberta do Budapesztu w trumnie którą wybrała z katalogu. Zadzwoiła do Victorii, a ona już wszystko wiedziała od mamy, a właściwie od Darka, bo mama, nie za bardzo nadawała się do rozmowy. Jak przewidziała wcześniej, dostała od szwagierki po głowie, za to, że poleciał do Izraela nie mówiąc jej nic o tym. Nie wiedziała nic o Sarze. Padło pytanie z kim on jechał i Zebi od razu powiedziała, że z kobietą z firmy współpracującej z jego firmą, ale nie potrafiła powiedzieć co to za firma i po co on tu przyleciał. Dostanie raport policyjny i tam wszystko będzie dokładnie opisane. Poinformowała Victorię, że zleciła zakładowi pogrzebowemu przetransportowanie ciała do Budapesztu. Mają jej adres i oba numery telefonu. Trumnę prawdopodobnie trzeba będzie dotransportować do zakładu medycyny sądowej w Budapeszcie, ale Victoria musi to sprawdzić. Cała rodzina zaczęła przygotowywać się do pogrzebu. Victoria postanowiła, że pogrzeb odbędzie się w obrządku katolickim. Robert był ochrzczony i oni mieli ślub kościelny, a rodzina Victorii była katolicka. Ojciec Roberta István, pierwszy mąż Teresy już niestety od roku nie żył.

* * *

Pogrzeb odbył się we środę, 12 czerwca 2002 roku. Wszystkim zajęła się Victoria. Przyjęcie po pogrzebie zorganizowano w restauracji niedaleko cmentarza. W trakcie przyjęcia, o głos poprosił starszy syn Roberta, Zoltan. Opowiedział o tym jakim wspaniałym ojcem i mężem był Robert. Wyliczył wszystkie jego sukcesy zawodowe i życiowe. Pominął całkowicie to, że pracował w Izraelu na rzecz ochrony wizyty papieskiej, chociaż był to z pewnością jeden ze znaczących kontraktów w życiu Roberta. Ktoś z sali zawołał, żeby opowiedział o Sarze. Zapadła grobowa cisza. Nikt się nie odzywał przez dłuższą chwilę, tylko wszyscy rozglądali się wkoło, jakby szukali kogoś, kto może coś więcej od Zoltana powiedzieć na ten temat. Coraz więcej oczu wpatrywało się w Zebi. Zoltan powiedział do mikrofonu, że on niestety nie zna tej historii i zupełnie nie wie kto to jest Sara. Odłożył mikrofon i wrócił do swojego stolika. Victoria podeszła do Zebi i poprosiła ją dość agresywnie o wyjaśnienie. Powiedziała to po węgiersku, a stojąca obok Teresa przetłumaczyła na polski. Zebi jednak nie zdecydowała się na jakikolwiek komentarz w tej sprawie. Wzruszyła ramionami, poruszyła kilka razy głową na boki, pokazując zaprzeczenie i rozłożyła ręce, jakby chciała powiedzieć, że też nie wie za wiele na ten temat. Tymczasem wyręczył ją Louis. Wstał i bez pośpiechu podszedł do mikrofonu, ujął go dwoma rękami i stał tak kilka chwil czekając, aż na sali zapanuje zupełna cisza. Odczekał jeszcze minutę lub dwie, a potem zaczął. Powiedział dwa pierwsze zdania po francusku, a ten sam głos z sali zawołał: – ...przydałby się jakiś tłumacz!

Poproszono Teresę, żeby zechciała być tłumaczem Louis'a. Początkowo nie chciała, zastaniając się tym, że nie zna tak dobrze francuskiego, ale w końcu stanęła obok Louis'a i po każdym zdaniu wypowiedzianym przez niego przejmowała mikrofon i mówiła tą kwestię po węgiersku:

- Nazywam się Louis de Lorme. Jestem szwagrem Roberta. Wszyscy wiemy, że na

papieża Jana Pawła Drugiego szykowano zamach. Pomysł Arabów z różnych organizacji militarnych, które wypowiedziały wojnę Izraelowi był taki, że najlepszym miejscem do dokonania tego zamachu byłby właśnie Izrael. Wywiad, policja i wszystkie inne służby specjalne Izraela szukały pomysłu, jak zabezpieczyć pielgrzymkę na tyle skutecznie, żeby nie doszło do zamachu. Zajął się tym jedna wytypowana do tego zadania Tel Awiw'ska firma pośrednicząca w takich działaniach – Malachit S.A. i to ona zbierała oferty od różnych firm krajowych i zagranicznych, zajmujących się takimi zabezpieczeniami. Ten konkurs ofert wygrała firma Roberta. Pojechał tam ze swoją ekipą i przygotował trasę pielgrzymki tak, że można było bezpiecznie wszystko zrealizować. Osobą która w tym czasie współpracowała bezpośrednio z firmą Roberta z ramienia Malachitu, była pani Sara Mosel. Pracowała jako łącznik, koordynator i często jako kierowca dla firmy Roberta. Jednym słowem wszechstronne wsparcie. Jest to kobieta bardzo dynamiczna i doskonale zorganizowana. Nie ma w tym nic dziwnego, że mój szwagier Robert i Sara Mosel zaprzyjaźnili się ze sobą. Ta przyjaźń przetrwała i ostatnio jak los ponownie rzucił Roberta do Izraela, to poprosił panią Sarę o pomoc. Już niekoniecznie przez firmę, po prostu po przyjacielsku. Chodziło mu o to, żeby zgodziła się zostać jego kierownicą i tłumaczem na czas jego wizyty w Betlejem, w firmie z którą właśnie negocjował swój drugi, ważny kontrakt w tym kraju. Informacja o tym, że dwoje ludzi, którzy pracowali w 2000 roku na rzecz zabezpieczenia pielgrzymki papieża tak, żeby nie mogło dojść do zamachu, przecieka prawdopodobnie do którejś organizacji arabskiej. Wszystko wskazuje na to, że do Hamasu. Tamci postanowili dokonać zemsty. Miało to wyglądać jak chuligański, z pozoru niewinny wybryk, chociaż wszyscy wiedzą, czym takie wybryki się kończą. Kamienie rzucone w samochody pancerne, poruszające się z małą prędkością są zupełnie niegroźne, ale rzucone w pędzący ponad sto kilometrów na godzinę samochód osobowy jest zupełnie czymś innym. Celem atakujących była zemsta. Przecież ani w tym miejscu, ani nigdzie na całej tej trasie, nikt nigdy nie rzucał kamieniami w samochody. Pani Sara Mosel przeżyła, chociaż jest bardzo ciężko ranna i za kilka miesięcy prawdopodobnie opuści szpital. Jeszcze będzie ją czekała bardzo długa rehabilitacja i nie wiadomo jak duża liczba różnych operacji. Jak już opuści szpital to będzie mogła opisać całe to zdarzenie i na pewno to zrobi. To wszystko co wiem na ten temat i proszę nie łączyć mojej żony z tą sprawą, ponieważ Zebi nie ma z tym zupełnie nic wspólnego. Również pracowała na rzecz zabezpieczenia pielgrzymki, ale w zupełnie inny sposób i z innymi ludźmi.

- Skąd pan to wszystko wie? – padło pytanie z sali, a zadał je ten sam mężczyzna.
- To proste. Jestem policjantem. Muszę takie rzeczy wiedzieć.

Odłożył mikrofon i wrócili razem z Teresą do swojego stolika.

– Porozmawiamy później. – powiedziała Zebi ciągnąc Louis'a za rękaw i zmuszając w ten sposób żeby usiadł.

Patrzyli na siebie jak nigdy wcześniej. Zebi miała w spojrzeniu wyraźny żal, że Louis wtrącił się w te sprawy. Ich rozmowa przy stole już dalej odbyła się cichym szeptem, ale wszyscy i tak wiedzieli, że to jest dość ostra kłótnia.

- Skąd miałaś pomysł, żeby wygłosić takie przemówienie?
- Spontanicznie. Co za różnica. I tak pewnie nikt nic nie zrozumiał.
- Nie bój się, zrozumieli wszyscy. Nawet dzieci. Moja mama na pewno dobrze przetłumaczyła.

– Ktoś chciał narobić szamba na pogrzebie, a ja mam takie sytuacje co chwila w pracy. Muszę wygłaszać co raz jakieś memorandum albo oświadczenie, żeby nie poszły na marne całe tygodnie, albo miesiące pracy, albo żeby nikt nikogo spontanicznie nie dźgnął nożem.

- Nie powiem, żeby mi się nie podobało. Ja bym tak nie umiała ogarnąć się i bez

przygotowania, prosto z głowy wypuścić w mikrofon taki tekst, to byłby ze mnie za negocjator. Poza tym, chyba uspokoiłeś trochę tą węgierską rodzinę, zwłaszcza Victorię i jej synów. Ona wyglądała, jakby na odchodne chciała mi poderżnąć gardło.

– Taki miałem cel, ale czy zrozumieli i uspokoiли się, tego nie wiem. Było łatwiej, bo jak Teresa tłumaczyła na węgierski, to ja miałem czas na to, żeby przygotować się do następnego zdania.

– Ciekawe kto to był, ten mściciel który zaczął wykrzykiwać imię Sary?

– Nie wiem. Wszędzie jest pełno różnych szpicli i podglądaczy. Ale na pewno to ktoś, kto chciał tu ukręcić jakiś swój interes.

– Ty mu to udaremniłeś.

– Taki miałem zamiar. Wkurzyło mnie, że ktoś twojego brata próbuje opluć, w taki dzień i w takim miejscu, a jeszcze chce ciebie w to wmieszać. Tak w ogóle, to przydałoby się dowiedzieć kim był ten, który tak zawołał.

– Masz jakiś pomysł jak się dowiedzieć?

– Teraz wszyscy będą jedli, a ty na pewno zechcesz chwilę porozmawiać z mamą, więc poproś ją, żeby zapytała. To ona jedna z naszej strony zna tu węgierski i może Victorię, Zoltana albo Bilo zapytać o tą osobę.

– Chcemy to jakoś wykorzystać?

– Może niekoniecznie, ale skoro takie rzeczy dotarły aż tutaj, to znaczy, że ktoś rzeczywiście interesował się Robertem i Sarą. Jeżeli jacyś groźni ludzie potrafili dotrzeć do ich cichego i ukrywanego skrupulatnie związku, to znaczy, że wszyscy jesteśmy pod lupą. Śledzą nas i podglądają, a to oznacza, że naszym zadaniem jest wykryć kto to jest i unieszkodliwić to coś.

– Gadasz jak prawdziwy policjant.

– Bo przecież jestem prawdziwym policjantem.

Teresa razem z Piotrem przeprowadzili swoje delikatne śledztwo i dowiedzieli się, że tym który na przyjęciu wykrzyczał o Sarze był kuzyn Victorii. Nazywał się Imre Slavkowitz. Pół Węgier, pół Serb. Pracował w wywiadzie węgierskim i był w tamtych czasach w Izraelu. Zebi od razu zadzwoniła do swojego szefa Daniela i zapytała czy zna takiego człowieka. Nie znał. Ale powiedział, że zaraz komuś każe zająć się tym i jak dowie się czegoś to obiecał oddzwonić. Nie upłynęło pół godziny, a Daniel oddzwonił i zdał relację czego dowiedział się o tym człowieku. Pracował od początku 1999 roku do stycznia 2002 roku w ambasadzie węgierskiej i udawał dyplomatę, chociaż było wiadomo, że jest agentem wywiadu. Znał świetnie język arabski i trochę słabiej hebrajski. Był bardzo przebiegły i z charakterystyki operacyjnej wynikało, że to brutalny i bardzo niebezpieczny typ. Przyjęcie trwało, a Zebi pochyliła się i opowiedziała po polsku to, czego się dowiedziała. Wszyscy dokładnie zrozumieli, nawet Louis.

– Co chcesz zrobić kochanie?

– Podejdę do niego i zagadam po arabsku.

– Co mu powiesz?

– Powiem, że podejrzewam go, że to on zorganizował zamach na mojego brata i Sarę Mosel pod Betlejem. Że odpowiednie służby w Izraelu już pracują nad tym, i jak okaże się, że jest tak w istocie, to jest przegrany nie tylko zawodowo ale również w rodzinie. Nie ukryje się nigdzie, bo z każdego miejsca na świecie zostanie pojmany i przywieziony na proces do Izraela.

– Dobrze. Idź, powiedz mu to, a ja właśnie włączam kamerę i będę to wszystko

filmował. Mam tu bardzo dobry mikrofon, to nie umknie nam żadne słowo. To może być bardzo przydatny materiał w ewentualnym śledztwie.

Zebi wstała i powoli przeszła przez salę. Imre nie spuszczał z niej wzroku. Przeszedł jeść, odłożył sztucce i zaczął powoli wstawać, ponieważ widział, że ona również wpatruje się w niego dość uważnie i idzie prosto do niego. Kontem oka zauważył, że wysoki facet który dopiero co przemawiał, mąż Zebi również wstał i wszystko filmuje. Stała blisko niego, na odległość wyciągniętej ręki i zaczęła mówić po arabsku. Najpierw był bardzo mocno zdziwiony, że Zebi, siostra Roberta stoi przed nim i mówi czysto po arabsku. Potem wpadł na pomysł, że będzie udawał, że nie rozumie. Zrobił głupią, zdziwioną minę, wzruszał ramionami, ale jej monolog ciągnął się już kilka minut więc zdecydował przerwać to i również po arabsku krzyknął żeby się zamknęła i odwaliła od niego. Na sali zapadła cisza. Wszyscy wiedzieli już, że coś się wydarzyło, ale nie wiedzieli co. Zdezorientowana Victoria podeszła do Teresy i zapytała o co chodzi. Teresa zaczęła podnosić się z miejsca, a Piotr jej pomógł. W tym czasie już wokół nich zgromadziła się całkiem spora grupka osób zaciekawionych tym co Teresa zamierza powiedzieć. Nikt nic nie rozumiał, a Louis wspinał się na palce, żeby móc lepiej filmować całe zdarzenie. W końcu stanął na krześle. Victoria nadal uporczywie domagała się od Teresy wyjaśnień, więc ona zaczęła mówić.

– Moja córka Zebi, powiedziała właśnie do pana Imre Slavkowitza, że w Izraelu trwa śledztwo w sprawie ataku na samochód którym jechał nasz Robert, i którego efektem była śmierć mojego syna i twojego męża Victorio. W tym śledztwie pojawiło się nazwisko pana Imre i Zebi właśnie odebrała telefon, że jest on prawdopodobnie zamieszany w to zdarzenie. Imre usłyszał to również po węgiersku z ust Teresy i zauważył, że Louis sfilmował również cały dialog pomiędzy nią i Victorią. Jego rodzina, która go otaczała, zaczęła teraz wykrzykiwać głośno pytania do Imre: – ...czy to wszystko prawda? – On nie czekał już na dalszy rozwój wypadków. Chwytał swoją marynarkę i wybiegł na zewnątrz z wyraźnymi oznakami wściekłości na twarzy. Miało to miejsce zanim jeszcze Teresa wypowiedziała się do końca na ten temat, co oznaczało, że Imre rozumiał także każde słowo które wypowiedziała do niego Zebi po arabsku.

– Jeżeli to nie ma nic wspólnego z prawdą i okaże się, że Imre jest całkowicie niewinny? – szepnęła Zebi, jak już wróciła na swoje miejsce pomiędzy Teresą a Louisem.

– Im więcej będzie zaprzeczał tym bardziej będzie się pogrążał. Ta rodzina już go nie przyjmie. Nawet jak coś wiedział, to miał okazję pomilczeć. Wszystko by ucichło, a on nigdy by nie musiał się denerwować, że sprawa wyjdzie na jaw.

Imre był z rodziną, to znaczy z żoną i z piętnastoletnią córką. Słyszały rozmowę jego z Zebi. Nic z niej nie rozumiały, ale słyszały, choć niezbyt dokładnie wypowiedź Teresy. Przyzwyczajone były obie do awanturniczego zachowania Imre'go i prawie nie zwracały uwagi na jego poczynania na tym przyjęciu. Była jakaś rozmowa w kompletnie niezrozumiałym języku, były inne głosy zdziwienia i jakiś płacz, ale to raczej normalne na przyjęciach pogrzebowych. Pani Maria i jej córka Leila Slavkowitz nie zareagowały nawet na to, że ktoś z rodziny podszedł i powiedział, że być może Imre jednak przyłożył swoją rękę do tego, że zginął Robert.

– Wcale bym się nie dziwiła. Ja już za chwilę nie będę na szczęście jego żoną. Sprawa rozwodowa toczy się już dość długo, ale jeszcze trochę i się skończy. Będę uwolniona od tego psychopaty.

Przyjęcie dobiegało końca i pod restaurację podjechał radiowóz policyjny. Wsiadło z niego dwóch umundurowanych policjantów, weszli i zapytali czy jest na sali ktoś z rodziny pana Imre Slavkowitza. Wskazano na Marię i Leilę. Policjanci podeszli i zakomunikowali im,

że pan Imre miał właśnie wypadek samochodowy. Jego mercedes zderzył się z ciężarówką. Pan Imre Slavkowitz został odwieziony do szpitala. Miał przy sobie zaproszenie do tej restauracji na konsolację i policjanci postanowili podjechać tu i zapytać.

– Do którego szpitala?

– Tego jeszcze nie wiemy, ale jak dostaniemy taką informację przez radio, to niezwłocznie ją pani przekazemy, proszę nam podać swój numer telefonu. – pani Maria podała swój numer, a Teresa słyszała i od razu wstukała go sobie do swoich kontaktów.

– Czy chociaż wie pan w jakim jest stanie?

– Przypuszczam, że w poważnym. Jak go zabierano z miejsca wypadku, to był nieprzytomny.

Do stolika Zebi podeszła Victoria. Zakomunikowała im, że Imre właśnie miał wypadek i wyładował w szpitalu.

– Czy to efekt waszych mrocznych intryg Zebi? – zapytała rozdygotana Victoria po angielsku.

– Poproszę o lepsze pytanie. – odpowiedziała Zebi również po angielsku.

– Jakie lepsze? Robert nie żyje, a Imre, mój ukochany kuzyn może zaraz umrzeć, a ty chcesz lepsze pytanie?

– Tak, bo tamto było całkiem do dupy.

– Skoro moje pytania są do dupy, to wydaje mi się, że na tym właśnie zakończymy nasze spotkanie.

– Myślałaś Louis, że kiedyś zostanę wywalona ze stypy własnego brata?

– On nawet nie był twoim bratem! – wrzasnęła Victoria.

– Maja i Darek są przynajmniej rodzeństwem przyrodnim, a ty jesteś adoptowana.

Obca! Nie masz z tą rodziną nic wspólnego!

Na te słowa Teresa energicznie wstała i spojrzała na Victorię takim wzrokiem, że tamta powinna spłonąć od tego spojrzenia jak od pioruna. Maja podeszła do Victorii i powiedziała jej, że jest nieznośnie głupia i nie ma o niczym pojęcia i cieszy się, że nie będzie musiała zaliczać spotkań z nią przez resztę życia. Od tej chwili wykreśla ją ze swojej rodziny. Za chwilę podszedł Darek, powiedział jej to samo i dodał jeszcze:

– Są słowa, których nie można wypowiadać w żadnej sytuacji. Przekroczyłaś wszelkie granice Victorio. Hindusi mówią, że „słowo wróblem wylatuje, a słoniem wraca”. Tak to się właśnie zdarzyło u ciebie.

Victoria odpowiedziała mu po angielsku tylko jednym słowem:

– Spierdalaj łobuzie. – chciał ją spoliczkować, ale Maja przeczuła to i powstrzymała go, zasłaniając ją swoim ciałem. Wiedziała, że Darek działając w furii mógłby źle wyważyć uderzenie i Victorii mogłaby zostać skrzywdzona, a to pogrążyłoby całą rodzinę. Stypa skończyła się kompletną klapą. Przemówienie Louis’a utonęło w morzu innych zdarzeń, których ciężar znacznie przewyższał obronę dobrego imienia Roberta.

– Nic się nie przejmuj kochanie. Dobrze, że my wiemy swoje, a ona nawet jak została wprowadzona przez Roberta w tamte tajemnice, to i tak nie wie rzeczy najważniejszych.

– O czym tak cicho plotkujecie?

– Nie o tobie Piotrze. Chociaż, może i o tobie też trochę.

– Zadzwoń do mojego przyjaciela i zaraz przyjedzie po nas swoim busem.

Zapakujemy się wszyscy razem i pojedziemy na lotnisko. Nasz samolot jest o godzinę wcześniej od waszego, ale i tak mamy jeszcze sporo czasu.

– Nie damy rady wszyscy się zmieścić. Wy pojedźcie busem z twoim kumplem, a my

zamówimy sobie taksówkę.

Taksówkę zamówiła im Teresa. Była na miejscu już za kilkanaście minut. Mieli do odlotu jeszcze dobre trzy godziny. Zebi poprosiła kierowcę, żeby jechał wolno, bo chcą jeszcze chociaż przez okno popatrzeć na miasto. W pewnym momencie po mniej więcej dziesięciu minutach jazdy, zobaczyli miejsce wypadku mercedesa z ciężarówką. Wszystko było oddzielone policyjną żółtą taśmą, a policjanci siedzieli w swoim radiowozie z jednym cywilem i był nim prawdopodobnie kierowca ciężarówki, któremu nic się nie stało. Mercedes ucierpiał mocno i wyglądało to tak, jakby to on staranował ciężarówkę. Zebi poprosiła kierowcę taksówki o zatrzymanie się. Znalazł miejsce w pobliżu i zaparkował. Poprosiła, żeby zaczekali, a sama poszła obejrzeć z bliska wrak mercedesa. Jedne drzwi dało się otworzyć, pozostałe były zakleszczone. Jeden z policjantów wybiegł z radiowozu, zbliżył się do Zebi i zaczął coś szybko krzyczeć po węgiersku. Ona nie zrażona jego reakcją i krzykiem dalej próbowała otworzyć drzwi samochodu. Policjant zniecierpliwiony chwycił ją za rękę, a wtedy ona powiedziała do niego po angielsku, że tym samochodem właśnie jechał jej kuzyn, pan Imre Slavkowitz i odwieziono go rannego do szpitala. Policjant nie rozumiał, ale nazwisko rannego kierowcy mercedesa zgadzało się, więc zawołał przez radio swojego kolegę z radiowozu. Przyszedł drugi policjant, młodszy i wyższy od tego z którym rozmawiała przed chwilą. Powiedziała jeszcze raz to samo i policjant zapytał dlaczego ona chce zajrzeć koniecznie do środka. Ona dostrzegła teczkę na tylnym siedzeniu i pomyślała, że byłoby dobrze mieć tą teczkę i sprawdzić jej zawartość.

- Dlatego proszę pana, że nasz kuzyn Imre Slavkowitz potrzebuje mieć tą teczkę przy sobie i mamy mu ją zawieźć do szpitala.
- Czy pani z nim rozmawiała?
- Nie, ale rozmawiałam z jego żoną Marią i ona poprosiła mnie i mojego męża który siedzi właśnie tam w taksówce z dziećmi, żeby podjechać tu na miejsce wypadku, zabrać teczkę i przywieźć ją do nich czym prędzej.
- Skąd ten pośpiech?
- Chodzi o jakieś leki, które Imre brał, a jak lekarze nie wiedzą co to są za leki to nie mogą podjąć decyzji o zastosowaniu terapii która może w tym przypadku uratować jego życie.
- No to na co pani czeka, proszę wyciągać tą teczkę i szybko jechać z nią do szpitala. Ani ja, ani tym bardziej mój kolega nie zmieścimy się w tą szparkę, żeby po tą teczkę sięgnąć. Pani z pewnością się to uda. – obaj odciągnęli drzwi a Zebi nachyliła się, wsunęła swoje wąskie ciało w rozwalonego mercedesa i sięgnęła po teczkę. Wszędzie śmierdziało benzyną i przepalonym olejem. Wycofała się z teczką w rękę z mercedesa, od razu odkręciła się, ale młodszy policjant wyjął jej z ręki teczkę i zajrzał do środka. Rzeczywiście były tam fiolki i kartoniki z lekami. Policjant oddał jej teczkę, a ona pobiegła z nią do taksówki. Podała ją do tyłu Louis'owi a sama usiadła i zapięła się pasem.
- Sprawdź co tam jest.
- Czego mam szukać, leków?
- Jak okaże się, że on jest w trakcie jakiejś terapii a jego żona od kilku lat jest z nim w separacji to może nawet nic nie wiedzieć. Wtedy my musimy znaleźć szpital w którym Imre leży i zanieść im te leki, żeby wiedzieli, że coś takiego łyka.

Taksówkarz jeszcze nie ruszył. Czekał z włączonym silnikiem, aż Louis przeszukał dokładnie teczkę. Są jakieś leki, ale ja nie wiem co to jest. Dwa kartoniki i jedna fiolka. Co to może być?

Taksówkarz spojrzął i od razu wiedział.

- Te są na nadciśnienie, a tamte to jakieś psychotropy.
- Panie kierowco, a jak dowiedzieć się w którym szpitalu leży ten nasz kuzyn?
- Jak się nazywa ten gość?
- Imre Slavkowitz.
- Ja pójdę do tych policjantów i oni pewnie już wiedzą.
- Bardzo prosimy, jakby pan mógł dowiedzieć się.

Taksówkarz podszedł do radiowozu, nachylił się do otwartego okna i już za moment wracał przyspieszając kroku.

- Już wiem, jedziemy.

W tym czasie Louis już zagłębił się w dokumenty które znalazł w teczce Imre'go.

Taksówka podjechała pod szpital i Zebi z lekarstwami poszła do recepcji. Chwilę trwało, zanim znaleźli lekarza, który mówił po angielsku. Zebi zapytała czy pan Imre Slavkowitz jest u nich i czy żyje. Odpowiedź była, że tak, więc położyła leki na ladzie i powiedziała, że jest przyjaciółką (zrobiła przy tym minę która jednoznacznie wyrażała chęć pozostania anonimową) i że te leki przyjmuje pan Imre. Lekarz podziękował jej, zapakował leki do papierowej torby i zapisał nazwisko pacjenta. Podał pani w recepcji i powiedział coś po węgiersku. Zebi podziękowała, odwróciła się i wróciła do taksówki. Nie podała swojego nazwiska ani żadnych namiarów na siebie. Zastłoniła twarz żałobną woalką, żeby kamery szpitalne jej nie rozpoznały.

- Jak tam. Co to za materiał? Coś ciekawego?
- To może być ciekawsze dla ciebie niż dla mnie, ale niczego się nie dowiemy, dopóki nie przetłumaczymy tego materiału.
- A co robimy z tą teczką?
- Zabieramy ją ze sobą. Nie jest upiornie ciężka.

Rozdział 35

Lista

Był czwartek, 13 czerwca 2002 roku. Teczka nie zawierała niczego, co można byłoby uznać za wartościowe. Oglądali te dokumenty już w domu wiele razy, przetłumaczyli je i nadal nie znaleźli w nich niczego wartościowego. Było jednak coś, co wyglądało interesująco. Był to bilet do opery w Budapeszcie. Bilet był dla jednej osoby, na sobotę 22 czerwca 2002 roku. Wetknięty był do małej przegródki, schowka, który można było odkryć tylko poprzez delikatne dotykanie wewnętrznej powierzchni teczki. Louis oglądał teczkę dokładnie kilka razy, ona też, ale w pewnym momencie wyczuła lekkie zgrubienie, potem wzięła latarkę i znalazła miejsce w którym wystarczyło podważyć paznokciem i był dostęp do kieszonki. Louis już znecierpliwiony poszedł szykować się do spania, a Zebi postanowiła iść na ten spektakl, nie ujawniać Louis'owi tego, że znalazła bilet i spróbować tam dowiedzieć się może czegoś, co powinno być w tej teczce a nie ma. Przejrzała swoje stroje wizytowe, reprezentacyjne i nie znalazła takiej sukni, w której mogłaby wystąpić w operze. Zadzwoiła do mamy po poradę i od razu umówiły się na zakupy w Warszawie. Pojawiła się od razu w domu Teresy. Usiadły w salonie przy herbatce i zaczęły rozmowę. Najpierw na temat pogrzebu i o wszystkim co tam się zdarzyło, a później o tym co się nie wydało, ale Zebi już wie jak było i zaczęła kolejno ujawniać Teresie te rzeczy. Później przeszły na tematy związane z jej pojawieniem się w Warszawie:

- Co potrzebujesz kochanie?
- Potrzebuję bardzo elegancką suknię. Taką, żebyśmy mogła się w niej pokazać w operze.

- To może dam ci swoje sari?
 - Nie, raczej nie chciałabym się przebierać za hinduskę. Mogę ją od ciebie wziąć, jeżeli nie używasz, ale do opery budapesztańskiej raczej nie.
 - Dobrze. Ja znam kilka świetnych sklepów w Warszawie. Pozwól córciu kochana, że ta suknia to będzie mój prezent dla ciebie. Miałam odłożoną pewną kwotę w gotówce, którą zamierzałam przekazać Victorii, ale po tym jak nas wyrzuciła z przyjęcia pogrzebowego mojego własnego syna, to zmieniłam zdanie i właśnie mam te pieniądze do wydania na jakieś kosztowne prezenty dla moich dzieci albo dla wnuków.
 - Oj mamo. Wiesz, że to nie jest dla mnie ważne, ale skoro chcesz mi zrobić prezent, to chętnie przyjmę. Na kiedy się umawiamy?
 - Może na jutro po pracy, czyli około siedemnastej według naszego czasu.
 - Dobrze. Będę u ciebie o siedemnastej.
- Zebi pojawiła się następnego dnia o siedemnastej. Usiadły z tyłu eleganckiego mercedesa mamy, a kierowcą był Piotr. Zawiózł obie panie do sklepu w Centrum. Teresa miała taki pomysł, żeby zrekompensować Viktorii w całości, a nawet z naddatkiem, koszt organizowania pogrzebu i przyjęcia. Przygotowała w kopercie dziesięć tysięcy dolarów i miała jej to dać już na początku, ale coś ją powstrzymało. Piotr doradził jej, że pieniądze zawsze jest lepiej dawać na koniec. Nie złożyło się i nie dała. Może da kiedyś jakieś pieniądze tym chłopcom, jak zechcą pojawić się u babci, ale jak ulegną negatywnym wpływom mamy, to mogą nic nie dostać. Zebi nie chciała ingerować w to, jak to sobie poukładała.
- Moim zdaniem synowie Roberta są w porządku. Może kiedyś uda się z nimi nawiązać jakieś lepsze relacje mamo.
- Wybieranie sukni nie trwało długo. Zebi nie miała cierpliwości do wyszukiwania jakichś nadzwyczajnych kreacji. Wybrała jej zdaniem ładną lejącą błękitną suknię do pół łydki z rozcięciem. Do tego jeszcze ładny czarny żakiet z aplikacjami i dopasowaną chustkę na szyję. Ku zdziwieniu sprzedawczyń, Zebi postanowiła pozostać w tym stroju, a poprzednie jej ubranie zostało spakowane do torby.
- Jeszcze nie robiłam takich poważnych zakupów trzynastego.
 - Odpowiednie do tej sukni buty musimy ci kupić.
 - Nie mamo. Butów to ja mam kilkadziesiąt par i co druga nadaje się do tego stroju.
 - No to jak chcesz.
 - O której masz samolot Zebi? – zapytał Piotr.
 - Samolot? A samolot. Mam go za jakieś dwie godziny.
 - To może zdążymy jeszcze coś zjeść razem?
 - Nie. Wiesz Piotrze, ja poradzę sobie sama, bez jedzenia i bez podwożenia mnie. Wy jedźcie do domu a ja już się pożegnam.
 - W żadnym wypadku. Ja odwożę cię na lotnisko. Jak mógłbym cię tak zostawić?
 - Uspokój się Piotrze. Ona doskonale wie co robi. Mówi, że się pożegna, to daj jej causa i niech idzie.
 - Tak nie można. Przecież to jest twoja córka.
 - Można, można. Słyszałeś co mówiła Victoria? Przyszywana córka! Prawdziwą bym odwozła, a taka przyszywana to niech sobie radzi sama. Wież mnie teraz do domu, albo przesiądź się, to ja poprowadzę.
- Piotr wolał się tym razem przesiąść.
- Ty się wygłupiasz, czy mówisz poważnie?
 - Zgadnij?

– Spójrz mi w oczy! Nie odwracaj głowy! Ty się wygłupiasz. Spójrz do tyłu. Nie zabrała swojej torby z ubraniami.

– Nie szkodzi. Zabierze jak przyjedzie następnym razem.

Za chwilę Zebi dojechała do domu swoją małą hondą. Wysiadła w pięknej błękitnej kreacji i Louis razem z ogrodnikiem zamarli w bezruchu.

– Jak się wam podobam chłopaki?

– Idziesz na bankiet do premiera?

– Coś w tym rodzaju.

Poszła do siebie, przebrała się i sprawdziła w komputerze na co idzie do tej opery w następną sobotę. Grali Toscę Pucciniego. Nigdy nie widziała nic Pucciniego, a w ogóle nie przepadała za operą. Uznała jednak, że ten bilet mógł być ważny. Zastanawiała się tylko, czy wtajemniczyć Louis'a w tą całą nową sytuację. Jeżeli go wtajemniczy, to będzie musiała lecieć do Budapesztu normalnie samolotem, tam nocować i potem wracać samolotem, a jak zatai, że to jest aż w Budapeszcie, to może to załatwić w trzy godziny i nikt niczego się nie dowie.

– Louis, pozwolisz, że w następną sobotę zniknę ci na trzy, albo cztery godziny?

– Jeżeli obiecasz, że nie pójdziesz mnie w tym czasie zdradzać, to znikaj. A o której godzinie planujesz zniknąć?

– Obiecuję, że nie pójde cię zdradzać, a chcę zniknąć od osiemnastej trzydzieści do dwudziestej drugiej. Może trochę dłużej.

– Będzie z tobą łączność telefoniczna w tym czasie?

– Niestety nie.

– I nie powiesz mi dokąd się udajesz?

– Nie. A ty nie będziesz wdrażał żadnych swoich policyjnych procedur do ustalenia gdzie jestem?

– Nie.

– Powiem ci tylko, że jest to impreza muzyczna, na którą mam tylko jedno zaproszenie i to ja z niego skorzystam. Sama jedna.

– Kiedyś powiesz mi co to była ta impreza muzyczna?

– Kiedyś, na pewno tak. Może nawet już niedługo.

W dobraniu butów pomogły Liz i Daria. One znały się lepiej na doborze butów do pięknej nowej błękitnej sukni. One za każdym razem wynajdywały buty z jakimiś metalowymi aplikacjami, a Zebi nie wiadomo dlaczego od razu je odrzucała. Musiały być bez odrobiny metalu. Była już przygotowana do szafowego wejścia do opery. Miała jeszcze cały tydzień, więc rzuciła się do pracy, żeby nadrobić stracony czas. Znowu nic nie dało się nadrobić. To co już się podziało, było nie do odtworzenia. Jej uczniowie spisali się kilka razy nadzwyczajnie. Czytała ich raporty i była pod coraz większym wrażeniem. Wspaniałe dzieciaki. Szkoda tylko, że tyle czasu zmarnowali, zamiast już wcześniej zorganizować szkolenie i efektywnie pracować. Całe szczęście, że już to się zmieniło. Posłużyła jako wsparcie do jednej akcji, w której mogło zginąć realnie nawet kilkadziesiąt osób. Agenci osaczali gniazdo Palestyńczyków, którzy przygotowywali się do akcji z zemstą w nazwie. Nie mogła działać przez komputer, więc udała się na miejsce swoim sposobem, wysledziła wszystko dokładnie, wróciła i telefonicznie poinformowała precyzyjnie dowódcę grupy jakie są zagrożenia i jak trzeba zadziałać, żeby nie ponieść strat, a gniazdo unieszkodliwić. Udało się i wszyscy byli w euforii. Już myśleli, że to koniec zagrożenia na tym terenie, ale to nie był koniec. We wtorek, 18 czerwca 2002 roku, palestyński chłopak wskoczył do ruszającego już z przystanku autobusu w Jerozolimie z potężnym ładunkiem na sobie. W autobusie było dość tłoczno i od

wybuchu rozpadł się on na kilka części. Zginęło dziewiętnaście niewinnych osób, a ponad siedemdziesiąt zostało rannych.

- No, tego nygusa cholera, nie wykryłam.

- Nikt z naszych go nie wykrył. Był przebrany za Żyda. Miał kipę i pejsy. Kto mógł podejrzewać, że to jest przebrany Palestyńczyk, a pejsy ma doklejone. Czy oni się tak bardzo od nas różnią? Jeżeli już, to na ogół tylko strojem. Sefardyjczycy wyglądają zupełnie jak Arabowie. Chociaż oni twierdzą, że między sobą rozpoznają się bez problemu.

Była sobota 22 czerwca 2002 roku. Bez torebki, bez telefonu, tylko z pieniędzmi pobranymi z miejscowego bankomatu Zebi weszła na teren Węgierskiej Opery Państwowej. Stała w kolejce do bufetu i zamówiła napój winogronowy. Miała jeszcze pół godziny do rozpoczęcia spektaklu, więc spacerowała i zwiedzała galerię obrazów. Czuła na sobie wzrok mężczyzn, zarówno tych którzy przyszli tu sami, jak i tych którzy byli z osobami towarzyszącymi. Miała trzydzieści pięć lat, a wyglądała najwyżej na dwadzieścia pięć. Wiedziała, że jest jedną z najatrakcyjniejszych kobiet w tym teatrze. Miała piękną jasnoniebieską suknię, doskonałą fryzurę i wygodne, eleganckie wiśniowe buty. W prawej ręce trzymała szklankę z sokiem, a w lewej przewieszony przez przegub żakiet. Przeszła kilka korytarzy z obrazami, kilka ze zdjęciami i nie wiedziała co które przedstawiają. Pozostało już tylko dziesięć minut, więc odstawiła na barenk szklankę i poszła odszukać swoje miejsce. Było to na pierwszym balkonie, mniej więcej na środku. Usiadła wygodnie tam gdzie wskazywał numer na bilecie. Balkon zaczął wypełniać się ludźmi. Każdy kto wchodził, musiał siłą rzeczy skrzyżować z nią swój wzrok. Ponieważ ona kłaniała się z lekkim uśmiechem, to wchodzący również uprzejmie kłaniali się. Cały czas próbowała odgadnąć, kto z gości na tym balkonie będzie miał do niej jakiś interes. Zostały zajęte wszystkie miejsca. Ponieważ była jedną z pierwszych, to mogła bez problemu oglądać każdego wchodzącego. Oceniała twarz, ubiór, ruchy ciała i nie dostrzegła nikogo, kto mógłby wyglądać na osobę, z którą Imre mógł mieć zaplanowane spotkanie. Czuła, że ten bilet i ten spektakl ma swoje drugie dno. Już wiedziała, że wśród tych wszystkich ludzi którzy ją teraz otaczali musi być przynajmniej jedna osoba, która ma zaplanowane spotkanie z Imre dlatego starała się niedostrzegalnie obserwować szczególnie sąsiadów, czy nie przyglądają się jej zbyt dokładnie. Jednemu przystojniakowi, około pięćdziesiątki, częściej niż innym głowa wykręcała się w jej stronę. Nie wiedziała, czy to było wynikiem jej doskonałego wyglądu w tym dniu i przystojniak nakręcał się na romans, czy rzeczywiście sprawa szła w kierunku nawiązania kontaktu dotyczącego interesu jaki miał rozegrać się w tym miejscu. W dodatku, ów przystojniak był jedynym z wchodzących, który nie uklonił się jej. Przeczytała wcześniej coś na temat treści tej opery i dobrze zrobiła, bo program który można było kupić był tylko w języku węgierskim, którego zupełnie nie знаła. Przygasło światło i zabrzmiała muzyka. Przeczytała to streszczenie kilka razy, a nie była pewna, czy czytała to co trzeba. Jednak już w połowie pierwszego aktu zrozumiała, że jest to właśnie to, o czym czytała. W przerwie prawie wszyscy dość szybko wyszli. Została tylko ona i przystojniak. Wstał i przysiadł na właśnie zwolnione miejsce obok niej. Pochylił się lekko w jej stronę i odezwał się po węgiersku. Wypowiedział dwa zdania i w każdym z nich było wymówione imię Imre, a w drugim nawet z nazwiskiem Slavkowitz. Nie spojrzała w jego stronę. Odczekała jeszcze chwilę i również przyciszonym głosem (choć nie było takiej potrzeby, ponieważ byli tam sami), poprosiła, żeby zaczął mówić po angielsku. Drgnął, spojrzał na nią z uwagą i zaczął od nowa.

- Dobrze. Powiedziałem, że to miejsce było zarezerwowane dla pana Imre Slavkowitza.

Dlaczego widzę tu panią, a nie pana Imre?

- Tak się składa, że to ja dzisiaj tu jestem i nie zamierzam panu tłumaczyć się z tego.

Pan Imre nie przyszedł bo nie mógł.

- Czyli mam rozumieć, że jest w waszych rękach?
 - Może pan rozumieć, co się panu podoba. Dzisiaj jestem tu ja i pana Imre na pewno tu nie będzie.
 - A co z teczką? Nasza oferta jest dalej aktualna. Chodzi mi o to, czy zdołaliście ją rozważyć, bo przecież nie chodzi o cenę. Ona już jest przez was zaakceptowana.
 - Przez nas? ...No nie wiem.
 - Czy to oznacza, że odrzucacie naszą ofertę?
 - Sam pan widzi, że okoliczności się zmieniły. Poza tym, proszę mówić w liczbie pojedynczej. Ja widzę pana pojedynczo i mam nadzieję, że pan mnie również. Skończmy z tą liczbą mnogą.
 - Tak, ale nasza, przepraszam, moja oferta była już raz zaakceptowana i ciężko byłoby teraz coś zmieniać.
 - Czyli?
 - Co, czyli. Pięćset tysięcy euro i to jest nasze, przepraszam jeszcze raz, moje ostatnie słowo. – powiedział już prawie szeptem przystojniak.
 - Czyli?
 - Chce pani renegocjować? Teraz?
 - Nie. Nie teraz. Jest już po trzecim dzwonku. Będzie pan uprzejmy podejść do mnie i złożyć odpowiednią ofertę na drugiej przerwie. – powiedziała to takim tonem, że przystojniak zrobił minę człowieka skoszonego serią z karabinu maszynowego.
- Poderwał się na równe nogi i wyskoczył na zewnątrz jak ktoś, komu w ostatniej chwili przypomniało się, że nie zdążył zrobić siku, a przerwa już prawie dobiegła końca. Rozpoczął się drugi akt. Przesłuchania i tortury na scenie jak na prawdziwym prowincjonalnym posterunku w Iraku, w okolicach Mosulu. Tylko tu na niby i przy tym ładnie śpiewali. Przeleciało pół aktu a przystojniaka nie było. Jedno jedyne puste miejsce na tym balkonie. Nie niepokoiła się. Jest to ostatecznie tylko gra, w której postanowiła zagrać i nic więcej. Jak się uda to dobrze, a jak nie to drugie dobrze. Zaskrzybiały drzwi i przystojniak wśliznął się na swoje miejsce. Obserwowała go od czasu do czasu spoglądając kątem oka. Był cały czas pochylony, jakby patrzył na swoje buty zamiast na scenę. – *...czyżby kontemplował? Raczej próbuje coś wymyślić, bo boi się, że biznes mu się wymyka.* – Akt drugi kończył się morderstwem. Tosca zabija barona, zabiera mu jakieś istotne dokumenty i ucieka. – *...coś jak u nas – pomyślała Zebi. – ...są jakieś dokumenty, może również kryje się za tym jakieś niebezpieczeństwo? Może lepiej szybko się dogadać niż prowokować los. Skąd można wiedzieć czy to nie jest jakiś gang i czy zaraz nie dźgną jej nożem?* – Akt drugi dał jej do myślenia. Zapaliły się światła. Wstała i wyszła na zewnątrz. Tym razem to ona potrzebowała szybko dotrzeć do toalety. Wiedziała, że zaraz powstanie tam kilometrowa kolejka. Jak doszła to już stało przed nią kilka kobiet. Udało się dość szybko dostać do środka, ale jak wychodziła, to widziała, że kolejka już wiła się aż po schodach. Wróciła na swoje miejsce. Przystojniak już siedział na miejscu obok i dżentelmeńsko wstał jak ona siadała. Uśmiechnęła się zalotnie, ale on nie odwdzieczył się niczym podobnym. Przeszedł od razu do rzeczy:
- Jakie są zatem pani oczekiwania?
 - Ja w tego typu interesach preferuję okrągłe sumy. Jeden, dwa, pięć, dziesięć. Żadne połówki, ani inne ułamki mnie nie interesują.
 - Mam ofertę która wynosi zero osiem i to jest moje absolutnie ostatnie słowo. Powyżej tej kwoty interes jest dla nas nieopłacalny i całość wykonamy sobie we własnym zakresie.

– Czy ja powiedziałam coś niezrozumiale? Mogę powtórzyć. Nie bawię się w detal. Okrągła jest jedynka.

– Ale czy pani rozumie, że zero osiem to jest wszystko co mogę zaoferować?

– Zatem, nie dogadaliśmy się miły panie.

– Wiem, że nikt inny nie jest tym zainteresowany, dlatego dziwi mnie pani postawa. Tu jest do mnie telefon. Jak zmieni pani zdanie, to proszę zadzwonić do mnie do poniedziałku do południa. – Zebi grzecznie odebrała wizytówkę i schowała ją do kieszeni żakietu który wisiał na krześle obok, uśmiechnęła się szyderczo i patrząc prosto w oczy przystojniakowi powiedziała:

– Zdziwił by się pan, ilu jest chętnych.

– Ta lista jest dedykowana i przygotowana tylko dla naszych potrzeb! – powiedział lekko podniesionym głosem przystojniak. – *...a więc jest to lista. Ciekawe czego lista. Na logikę może to być tylko lista na której są nazwiska ludzi, a jeżeli ludzi, to na pewno takich, z którymi trzeba coś zrobić. Unieszkodliwić, pojmać albo zabić. Przecież przystojniak ma amerykański akcent, teraz ich wrogami są głównie Irakijczycy. Szykuje się wojna więc będą chcieli osłabić wroga, sporządzając listy osób najbardziej im zagrażających. Gdzie jest ta lista w takim razie...*

Na wizytówce było tylko imię, albo pseudonim Scarpia i numer telefonu. Skądś znała to imię. Usiłowała sobie przypomnieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Na siedzeniu przystojniaka został program po węgiersku. Wiedziała, że on już skończył oglądanie spektaklu. Miał teraz inne problemy. Wstała i sięgnęła po ten program. Był świetnie zrobiony. Ilustracje i zdjęcia czarnobiałe doskonałe. Postanowiła to zabrać i pokazać mamie. Na pewno wykorzysta tą formę do swoich plakatów. Przeglądając strona po stronie natrafiła na słowo Scarpia. To był on. Sceniczny baron, którego Tosca dźgnęła nożem w drugim akcie. Trzeci akt to już zupełny horror. Egzekucje, zdrady i na końcu samobójstwo, przez rzućenie się głównej bohaterki w przepaść. Chwytało za gardło. Brawa na stojąco. Wszystkim bardzo się podobało. Ludzie jak za Nerona, uwielbiają krwawą łaźnię. Im więcej krwi i męczeństwa, tym większe brawa. Zebi wyszła. Nie była tak dobrze nastrojona tą operą jak się spodziewała, chociaż muzyka i śpiew podobał jej się. Zadała sobie pytanie, które cały czas ją nurtowało. Wychodzić na zewnątrz, czy nie. Może wejść do kabiny i tu zniknąć? Może na zewnątrz czeka na nią jakaś niespodzianka. Wsadziła wizytówkę przystojniaka do programu, po czym włożyła go do wewnętrznej kieszeni żakietu w który właśnie się ubrała i weszła do toalety. Postanowiła, że jeszcze spojrz z góry, czy przed wejściem nie ma przystojniaka. Nie było go, chociaż nie wiadomo czy nie siedział w którymś samochodzie, których było tam pełno. Na parkingu w pobliżu lotniska Larnaki było już wpół do jedenastej. W schowku samochodu był telefon. Zadzwoniła do Louis'a i powiedziała, że już wraca. O jedenastej była już w domu. *...co dalej. Mówić Louis'owi, czy nie. Co zrobić.*

Pierwszy raz nie umiała podjąć decyzji.

* * *

Teczka stała się problemem numer jeden. Oglądał ją Louis dokładnie, oglądała Zebi i oboje nie mogli dojść, dlaczego ona ma tak wielką wartość dla kogoś obcego. Było jasne, że ten przystojniak z teatru musiał być agentem jakiegoś wywiadu, a w teczce musiało być jeszcze coś ukryte. W niedzielę 23 czerwca 2002 roku był dzień ojca. Louis jak mało który mężczyzna czuł się stuprocentowym ojcem. To z nim dzieci spędzały większość czasu dlatego

w ich domu dzień ojca był świętem o wiele ważniejszym niż dzień matki. Szykowali się, na spędzenie niedzieli wyłącznie w gronie rodzinnym.

- Przejrzałeś dokładnie wszystko co było tam było?
 - Tak. Bardzo dokładnie. Przetłumaczyłem dokładnie każdy dokument i nie znalazłem tam niczego, co mogłoby przedstawiać jakąkolwiek wartość, a już na pewno nic tam nie przypomina listy. Ale i tak zrobiłem kopie.
 - A jednak jest ktoś, kto chce dać za tą szmatławą teczkę zero osiem miliona euro.
 - Jeżeli nie ma nic w teczce, to może jest coś wszyte pod podszewki tej teczki. Może musimy się przyjrzeć samej teczce.
 - Obawiam się, że nie mamy czasu jej prześwietlać. Klient który chce mi zapłacić za tą teczkę zero osiem miliona powiedział, że daje mi czas na podjęcie decyzji do poniedziałku do południa.
 - A skąd on jest?
 - Z Budapesztu.
 - Teraz zależy co bardziej nas interesuje. Czy zarobienie zero osiem miliona, czy zbadanie tej teczki i ewentualne znalezienie tego co tam jest tyle warte.
 - A jeżeli nic nie znajdziemy, albo nawet jak coś znajdziemy to nikt nigdy nie da za to tyle pieniędzy?
 - Może to ma wartość sentymentalną tylko dla kogoś kto się kryje za tym pseudonimem i dla nikogo innego.
 - Ty podejmuj decyzję. Wyciągnięcie teczki z mercedesa to był twój pomysł, więc odpowiedzialność za podjęcie tej decyzji również spada na ciebie.
 - Ale to ty jesteś super gliną i potrafisz podejmować niewiarygodnie dobre decyzje.
 - A czy ty nie musisz dzisiaj iść do pracy?
- Była niedziela, dzień ojca, 23 czerwca i Louis zamierzał z Zebi i z dziećmi to świętować. Jego szef, próbował odciągnąć go od rodziny i dać mu jakieś trudne zadanie na niedzielę. Nie dał się jednak wywabić z domu. Narzekał, że ta praca nigdy się nie kończy i dla złoczyńców nie ma świętej niedzieli. Działają i robią swoje na okrągło. Mogliby odpuścić, na przynajmniej ten jeden dzień. Zebi zastanawiała się, nad tą jego stresującą pracą. Czy to dobrze, że tak mocno angażuje się w niektóre sprawy. Był pozornie taki silny, ale ona widziała u niego tą jego słabość. Nie wiedziała jeszcze, na czym to polega, ale już czuła, że ta praca nie jest dla niego. Miał bez przerwy do czynienia z największymi gangsterami z całej Europy i Azji. Często dopadał ich i aresztował, a oni doskonale wiedzieli kim jest i gdzie mieszka. Wiedzieli też, która to jest jego żona i które to są jego dzieci. Jeżeli chcieliby się zemścić, to mieliby prostą drogę. To go mocno obciążało. Niczego nie można było zrobić na skróty, prosto czy zwyczajnie. Wiedział, że reakcja tej strony przeciwnej mogła nastąpić w każdej chwili, a mogła nie nastąpić nigdy.
- Ja, jak zdejmuję nogę z łóżka i stawiam ją na podłodze, to już jestem przynajmniej w pięćdziesięciu procentach w pracy. Myślę o niej od tego właśnie momentu. To tak, jakbym w niej już była. Jak zjem śniadanie i dojdę do komputera to już mam zapisany w głowie plan działania na cały dzień.
 - Sama widzisz. Takie szybkie planowanie wiąże się również z szybkim podejmowaniem decyzji, dlatego jestem zdania, że to ja robię śniadanie, a ty przygotowujesz się do podjęcia właściwej decyzji. Przełykasz ostatni kęs śniadania i zanim ja obudzę dzieci, to ty zakomunikujesz mi jaka jest decyzja.
 - Dobrze. Ja już podjęłam tą decyzję. Sprzedajemy teczkę i nie rozpruwamy jej.
 - Ale ja nie oczekiwałem od ciebie tej decyzji przed śniadaniem. Udam, że tego nie

słyszałem. Za chwilę będzie jajecznicza ze szczypiorkiem i na pewno po niej będziesz dużo jaśniej myślała.

- Macie w firmie aparat rentgenowski?
 - Nie, ale w Nikozji mają. Poza tym nie wiem, czy w niedzielę ktoś tam jest.
 - Załatwiłbyś mi tam wejście i prześwietlenie tej teczki?
 - Jasne, ale trzeba będzie komuś tam odpalić jakiś prezent.
 - Jaki prezent?
 - No nie wiem. Pieniądzy na pewno nie weźmie, więc może daj mu swój laptop, który właśnie wymieniłaś na nowszy, a dla niego to będzie i tak wielka rzecz.
 - No rzeczywiście. Jest wyczyszczony i ładnie zapakowany w super teczce.
 - Dzwonź do niego.
 - Jeszcze nie wiem do którego. Mam te numery w biurze. Pojadę jutro, porozmawiam i oddzwonię do ciebie. Potem ty wskoczysz w samochód i za trzy kwadranse jesteś na miejscu, w Nikozji.
 - Naprawdę?
 - Tak. Bo od nas jest bliżej niż z samej Larnaki.
 - No rzeczywiście. Nie pomyślałam. Przecież ja dzisiaj mam tylko podjąć decyzję, nic więcej. Umawiać się będziemy pewnie na jutro.
 - Oczywiście. Zdążysz wszystko zrobić, tylko bez zbędnego pośpiechu. Nie wolno nikogo poganiać.
 - Dobrze. Przepraszam, ale coś mi każe niecierpliwić się.
 - Wiadomo co.
 - Mów co. Czekam!
 - Chciwość. Czemu tak patrzysz, czyżbym się mylił?
 - Ty draniu. Jak cię dorwę to masz...
- Louis wybiegł z domu jak z procy. Zebi uśmiechała się pod nosem. A jednak boi się jej. Swoją drogą, miał rację z tą chciwością. Zawładnęła nią dogłębnie.

* * *

Louis namierzył kolegę. Nazywał się Boris Yound. Był poniedziałek 24 czerwca 2002 roku. Zadzwoił od razu do Zebi z wiadomością, że Boris każe jej przyjechać z teczką a on ją prześwietli.

- Dyktuję ci numer do niego... Jest czarnoskóry. Łatwo go znajdziesz. Adres znasz?
 - Nie.
 - To zapisz, dyktuję ci... Jak dzieci?
 - Dobrze. Wstały i jedzą śniadanie.
 - Świetnie. Ruszaj. Każda minuta się liczy.
- Zebi wskoczyła do swojej małej hondy i rzeczywiście już za godzinę była w Nikozji. Boris okazał się przesympatycznym facetem. Wziął teczkę, umieścił ją w odpowiednim statywie i zrobił kilka zdjęć z różnej strony. Był tam jakiś dokument, z pismem, którego nie dało się odczytać. Nie było jednak istotne, czy był to dokument takiej czy innej treści. Ważne było to, że jest tam coś ukryte i to coś jest warte dla Scarpia tyle pieniędzy.
- Postuchaj Borisie. Bardzo mi pomogłeś i chciałabym się jakoś odwdziżyć.
 - Absolutnie nie musisz się niczym odwdzięczać. Ja zawsze pomagam kolegom z naszej

firmy. Musimy się wspierać. Dzisiaj ja jestem potrzebny, a jutro to ja jestem w potrzebie. Nie przyjmę od ciebie żadnych pieniędzy. Nie ma mowy.

– Ale ja wcale nie mam zamiaru dawać ci pieniędzy. Ja pracuję na komputerze, a teraz są takie czasy, że postęp galopuje jak szalony. Muszę co pół roku zmieniać komputer a poprzedni mogę próbować sprzedać albo dać dzieciom. One już mają, a u mnie takie rzeczy zalegają po szufladach i na strychu. Chcesz, to dam ci swojego laptopa którego używałam kilka miesięcy, ale teraz już mam nowy, a ten mogę ci sprezentować. Ten model jest jeszcze cały czas w sklepach i uchodzi za bardzo dobry, ale dla mnie już nie bardzo się nadaje. Przyjmiesz?

– Pokaż.

Boris spojrzął i od razu mu się spodobał. Zwłaszcza, że miał już zainstalowane najpotrzebniejsze programy.

– Prawdę mówiąc, jeszcze nie miałem laptopa. Mam w domu stacjonarny, ale jest już taki przestarzały, że powinienem się go rzeczywiście pozbyć. Fajnie. Zgadzam się. Skoro tobie jest niepotrzebny...

– Dobrze bierz razem z torbą. Jest twój, ale mam jeszcze jedną prośbę. Masz tu w firmie dostęp do takiego telefonu który jest anonimowy? To znaczy, że ktoś kto z niego dzwoni nie może być namierzony, bo jego numer nie wyświetla się rozmówcy.

– Poczekaj. Przecież istnieje specjalny kod, który wpisujesz przed numerem do którego dzwonisz i już jesteś utajniona. Dzwonisz normalnie ze swojego, albo z jakiegokolwiek innego telefonu, a ten do którego dzwonisz już nie widzi twojego numeru.

– Sęk w tym, że ja nie mam swojego telefonu ze sobą.

Zebi skupiła się na oglądaniu zdjęć rentgenowskich a Boris poszedł po swój telefon. Tekst był napisany bardzo drobnym pismem, które nie było podobne do żadnego pisma jakie kiedykolwiek w życiu widziała. W całym tekście widoczna była tylko jedna cyfra „7” która powtarzała się nawet kilka razy w każdej linijce. Litery były tak pokręcone, jak żadne inne. Odszyfrowanie tego dziwaczego tekstu zajęłoby jej bardzo dużo czasu. Boris wrócił po dwóch minutach i podał jej aparat telefoniczny. Wpisał kod i kazał jej wpisywać dalej numer.

– Teraz jest nienamierzalny.

– Dzięki.

Zebi wybrała numer i oddaliła się na drugi koniec korytarza. Boris zaczął oglądać swój nowy sprzęt komputerowy.

– Dzień dobry. Mówi Tosca.

– Sprytny pseudonim. Wiem kto mówi. Jaka jest pani decyzja?

– Pomyślałam, że skoro do tej pory, wszystkie moje rozliczenia odbywały się w dolarach, to po przeliczeniu okazuje się, że pańska oferta jest dość okrągła. Zgadzam się, ale proszę mi powiedzieć jak będzie wyglądało to od strony technicznej? Jak zamierza pan się ze mną rozliczyć.

– To proste. Ja przynoszę torbę z pieniędzmi a pani teczkę o której mowa.

– Czy chodzi o dokumenty które są w tej teczce, czy o samą teczkę?

– Proszę przywieźć i teczkę i dokumenty. Wszystko tak jak było, tylko wiadomo, że już bez biletu na spektakl. Czy nasze spotkanie jest możliwe w dniu dzisiejszym?

– Tak ale jeszcze nie wiem o której godzinie. Gdzie pan proponuje?

– Hotel Hungaria w centrum Budapesztu. Co do godziny o której będę to zadzwonię jeszcze.

Oddała Borisowi telefon, a sama zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Postuchaj Borisie. Jak ten komputer? Podoba ci się?

- Tak. Jest świetny. Widzę, że ma zainstalowane wszystkie podstawowe programy.
- Tak. Ma wszystko co trzeba. Potrzebuję dowiedzieć się o której jest najbliższy lot do Budapesztu z Nikozji.

- Nic prostszego jak zadzwonić do informacji na lotnisko?
- Możesz to dla mnie zrobić?
- Oczywiście.

Borys sprawdził loty na swoim służbowym komputerze.

- Lot jest za dziewięćdziesiąt pięć minut. Jak chcesz zdążyć to musisz być tam za nie więcej niż kwadrans. Góra pół godziny.

Podzucisz mnie?

- Ja nie mogę, ale jest tu pewna Ala, z Polski i ona może cię podzucić. Poproszę ją.
- Dobrze.

Wyszli na korytarz i Boris wszedł do pokoju obok. Była tam wysoka, bardzo atrakcyjna blondynka. Siedziała przy komputerze i wyglądała na mocno zapracowaną. Wstała jednak jak zobaczyła nieznaną twarz. Boris je przedstawił, a Zebi od razu przeszła na polski.

- Witaj Alu. Boris powiedział, że możesz podzucić mnie na lotnisko?
- Tak, mogłabym, ale właśnie dałam kluczyki od samochodu służbowego koledze. Pilnie go potrzebował.

- Dobrze. To podrzuc mnie moim autem.
- A jeśli twoim, to proszę bardzo. Tylko najpierw może jeszcze do apteki po drodze.
- Nie ma sprawy. Jest tu naprzeciwko. Nie trzeba nigdzie jeździć.
- To ja biegnę do apteki a ty zejdź i za chwilę spotkamy się przy tej hondzie civic na wprost drzwi. Tu masz kluczyki.

Zebi wybiegła z teczką, przebiegła ulicę i na szczęście nie było kolejki. Poprosiła o plastry i bandaże. Załadowała wszystko do teczki i poprosiła jeszcze o torbę jednorazową, którą też włożyła do teczki. Ala już siedziała w hondzie z uruchomionym silnikiem.

- Uwielbiam hondy. Zwłaszcza te civic.
- Chciałabyś taką?
- Jasne. A sprzedajesz?
- Mogę ją sprzedać, mam właśnie na oku coś innego.
- A ile byś za nią chciała?
- Nie wiem, sama zaproponuj cenę. Ona ma dopiero cztery lata.
- To pewnie mnie na nią nie stać. Do Polski jej nie zabiorę, bo tam się jeździ po prawej stronie. A tu będę jeszcze najwyżej pół roku.
- Więc wydzierżawię ci tą hondę na czas twojego pobytu na Cyprze.
- Dobrze. A jaki czynsz?
- Nie wiem. A na ile cię stać?
- Sto funtów cypryjskich?
- Niech będzie. Masz ją za sto funtów miesięcznie. Skąd jesteś?
- Z Warszawy.
- Ja też, a właściwie z Łomianek, ale to blisko.
- I co tu robisz?
- Pracuję w biurze.
- To tak jak ja. Tylko, że moje biuro ściga przestępców.
- Moje też.
- To znaczy ta sama branża?

- Właściwie to tak.
- O. Jest już lotnisko, podwiozę cię pod same drzwi odlotów. Boris ma zamiar na ciebie?
- Tak ma. Ale masz tu moją wizytówkę jakbyś chciała zadzwonić.
- No tak, przecież muszę wysłać ci kasę za pierwszy czynsz dzierżawny.
- Oczywiście. Dokumenty są w schowku. Bagażnik nie chce otwierać się kluczykiem, ale można go również otworzyć pocięciem. Tutaj na progu, ten mały języczek, widzisz?
- Dzięki. Do zobaczenia.

Zebi doszła do kasy, kupiła bilet do Budapesztu i została od razu skierowana do odprawy. Był to prawie ostatni moment. Miała tylko jedną teczkę i była już głodna jak wilk. Pani celniczka zajrzała do teczki, znalazła kilka dokumentów i cały pakiet środków opatrunkowych.

- Jedzie pani na pojedynek?
- Niekoniecznie, ale tam gdzie będę, odbędzie się podział premii, więc wolę być przygotowana na najgorsze.
- Czy pani dzisiaj wraca?
- Nie, ale jak przeżyję ten podział premii, to lecę dalej do Warszawy.
- Żadnego bagażu więcej pani nie ma?
- Nie. Mój bagaż już tam jest.
- Dziękuję. Proszę następną osobę.

Lot trwał ponad pięć godzin i na szczęście było przewidziane jedzenie. W Budapeszcie od razu z lotniska zadzwoniła do Scarpia. Podała mu informację, że za półtorej godziny mogą spotkać się w hotelu. Wynajęła pokój, ale w innym hotelu, oddalonym o sto pięćdziesiąt metrów od tego w którym się umówili. Wolny był tylko pokój trzyosobowy. Zgodziła się, skoro nie było jedyńki. Weszła na górę. Miała jeszcze pół godziny. Wzięła prysznic i przygotowała się na spotkanie. Zostawiła wszystkie środki opatrunkowe na łóżku, wzięła tylko teczkę i pomaszerowała na spotkanie. Usiadła w holu hotelowym i czekała na przystojniaka. Wszedł punktualnie, co do minuty. Miał przewieszoną przez ramię torbę podróżną, średniej wielkości. Przywitali się i przystojniak zapytał, czy Zebi napije się czegoś? Zdecydowała się na kawę po węgiersku. Recepcjonista przyjął zamówienie i za chwilę z zaplecza wysunął się kelner z tacą. Postawił dwie kawy, butelkę wody mineralnej i dwie szklaneczki.

- Tu jest wszystko według umowy.
- Tu też jest wszystko, tak jak było. Nietknięte.
- Wie pani co jest w środku?
- Wiem.
- Ale teraz mówię poważnie. Czy na pewno wie pani co jest w środku. Nie mówię o dokumentach, które leżą luzem?
- Ja mówię o dokumentach które leżą luzem.
- Zatem oboje mamy pełną świadomość, że te dokumenty dla pani nie mają żadnej wartości.
- Można tak to ująć.
- Zakładam, że od momentu kiedy wymienimy się, nigdy więcej nie będziemy mieli ze sobą do czynienia.
- Oczywiście. Jak tego właśnie pan sobie życzy, to tak będzie.
- A czego więcej mógłbym sobie życzyć?

- Nie będę owijała w bawełnę, że jest pan atrakcyjnym mężczyzną i miałam cichą nadzieję, że zjemy razem kolację.
- Tego nie wykluczam, ale może przy następnym spotkaniu. Ma pani do mnie telefon i jak nic się nie zmieni, to oczekuję telefonu w przyszłym tygodniu. Pójdziemy na kolację do najlepszej restauracji w Budapeszcie.

Scarpia wyjął skalpel i rozciął sprawnie górną część podszewki wewnątrz teczki, odchylił i wyciągnął znajomy jej dokument. Spojrzał na niego, przerzucił strony. Wsunął z powrotem, uśmiechnął się szelmowsko.

- Tak przyjmujemy jak ustaliliśmy.
- Dobrze. Na trzy, cztery, pan posuwa do mnie swoją torbę. Trzy, cztery.
- Czy jest pani przygotowana na to, że mógłbym panią oszukać?
- Jak najbardziej. Przez ostatnich kilka lat byłam szkolona na wypadek takich sytuacji.
- Czy pan również jest przygotowany na taki wypadek?
- Nie. Ja nigdy nie byłem szkolony. Ja jestem człowiekiem interesu i cenię sobie dobre transakcje. Uważam, że ta którą właśnie przeprowadziliśmy jest dobra. Czekam z niecierpliwością na telefon w przyszłym tygodniu.

Zebi podniosła torbę, odsunęła suwak i nie mogła ocenić na oko czy kwota się zgadza. Pieniądze były jak z drukarni. Zasunęła suwak i uznała, że nie ma sposobu na to, żeby sprawdzić czy została nabrana, czy nie. Pociągnęła ostatni łyk kawy, potem jeszcze pół szklanki wody. Wstała i wyszła. Już w drzwiach kiwnęła przystojniakowi na pożegnanie. Doszła do swojego hotelu z torbą na ramieniu i z lusterkiem w drugiej dłoni. Obserwowała jednym okiem wszystko co przed nią i drugim co za nią. Nie była pewna, czy nie jest śledzona, więc wsiadła do wolnej taksówki, która stała przed hotelem. Taksiarz nie znał żadnego innego języka poza węgierskim. W końcu jednak okazało się, że jest z pochodzenia Słoweńcem i spróbowała po polsku. Teraz nareszcie zrozumiał, że ma jeździć przez kwadrans byle gdzie, aby szybko, a potem wrócić pod hotel Elit. Miała forinty. Zapłaciła mu i od razu wskoczyła w drzwi hotelu. Rozpakowała torbę. Przeliczyła pakiety i o dziwo, zgadzało się. Zaryglowała drzwi jeszcze dodatkowo przez podparcie je krzesłem, na wszelki wypadek. Rozebrała się i zaczęła przyklejanie. Doszła do wniosku, że będzie musiała przetransportować gotówkę na dwa razy. W tym ubraniu które miała na sobie nie da rady za jednym razem. Za drugim razem, zostawiła drzwi niezamknięte a klucz w drzwiach od wewnętrznej strony. Zapłacone było tylko za jedną dobę, więc ktoś z personelu na pewno przyjdzie jutro przed dwunastą i stwierdzi, że klientka wyprowadziła się. Na łóżku zostawiła podróżną torbę i tysiąc forintów w środku. Była w domu już przed dwudziestą.

- Widzę, że postanowiłaś sprzedać tę teczkę.
- Tak. Nie widziałam szans na sprzedanie jej komukolwiek innemu. Tam był jakiś bardzo specjalistyczny dokument. Tu masz zdjęcie rentgenowskie.

Louis oglądał to zdjęcie kilka minut i nie mógł dojść co to może być. W dodatku, nie była to jedna kartka, tylko kilka, tekst ponakładał się na siebie i przez to, był już kompletnie nie do rozszyfrowania.

- Rzeczywiście. Moglibyśmy zostać z tym na wieki, a tak są przynajmniej pieniądze. Gdzie podzielaś samochód?

- Zostawiłam go jednej bardzo sympatycznej Polce w Nikozji. To koleżanka Borisa.
- Tak za darmo? Dałaś jej go w prezencie?
- Nie, wynajęłam jej go na pół roku. Będzie płaciła sto funtów miesięcznie za czynsz dzierżawny.
- Acha. To znaczy, że trzeba kupić jakiś nowy samochód. Masz coś na oku?

- Tak. Podoba mi się suzuki, taki trochę mniejszy od twojego rovera. Jutro pojedę do salonu i kupię sobie go. Z najnowszymi wynalazkami w środku.
- To rzeczywiście masz zachcianki.
- A ty nie?
- Ten twój samochód to też zachcianka. Przecież ty nigdy nie jeździsz nim po bezdrożach. Ten napęd na cztery koła też nie był ci nigdy do niczego potrzebny. Chciałeś mieć tylko ładny samochód. Teraz ja chcę mieć ładny, nowy samochód.
- Dobrze. Kup sobie w takim razie jutro to suzuki.

Zebi usiadła przy swoim biurku. Korespondencji mailowej było całe mnóstwo, a telefonów nieodebranych z biura jeszcze więcej. Zapakowała wszystkie pieniądze do domowego sejf i przystąpiła do pracy. Postanowiła, że jutro pojedzie i wpłaci tą gotówkę do banku. Przyszedł Louis.

- Pokaż kochanie, jak wygląda osiemset tysięcy euro.
- Podeszła do sejf, otworzyła go i sama wróciła do biurka. Kończyła odpisywać na maile.
- Wiesz, jak poznałem ciebie, to nigdy nie myślałem, że będziemy tacy bogaci.
- Louis. Czy ty uważasz, że my jesteśmy bogaci z tego powodu, że tu leżą te pieniądze?
- Nie. Wiem, że dobrze zarabiasz i, że miałaś pieniądze już wcześniej, ale przyznasz, że ta kwota też jest imponująca.
- Być może. Ale to są pieniądze jeszcze nieopodatkowane. Teraz trzeba załatwić dokument, że są legalne, zapłacić od nich podatek i dopiero można się nimi rządzić. Zarabianie pieniędzy nie jest moją jedyną pasją, ale jak trafiają się takie okazje, to staram się ich nie lekceważyć. Jutro zostaw mi swój samochód, będzie mi potrzebny, a do pracy możesz pojechać motocyklem.
- Dobrze. Kluczyki zostawiam w kuwetce pod schodami. Ja idę już spać, a ty też już kończ, bo miałaś męczący dzień. Zaraz uśniesz przy tym komputerze.
- Masz rację. Już idę.

Zamknął sejf, zasłonił wnękę, pocałował Zebi na dobranoc i poszedł spać. Tej nocy Zebi zebrała cięgi za sprzedanie zrabowanej teczki. Śniła jej się jak Imre Slavkowitz ścigał ją z całym okrucieństwem za tą kradzież. Potem ścigali ją już razem z przystojniakiem. Jego twarz tak bardzo wryła jej się w pamięć, że jak już dobudziła się i usłyszała szmer dochodzący z łazienki, podbiegła do kuchni i chwyciła największy i najostrzejszy nóż jaki tam był. Chwilę potem ochłonęła i dotarło do niej, że jeszcze dokładnie się nie wybudziła i, że to sen doprowadził ją do takiego paranoicznego zachowania. Było już jednak trochę za późno, bo Daria, która w ciszy poranka konsumowała swoje śniadanie na tarasie, dostrzegła ją w wojowniczej pozie z wielkim nożem w ręku.

- Czyżby Louis zachował się niestosownie?
- Ależ skąd. To mnie się śnią jakieś koszmary. Za dużo tych arabskich terrorystów mam na głowie i taki jest skutek, że zaczynają mi się śnić i włącza się jakaś paranoja.
- Co ty tu robisz w samej koszulce skarbie?
- Właśnie ganiałam z nożem arabskiego terrorystę?
- Tutaj, w kuchni?
- Każde miejsce dobre do zadźgania kogoś z nich.

Weszła z powrotem na górę i wklepała do komputera nazwisko Slavkowitz. Na węgierskich stronach pojawiło się dużo na temat Imre'go. Zaczęła tłumaczyć. „Był świetnym ojcem i dobrym mężem”. Już rozumiała dlaczego jej się śnił. Zmarł i jego duch upominał się o swoje. – *...jeszcze zacznę wierzyć w duchy. Ale z drugiej strony, to on sam przecież chciał tą teczkę sprzedać, tylko, że za mało żądał.* – Po śniadaniu spakowała pieniądze i pojechała do

banku. Wpłaciła wszystko, a potem pojechała do Larnaki do salonu Suzuki. Pokazali jej wszystkie samochody które mieli, ale nie zdecydowała się na żaden z nich. Potrzebowała auto o nazwie Suzuki Jimny z pełną opcją wyposażenia we wszystkie najnowsze wynalazki jakie były dostępne. Zamówiła taką wersję w ulubionym kolorze – jasno niebieskim i miała przyjechać za tydzień. Obiecali sprowadzić z Londynu. Wróciła do domu i ruszyła do pracy z całą determinacją. Musiała odpracować cały wczorajszy dzień. Niektórych rzeczy nie dało się już dogonić. Przeminięły. Ona miała się tym zająć, ale nie było jej. Miała ważniejszą sprawę. To co zrobiła, to zarobek wart jej czterech lat pracy zawodowej. Nikomu innemu tych spraw nie przekazała i ci których miała szybko osaczyć, zdążyli się już okopać. Zebi dawała sobie jednak radę i w takich sytuacjach. Wtedy już nie komputer był jej sojusznikiem, lecz umiejętności zakradania się w dowolnie wybrane miejsca. Będąc w stanie niewidzialnym, mogła skutecznie zapamiętać to co widziała. Zapamiętywała nieraz adresy, nazwiska i całe niewielkie fragmenty tekstu. Tym razem również poradziła sobie i dotarła do źródła, które rzekomo już się okopało i było niedostępne. Zadzwoiła do firmy. Przekazała im te informacje, których nie mogła wysłać mailem, a całą resztę posłała pocztą elektroniczną. Potem skupiła się na Imre Slavkowitzu. Zaczęła grzebać w jego przeszłości. Nigdzie nie znalazła żadnej informacji, że był pracownikiem węgierskiego wywiadu. Zadzwoiła do Daniela z pytaniem, skąd on wzięł te informacje?

– Był czas, że pan Imre był przez naszych śledzony. Miał pozakładane podsłuchy i lokalizator w samochodzie. Zebraliśmy o nim trochę materiału, ale jak wyjechał, to wszystko powędrowało do archiwum. Jak chcesz sobie to przejrzeć, to zapraszam do mnie. Ta teczka jeszcze leży u mnie.

– On miał wypadek. Stuknął się z ciężarówką w Budapeszcie, poleżał trochę w szpitalu i właśnie zmarło mu się. Piszą, że był dobrym mężem, a ja wiem, że jego żona właśnie się z nim rozwiodła.

– To może lepiej, że się nie rozwiodła.

– Dlaczego?

– W ten sposób została legalną wdową i może odziedziczyć po nim majątek. Może nawet jeszcze sporą rentę rodzinną.

– A miał jakiś majątek?

– O to chodzi, że miał. Pośredniczył w interesach dotyczących dzierżawy terenów roponośnych. Teraz właśnie dopiął jakiś kontrakt z Turkmenistanem i zgarnął od Amerykanów niezłą forszę. Nikt nie potrafił tak skutecznie działać jak on.

– Jego żona Maria, wyzwała go od krętaczy, na przyjęciu pogrzebowym mojego brata.

– On znał język arabski i miał z nimi układ. Trzymali się go, bo potrafił im wszystko załatwić, a oni mu płacili. Niemało, z tego co wiem. Kiedy będziesz w biurze?

– We środę, to znaczy jutro. To będzie 26 czerwca.

– Dobrze. To jutro w takim razie na piętnastą, po lanczu zwołuję naradę. Mamy sporo spraw do omówienia. Pamiętaj, że od 2 do 20 września włącznie odbędzie się szkolenie wojskowe, z którego już nie możesz się wymigać, zwłaszcza, że obiecałem twojemu bratu, że osobiście dopilnuję, żebyś się nie wymigała.

– On znowu będzie szkoleniowcem?

– Tak. Z tego co wiem, to przyjedzie teraz z całą swoją rodziną. Szkolenie odbędzie się jak zwykle w bazie koło Hajfy.

– To ja w takim razie idę znowu zająć w ciążę.

– Dobrze. Zajdź sobie w nią, ale po 20 września. Naprawdę masz ochotę na jeszcze jedno dziecko?

- Zawsze mam ochotę, tylko coś ostatnio nie wychodzi. Któreś z nas się wyprztykało, albo nie wiem co się stało.
- Ujmę to tak. Nie możecie się po prostu zgrać. Ale mnie to osobiście pasuje. Chociaż sam mam troje i nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

* * *

We środę, 26 czerwca 2002 roku, Zebi zaczęła dzień od przejrzenia wszystkich dokumentów Imre'go Slavkowitza. Z dokumentów wynikało, że musiał współpracować z Arabami, bo głównie żył z ich bogactwa, czyli z ropy. Jego śmierć to spory cios dla świata arabskiego. Teraz zastanawiała się, czy umoczył palce w tym ataku na samochód Sary. Z dokumentów wynikało, że się znali. To, że była to akcja zorganizowana, Zebi już nie miała wątpliwości. Również to, że jak Robert pracował przez miesiąc w Izraelu, Imre był wtedy pracownikiem ambasady, a właściwie szpiegiem. Teraz zachodziło pytanie, czy był szpiegiem który szpiegował na rzecz Węgier, czy na rzecz któregoś państwa arabskiego. Zebi uważała, że i tu i tu. Powinna jeszcze sprawdzić jakie powiązania miała Sara z Imre. Ponieważ była ona jeszcze w szpitalu, najprościej było zapytać ją wprost? Narada skończyła się o osiemnastej i Zebi zamiast prosto do domu udała się do szpitala w Betlejem. Weszła na piętro i stwierdziła, że skoro siedzi z słuchawkami na uszach, to już jest z nią trochę lepiej.

- Cześć Saro. Już ci lepiej?
- Już mam sprawną rękę na szczęście, ale z nogami to jeszcze potrwa. Potem rehabilitacja, jeszcze długie miesiące.
- Czegoś ci brakuje? Może mogę ci jakoś pomóc?
- Nie możesz. Brakuje mi Roberta. To jest największa strata jaką poniosłam.
- Czy ty znałaś wcześniej jakiegoś Węgra?
- Wstyd się do niego przyznać, ale był jeden. On według mnie był bardziej Serbem niż Węgrem. Chociaż pracował w Tel Awiwie w ambasadzie Węgierskiej.
- Spotykałaś się z nim?
- Tak. Zerwałam z nim niestety, chociaż był niezłym kochankiem.
- Dlaczego?
- To był cham nieokrzesany. Kilka razy mnie uderzył, a ja nie pozwolę sobie, żeby byle łajza podnosił na mnie rękę. Robert był zupełnie inny.
- Czy tamten z ambasady miał na imię Imre?
- Tak. A skąd wiesz?
- Wytropiłam go.
- Nie chcę o nim słyszeć. Mam gdzieś jego obietnicę, że już nigdy mnie nie uderzy.
- Wiesz, że on miał żonę i córkę?
- Nie wiedziałam. Pewnie też je bił. Mnie zapewniał, że jest samotny. Potem jak doszło do rękoczynów, to kazałam mu spieprzać. Przytążył do mnie pod drzwi prawie codziennie i nie umiałam się go pozbyć. W końcu wyjechał.
- To on zorganizował atak kamieniami na twój samochód.
- Nie mów! Chyba do tego by się nie posunął?
- A jednak.
- To trzeba zgłosić na policję, jak masz jakieś dowody. To była zbrodnia. Przecież twój brat nie żyje.
- Mój brat, a twój kochanek.

- Masz mi to za złe, że Robert był moim kochankiem?
- Nie, absolutnie nie. Byliście parą, kochaliście się i to się liczy. Imre był zdrajcą i bandytą.
- Dlaczego mówisz, był.
- On też nie żyje. Miał wypadek.
- Jak umarł?
- Wjechał swoim mercedesem pod ciężarówkę w Budapeszcie. Trochę jeszcze pożył w szpitalu, a po tygodniu zmarł.
- Taki cwaniak. Taki niezniszczalny bydlak. I nie żyje. Seks z nim, to było, jak bójka w barze. Szarpanina, popychanie, przyduszanie i takie działanie, żeby skrzywdzić kobietę. Dopiero jak pojawiała się krew, czy to z nosa, czy z wargi i on ją rozmazywał po całym ciele swojej ofiary, to dostawał orgazmu. Strachem kobiety się karmił. Jak zobaczył strach w oczach, to dopiero mu stawał. Nie ciało, nie zapach, nie dotyk, tylko strach i krew. To był wampir. Kompletny psychopata.
- Skoro umiesz tak o tym ładnie i przekonująco mówić, to powinnaś opisać wszystko Saro?
- Może kiedyś jak już stąd wyjdę. Mówią mi, że doprowadzą mnie do stanu używalności i jeszcze będę się podobała mężczyznom. Może nie będę biegła w krótkich spódniczkach, ale jeżeli już będę mogła chodzić, to jeszcze może znajdę chłopaka do łóżka.
- Widzę, że te sprawy są dalej u ciebie numer jeden.
- Nie masz pojęcia co bym dała, żeby już mnie wypakowali z tych stelaży i żeby znalazł się chętny, który by mnie tak porządnie zerznął.
- To da się załatwić. Tu jest tylu sprytnych młodych sanitariuszy, że na pewno nie będziesz miała problemu poderwać kogoś.
- Na razie patrzą na mnie z odrazą.
- Wydaje ci się. Oni patrzą na razie obojętnie, ale przyjdzie taki moment, że zaczną spoglądać z zainteresowaniem. A nawet jak nie, to jaki problem tyknąć viagrę. Ciebie to nie obchodzi, bo to ty masz mieć przyjemność.
- Gdzie ten bandzior Imre jest pochowany?
- Nie wiem dokładnie, ale być może na tym samym cmentarzu co Robert. Obaj byli z Budapesztu.
- Ile czasu będą cię tu jeszcze trzymali?
- Już niedługo. Wracam do domu i będę jeździła na rehabilitację.
- Kto będzie się tobą opiekował?
- Moja mama i siostrzenica. Poza tym mam rehabilitanta któremu będę płaciła. Sześć godzin dziennie dochodzenia do pełnej sprawności.
- A ten rehabilitant to ktoś warty uwagi?
- Może być, ale ja pewnie go nie zainteresuję.
- Pieniądze Saro, otwierają każde drzwi. Nie żałuj sobie jak masz taką potrzebę. Kup mu viagrę i wypłacaj premie. Nikt nigdy nie dowie się co było.
- Pan doktor powiedział, że jeszcze będę mogła pobiec w maratonie.
- Czytałaś o Messalinie, żonie cezara Klaudiusza?
- Nie. A do czego zmierzasz?
- Ona wpadła na pomysł, że jej maraton to czterdziestu dwóch niewolników jednego dnia. Później już zaliczała tylko półmaratony.
- To straszne. Ale może ona miała takie potrzeby. Ja mam trochę mniejsze.

- Co wiesz o pracy Imre’go?
- Co tu dużo mówić. Był szpiegiem i bandziorem. Przez cały czas pracy w Izraelu pracował nad zdobyciem jakiejś listy. Wygadał się raz po pijaku. Ktoś miał tę listę, a on musiał ją zdobyć, chociażby po trupach.
- Wiesz co zawierała ta lista?
- Myślę, że same nazwiska. A może jeszcze jakieś inne informacje. Nie wiem dokładnie. Zebi wyciągnęła zdjęcie rentgenowskie i zapytała Sarę czy jest to ten sam dokument.
- Tak. Na sto procent. To jest ta lista. Ona została sporządzona w jakimś martwym azjatyckim języku, żeby żadne tajne służby jej nie rozszyfrowały.
- Może wiesz co to za język?
- Raz usłyszałam, ale to było w bełkocie pijackim Imre’go. Chyba sobie nie przypomnę, ale chyba nazwa zaczynała się na literę S. Ale jeżeli wróci mi pamięć to do ciebie zadzwonię. Ten sam numer?
- Tak, a twój?
- Mój na razie inny, ale jak wyjdę ze szpitala, to załatwię, że wrócę do mojego starego numeru. Wysyłam ci sygnał, a ty zapisz sobie w kontaktach, że to mój numer.
- Powiedz mi jeszcze Saro, czy Imre załatwił atak kamieniami na twój samochód z powodu zazdrości o Roberta?
- Nie. On nie był za bardzo zazdrosny. Raczej, jeżeli to on był organizatorem tego ataku, to chodziło mu o to, żeby mnie uśmiercić, bo wiedziałam za dużo o jego konszachtach z Arabami.
- Cholera! Mówisz poważnie?
- Jak najbardziej. Dziwię się nawet, że jak leżałam nieprzytomna na jezdni, to nikt nie przyszedł i nie dokończył dzieła strzałem w głowę, albo czymś ostrym po szyi. Może uznali, że ja nie żyję i że ładnie będzie wyglądało jak nie będzie żadnych poważnych śladów. A teraz, jak Imre nie żyje, to ja jestem właściwie bezpieczna. Nie ma już mnie kto dobić.
- Jesteś pewna? A czy on mógł mieć jakieś podejrzenie, że jak był u ciebie ostatni raz i miał już ten dokument ze sobą, to ty wtedy zrobiłaś kopię tego dokumentu?
- Skoro tu leżę połamana, to chyba mógł mieć takie podejrzenie. On przyszedł do mnie z tym dokumentem i zapytał, jak moim zdaniem najlepiej zabezpieczyć go, żeby nie uległ żadnym zgięciom ani innemu zniszczeniu, a jednocześnie, żeby był dobrze ukryty. Był już pijany i bałam się, że jak nic nie wymyślę to pobije mnie i pójdzie. Wymyśliłam na poczekaniu, że umieszczę ten dokument w teczce, dyplomatce którą kiedyś dostałam od Arno. Pod podszewką. Miałam to zrobić do rana, ale tak wszyć, żeby nikt nigdy nie zorientował się, że podszewka w teczce była odpruwana i zszywana ponownie. Wiedział, że mam talent w dziedzinie szycia artystycznego, bo kiedyś rozdarł sobie koszulę przed ważnym spotkaniem, a nie miał drugiej. Jak mu ją zreperowałam i nic nie było widać to cmokał z podziwu. On pił tego wieczora, a ja pracowałam. Jak upił się już do takiego stanu, że usnął, to wyjęłam aparat fotograficzny i robiłam zdjęcia tego dokumentu tuż przed wszyciem go. Jak nastąpiło któreś kolejne pstryknięcie i rozbłysła na moment lampa, to Imre ocknął się na moment. Chowałam aparat, a potem schowałam dokument za podszewkę i zszywałam ją artystycznie prawie do rana. Jak już kończyłam to ocknął się, podszedł i zapytał: „...czy da się wyczuć ręką, że ten dokument jest za podszewką?” – powiedziałam, że nie da się. „...a czy ta szparka która pozostała umożliwia inspekcję, czy ten dokument jest w środku?”
- Podałam mu latarkę, zajrzał i stwierdził, że jest tak jak żądał. Jeszcze raz przysnął i jak już się obudził to tylko chwycił teczkę i wyszedł bez pożegnania. Potem jeszcze wrócił i zapytał stojąc w drzwiach, czy ja coś fotografowałam. Odpowiedziałam że nie. Podszedł do

mnie, spojrzął mi w oczy, przebiegł wzrokiem po meblach, zajrzał do szafy, a później do komody. Niczego nie znalazł, jeszcze raz spojrzął na mnie nieufnie, pogroził palcem, potem odwrócił się i wyszedł. Myślałam, że chce mnie pocałować, a on nawet nie podziękował mi za moją pracę.

- Masz te zdjęcia?
- Jeszcze jest niewywołane, a aparat leży w komodzie w moim mieszkaniu.
- Powiedz mi, po co zrobiłaś te zdjęcia?
- Chciałam mieć jakiegoś haka na niego. Z jego zachowania wywnioskowałam, że to jest coś warte, skoro on tak się nad tym trzęsie. Sama mówiłaś, że jesteśmy dwie chiwe zdziry. Zgadzam się z tym w pełni i liczyłam na to, że da się coś na tym ugrać.
- Jest coś warte na pewno, ale ja jeszcze nie wiem ile. Ale jak zechcę je od ciebie odkupić to jesteś gotowa mi je sprzedać?
- Możesz je sobie wziąć. Teraz jak Imre nie żyje, to już te fotki nie stanowią dla mnie żadnej wartości. Tu są klucze od mojego mieszkania, a aparat jest w komodzie w środkowej szufladzie. Nie chcę od ciebie nic. Dzięki tobie mam już tyle pieniędzy, że wystarczy mi do końca życia, nawet jak będę żyła ponad stan.
- Rzeczywiście, masz trochę. Ale powiedz mi, czy te klucze mam gdzieś zostawić, czy mam je przywieźć tobie tu z powrotem?
- Miej u siebie. Prosiłabym cię tylko, żebyś zadbała trochę o moje sprawy. Zobacz co się dzieje z korespondencją, spróbuj uratować kwiatki, chociaż te, które jeszcze nie uschły i wszystko co zauważysz. Jak będę wychodziła stąd, to i tak poproszę ciebie o zawiezenie mnie do domu. Zgodzisz się?
- Jak najbardziej.

* * *

Zebi rozstała się z Sarą jak z prawdziwą przyjaciółką. Pojechała do jej domu i stwierdziła, że już tam był ktoś przed nią. Kwiatki były podlane, wszystko ładnie wysprzątane. Zajrzała do komody i aparat Panasonic, z wmontowaną lampą błyskową leżał bez futerału. Sprawdziła film i stwierdziła, że musi on być w środku. Futerał leżał obok. Zapakowała go do futerału, wrzuciła do torebki i wyszła. Następnego dnia, w czwartek 27 czerwca, zaniosiła aparat do laboratorium fotograficznego w firmie. Powiedziała, że zależy jej szczególnie na jednej serii zdjęć, dokumentu zapisanego w jakimś bardzo dziwnym języku. Zabroniła robić więcej niż po jednej odbitce. Za pół godziny już był technik z laboratorium i przyniósł te właśnie zdjęcia na papierze A4.

- Czy resztę zdjęć mamy również wywołać na A-4?
 - Nie, tamte już na arkuszach o połowę mniejszych.
- Nie miała czasu, żeby się teraz tym zajmować i zastanawiała się komu może to zlecić?
- ...oczywiście. *Michael jest archeologiem.* Odszukała w telefonie numer do jej ulubionego Belga.
- Cześć Michael. Czy możesz tu do mnie przyjść?
 - Jeżeli jestem ci w tej chwili pilnie potrzebny, to mogę tylko na pięć minut, jeżeli na dłużej to za dwie godziny.
 - Przyjdź na te pięć minut.
- Michael pojawił się za pięć minut.
- Tu są fotki pewnego dokumentu. Rzuć okiem i może uda ci się odgadnąć w jakim języku jest to zapisane?

Michael podszedł do okna, przyglądał się kilka minut i powiedział, że jest to jakiś martwy język pochodzący prawdopodobnie z Azji.

- Tyle to i ja wiem, ale chodzi mi o nazwę tego języka?
- Ja mógłbym do tego dojść, ale musiałabyś mi dać tą fotkę i do końca dnia może podałbym ci nazwę tego języka.
- Niestety nie mogę ci tego dać.

Rozstali się i Zebi zbiegła na dół do laboratorium. Poprosiła techników o pozostałe zdjęcia i aparat.

- Który z panów zajmował się tymi zdjęciami?
Wstał ten młodzieniec, który był u niej na górze.
- Gdzie są pozostałe zdjęcia z tego filmu?
- Tu właśnie suszą się zdjęcia z całej kliszy wykonane w formacie A5.
- Czy robił pan jeszcze jakieś odbitki z tej kliszy?
- Nie. Tu jest wszystko co zrobiłem.
- Na pewno? To jest bardzo ważne.
- Nie ma nic więcej. Poproszę, to jest wszystko i aparat.

Zebi zabrała wszystko. Stwierdziła, że trochę lekkomyślnie zrobiła wypuszczając ten aparat z ręki i spuszczaając ten materiał nawet na chwilę z oczu. Miała nadzieję, że młody nie kłamał, chociaż teraz przypomniała sobie, że jak to mówił to nieświadomie podrapał się w nos. To podsunęło jej podejrzenie, że mógł w tym momencie kłamać. Przecież nikt, kto mówi prawdę, w tak poważnej sprawie, nie podrapie się w nos. Postanowiła jednak wrócić do laboratorium jako niewidzialna i spojrzeć na to co teraz tam się dzieje. Już po chwili widziała, jak trzech techników pochyła się nad jednym zdjęciem i uważnie przyglądają mu się. Wróciła do swojej postaci tuż za drzwiami i gwałtownie wtargnęła do laboratorium. Fotografia została przez tego co był u niej, błyskawicznie wsunięta w stertę papierów na biurku. Zebi podeszła i wyciągnęła ją. Podniosła w dwóch palcach do góry i krzyknęła:

- Wszyscy wychodzą na zewnątrz z rękami podniesionymi do góry! Gęsiego idziecie przede mną, cały czas z rękami w górze, prosto do gabinetu dyrektora. Do gabinetu również wchodzie z rękami podniesionymi.

Nie mieli pojęcia, czy ona jest uzbrojona, bo szli przed nią. Mijali po drodze różne osoby i wszyscy dziwili się, że trzech chłopcy w białych fartuchach maszerują przed Zebi z rękami nad głową. Oni szli grzecznie, bo wiedzieli, że z tego budynku raczej nie dałoby się nigdzie uciec. Otworzyła im drzwi i wszyscy we czwórkę weszli do sekretariatu. Była tam sekretarka i uzbrojony ochroniarz. Pozwoliła im opuścić ręce.

- Czy szef jest zajęty?
- Tak. Ma gościa z ministerstwa.
- Długo będzie tam siedział ten gość?
- Jeszcze pewnie kilka minut.

Gość rzeczywiście za chwilę wyszedł i Zebi weszła do szefa sama. Wcześniej poprosiła ochroniarza, żeby tych panów nigdzie nie wypuszczał. Ochroniarz poczuł się zobowiązany i zablokował ciałem drzwi wejściowe, odpiął kaburę z pistoletem, położył na niej rękę i stał w pozycji jak kowboj. Chłopcy mieli nietęgie miny. Weszła najpierw sama.

- Mam materiał super tajny i poprosiłam laboranta, żeby zrobił mi jedną odbitkę z każdej strony i ani jednej więcej. Zaufałam i nie stałam im nad głową w trakcie tej pracy, a oni zrobili sobie kopię, czego nie wolno im było zrobić. Potem wpadłam niespodziewanie i nakryłam ich jak oglądali sobie w najlepsze tą kopię. Składam wniosek o zwolnienie w trybie natychmiastowym wszystkich trzech.

– Wiesz, że ufam ci w takich sprawach w bezgranicznie. Ale zaprosimy ich tutaj, niech coś powiedzą na swoją obronę.

Zebi wyszła do sekretariatu i pokazała ręką, że mają wejść. Dyrektor stał i patrzył się kolejno każdemu z nich w oczy. Zebi stała z odbitką w ręku i zapytała:

– Czy panowie mają coś do powiedzenia w tej sprawie?

Wyciągnęła rękę z odbitką w ich stronę.

– Zżarła nas ciekawość. Takiego pisma jeszcze nigdy nie widzieliśmy.

– Nieprawda. Ja widziałem. To jest pismo sundajskie. – odezwał się ten, który przynosił jej odbitki na górę.

– Jak pan się nazywa? – zapytała Zebi.

– Moryc Gutenbach.

– Dlaczego zdecydował się pan wykonać dodatkową odbitkę, pomimo mojego zastrzeżenia, że nie wolno wam tego zrobić i zapewnienia mnie swoim słowem, że nie zrobił pan tego?

– Przyznaję się. Skłamałem. Ja zrobiłem to bez porozumienia z kolegami. Zrobiłem tylko jedną stronę, żeby rozpoznać to pismo. Oni nic nie wiedzieli. Dopiero potem jak pani de Lorme wyszła to pokazałem im, że mam tą jedną dodatkową odbitkę i, że wiem co to jest za pismo.

– Pani de Lorme złożyła wniosek, że w związku z tym incydentem macie zostać zwolnieni wszyscy trzej w trybie natychmiastowym. Jeżeli pani Zebi nie wycofa tu i teraz tego wniosku, to za chwilę przestaniecie być pracownikami tej firmy.

– Dobrze. Ja zaraz powiem jakie jest moje stanowisko, ale chcę wiedzieć panie Moryc, skąd pan wie, że to jest pismo sundajskie?

– Ja właśnie studiuję na uniwersytecie literaturoznawstwo i niedawno miałem wykład na temat tego pisma. Uchowały się jeszcze różne stare pisma i wiersze z tamtych czasów, dlatego to jest w programie naszej uczelni.

– Ile panu pozostało do końca tych studiów?

– Niecały rok. Dostaję oprócz pensji, stypendium na czesne od firmy.

– Czy zrobił pan jedną odbitkę, czy więcej?

– Jedną. Tylko jedną.

– Teraz dokonamy przeszukania całego laboratorium, jeżeli znajdziemy jeszcze jedną, albo inny ślad po tym materiale to już tu nie pracujecie.

– Zgoda.

– Ja proponuję, aby panowie we dwóch wrócili do laboratorium i dokonali dokładnego przeszukania. Dostaniecie dodatkowo ochroniarza jako obserwatora, a pan Moryc zostanie jeszcze tu z nami.

Dwaj laboranci wyskoczyli za drzwi jak z procy, a za nimi ochroniarz. Zbiegli na dół do laboratorium i wzięli się autentycznie za przeszukiwanie go. Pracowali rzetelnie i już po drodze postanowili całkowicie odciąć się od Moryca. Trójka osób w gabinecie Daniela dalej kontynuowali swoją rozmowę:

– Czy umiałby pan odczytać ten tekst?

– Myślę, że tak.

Zebi podeszła do szefa blisko i wyszeptała mu do ucha:

– Chciałabym, żeby pan Moryc został zaprzysiężony jako agent. Widzę, że bez niego nie rozwiążę tej zagadki, a czuję, że jest to cholernie ważna sprawa. Może w grę wchodzi życie setek, albo nawet tysięcy ludzi.

Daniel nic nie odpowiedział tylko pokiwał głową, później pogrzebał w swoich notatkach, wziął mały notes i telefon w drugą rękę. Powiedział tylko, że mają na niego poczekać i wyszedł. Usiedli na fotelach i nie odzywali się do siebie. Po dziesięciu minutach, dyrektor wrócił z jakimś mężczyzną wyglądającym na Araba. Rozmawiali po hebrajsku, więc jednak chyba tamten był zwyczajnym Sefardyjczykiem. Ten drugi miał teczkę Moryc'a w ręku i widać było po jego wyrazie twarzy, że znał jej zawartość dość dobrze. Zbliżył się do niego i zadał mu jeszcze kilka pytań, których to informacji potrzebował, a nie doszukał się ich w teczce. Na koniec zapytał, co wie o szyfrowaniu i deszyfrowaniu informacji. Okazało się, że wie bardzo dużo i towarzyszący dyrektorowi agent odwrócił się do niego i dał znak głową. Daniel uśmiechnął się i również dał podobny znak głową, po czym Sefardyjczyk ruszył zdecydowanym krokiem w stronę drzwi. Dyrektor odłożył dokument który trzymał w ręku i zwrócił się do Moryca:

- Panie Moryc Gutenbach, czy jest pan zainteresowany pracą w charakterze agenta?
 - Tak.
 - Musi pan wiedzieć, że po złożeniu przysięgi, już jako agent, takie kłamstwo, do jakiego posunął się pan jako laborant, nie będzie karane tylko zwolnieniem z pracy.
 - Mam tego pełną świadomość.
 - Czy jest pan gotów złożyć przysięgę na wierność Państwu Izrael?
 - Tak.
 - Zaznaczam, że jako zaprzysiężony agent, będzie pan raportował wszystko, co pana dotyczy, również to, co dotyczy pańskiego życia prywatnego. Każdy szczegół ma znaczenie. Jeżeli na przykład zdradzi pan żonę, to w raporcie musi się znaleźć informacja gdzie to nastąpiło i w jakim czasie, z kim i za ile, jeżeli byłaby to prostytutka. Jeżeli inna osoba, to w raporcie również musi się znaleźć informacja typu: – czy nastąpiło zauroczenie, czy zakochali się w sobie, czy jeszcze coś innego. Wszystko, absolutnie. Nie możemy być nigdy niczym zaskoczeni. Za to, że zgadza się pan na to, że staje się całkowicie transparentny, jest wynagrodzenie o wiele wyższe od dotychczasowego, a raporty które pan dostarcza są całkowicie utajnione. Jeszcze raz. Jest pan nadal gotów złożyć przysięgę?
 - Tak.
- Dyrektor wziął słuchawkę i gdzieś zadzwonił:
- Sil. Przyjdź tu jeszcze raz ze swoją kamerą.

Sefardyjczyk wszedł do gabinetu dosłownie za pięć minut. Rozstawił statyw, nakręcił na wystający gwint kamerę, włączył i sam przeszedł z drugiej strony zabierając po drodze ze sobą Zebi. Stanęli po bokach Moryca, a dyrektor naprzeciwko tej trójki i zaczął:

- Do przysięgi... .

Dyrektor odczytywał formułę przysięgi, a Moryc powtarzał. Świadcami była Zebi, Sil i Daniel, który jednocześnie odbierał przysięgę. Po ceremonii każdy uściśniętą nowemu agentowi rękę i życzył sukcesów, a Zebi od razu zapytała:

- Czy ja mogę zabrać ze sobą agenta Gutenbach'a panie dyrektorze?
- Idźcie.

* * *

W piątek, 19 lipca, 2002 roku, Zebi zamiast do domu postanowiła wpaść do Sary. Miała jej dużo do powiedzenia, a przy okazji liczyła na to, że jeszcze może czegoś ciekawego się dowiedzieć. Znała ją już tyle czasu, a nie wiedziała, że miała takie bujne życie prywatne.

- Cześć Saro.
 - Co się dzieje Zebi z tobą? Przecież ty powinnaś być już od dawna po pracy. Do której ty pracujesz? Do siedemnastej najwyżej.
 - Pięknie by było, gdybym mogła o siedemnastej powiedzieć sobie: Koniec pracy! I czmychnąć do domu, jak inni zwykli pracownicy biurowi. Ja jak wyłowię w ciągu doby kilka momentów na drzemkę w fotelu, to jest super.
 - Taki teraz nawał pracy?
 - Niestety tak.
 - A co z tą listą?
 - Jest jeden wytrwały agent, który odszyfrowuje ją. Bo ona nie dość, że napisana jest w jakimś wymarłym języku to jeszcze jest zaszyfrowana.
 - Ale, czy wiecie już przynajmniej czego ona dotyczy?
 - To już wiemy.
 - To mów.
 - Tego akurat nie mogę powiedzieć nikomu.
 - Liczyłam na to, że mnie powiesz.
 - Co Imre chciał zrobić z tym dokumentem?
 - Nie wiem. Jego interesowały tylko pieniądze. On chciał ten dokument zwyczajnie sprzedać, tak jak wcześniej sprzedawał inne dokumenty które miały jakąś wartość. Skąd wiesz, że on nie żyje? Widziałaś jego ciało?
 - Nie widziałam. Wiem z internetu. Z filmu z pogrzebu i wielu innych przekazów. Ciało niestety nie widziałam.
 - On był na ulicy, niedaleko stąd. Jechałam na rehabilitację i widziałam go jak szedł.
 - Jak to możliwe? Przecież pochowali go.
 - Chyba nie do końca. Myślę, że z jakiegoś powodu ten cwaniak upozorował swoją śmierć i może zjawić się tu lada moment, żeby dokończyć to co zaczął pod Betlejem.
 - A nie może być tak, że to był ktoś bardzo podobny?
 - Raczej nie. Imre był człowiekiem bardzo charakterystycznym. Nawet ruchy jego ciała byłoby trudno naśladować.
 - A czy oprócz tego, że go widziałaś na ulicy, nie było żadnego innego przekazu?
 - Był jeden głuchy telefon.
 - Ktoś zadzwonił i kompletnie nie odezwał się ani słowem?
 - Czy wyświetlił się numer dzwoniący?
 - Tak.
- Zebi spisała sobie ten numer oraz datę i godzinę dzwonięcia. Za chwilę wstała i wyszła. Potem wróciła jeszcze do firmy, chociaż był już wieczór. Usiadła do swojego komputera i dokopała się do właściciela numeru z którego Sara otrzymała głuchy telefon. Doszła, że głuchy telefon wykonał do niej agent ubezpieczeniowy. Wzięła do ręki firmowy telefon, wstukała kod utajniający identyfikację numeru dzwoniącego i zadzwoniła do agenta:
- Dwory wieczór. Czy w poniedziałek 15 lipca, o godzinie jedenastej dzwonił pan do Sary Mosel? – Mmm. Tak. Ale nie uzyskałem połączenia. Coś uszkodziło mi się w telefonie. Zadzwoniłem do niej z innego aparatu tego samego dnia po szesnastej. Chodziło o odszkodowanie za samochód, który wrócił właśnie z oględzin policyjnych i oddaliśmy go do kasacji. Teraz możemy zająć się wypłatą odszkodowania. Umówiłem się z panią Mosel, podpisała stosowne dokumenty i pieniądze już powinny być na jej koncie. – Ale zapomniał jej pan powiedzieć o tym, że dzwonił pan tego samego dnia o jedenastej z tego numeru z którego w tej chwili ja rozmawiam z panem. – Zapomniałem. A czy pani jest z policji? – Tak.

Ponieważ pani Mosel jest prześladowana, więc sprawdzamy, czy to nie była próba straszenia jej. – Przepraszam, że nie przekazałem jej tej informacji. Nie miałem zamiaru jej nastraszyć. – Do widzenia. Proszę nigdy więcej nikogo nie straszyć. Wie pan w jakim kraju żyjemy.

Agent nie mógł wiedzieć, że wywołał przerażenie u kobiety. Chciał tylko przekazać ważne informacje, chciał dobrze, ale coś nie wyszło. Nie można było go winić. Zadzwoiła do Sary:

– Saro! To nie był Imre, tylko twój agent ubezpieczeniowy od samochodu. Chciał ci powiedzieć, że dostałaś pieniądze za samochód. – Tak, ale on dzwonił po południu, z zupełnie innego numeru. – Ale tamten głuchy, to również jego numer, tylko aparat mu się w tym momencie uszkodził. – Rozmawiałaś z nim? – Tak. Kazał cię przeprosić za to, że zapomniał powiedzieć o wcześniejszym głuchym telefonie. Uspokój się. Ten facet na ulicy, to musiał być ktoś bardzo podobny. – Och. Bardzo bym chciała, żeby tak było. – Saro. Masz pieniądze to załatw sobie na razie ochronę całodobową. A jak chcesz policyjną, to chyba też mogę ci załatwić, ale wydaje mi się, że są firmy ochroniarskie, które w ochronie osobistej przewyższają wielokrotnie policję. – Podeślij mi jakiś dobry namiar na taką firmę.

Zebi wróciła do domu i zaczęła zastanawiać się, co zrobić z tą informacją, że Imre może żyć. Jeżeli tak, to ona i jej rodzina jest zagrożona przez tego typa. Trzeba coś zrobić. Zdobyć jakieś najaktualniejsze zdjęcie tego człowieka. Wybrała się następnego dnia na Węgry i przeszukała w jego domu wszystko. Były tylko stare zdjęcia, z czasów kiedy był jeszcze młody. U jego żony Marii w mieszkaniu też nie znalazła nic interesującego. Przeszukała inne miejsca gdzie można by było znaleźć jakąś podobiznę. Nic. Znalazła miejsce na cmentarzu, gdzie był pochowany. Na grobie również nie było zdjęcia. Tego samego dnia wieczorem zapytała Louisa:

– Pamiętasz kochanie tego pyskacza Imre Slavkowitza?
– Ciężko go zapomnieć. Codziennie o nim myślę.
– Umiałbyś narysować jego podobiznę?
– Po co? Przecież on nie żyje.
– Właśnie nie wiadomo. Niektórzy mówią, że upozorował swoją śmierć.
– Po co miałby to robić?
– On jest, albo był agentem wywiadu. Mógł być zaangażowany w różne rzeczy, które wymagały zniknięcia. Teraz jak okaże się, że on żyje, to ja obawiam się o nasze życie.
– A co my mamy z nim wspólnego?
– Jak to co? Zhandlowaliśmy jego teczkę za zero osiem miliona euro. Nie pamiętasz?
– A skąd on może o tym wiedzieć?
– Mógł mu powiedzieć ten, który mi zapłacił za nią.
– Ale ty występowałaś pod jakimś pseudonimem i w peruce.
– Tak, ale byłam dwa razy na ulicy i tam ktoś mógł mnie sfotografować. Zresztą nie tylko na ulicy. Teraz każdego można sfotografować wszędzie.
– Jutro wezmę się za rysowanie jego twarzy.
– Zrobisz to na komputerze, czy ręcznie.
– I tak i tak. Zobaczmy które będzie lepsze.
– I co proponujesz zrobić z tym portretem pamięciowym dalej?
– Umieszczę w bazie osób poszukiwanych w Europolu, a ty załatwisz, żeby poszukiwano go również w Izraelu, skoro tam się pokazał.
– A jakie personalia mu wymyślimy?
– Nie wiem. Wpiszemy go na listę osób współpracujących z Al-Kaidą, to nasi się

bardziej przyłożą.

- To może jakiś pseudonim.
- Wpisz mu Sasza albo Kola.
- Mam. Nazwiemy go Ermi.
- Dobrze kombinujesz. Wiem o co chodzi. To przecież Imre od tyłu.
- Zgadłaś. Nikt z nas nigdy się nie pomyli, a inni zainteresowani też będą wiedzieli o co chodzi. Biorę się za robotę. Dobrze pamiętam tą jego gębę. Jak przemawiałem to patrzyłem tylko na niego. A czy rozszyfrowaliście to pismo?
 - Owszem. Samo pismo tak. Ale sam tekst jest jeszcze zakodowany i nie wiemy jakiej książki użyto do wykonania tego kodu.
 - Jeżeli on, jak mówisz współpracował z Arabami, to jak myślisz jaką książkę mogli podłożyć do wykonania kodu.
 - No nie wiem. Pojęcia nie mam. Nic mi nie przychodzi do głowy. Jaką twoim zdaniem?
 - Jeżeli to jest lista, to po mojemu jest to zbiór nazwisk i może jeszcze adresów jakichś ważnych ludzi. Z kolei jeżeli jest to lista którą przygotowali Arabowie dla Amerykanów na przykład tą książką kodową mogą być najbardziej „Szatańskie Wersety”. A jeżeli listę robili Amerykanie dla Arabów to książką kodową może być sam „Koran”.
 - Po co Amerykanie mieli by robić jakąś tajną listę dla Arabów. Jeżeli to ma działać w tym obszarze to mogli to zrobić tylko Arabowie dla Amerykanów.
 - Albo Arabowie zdrajcy. Jest ich na pęczki. Nasi agenci Sefardyjscy na przykład, niczym nie różnią się z wyglądu od Arabów i w dodatku wszyscy znają język arabski jak swój, bo często u nich w domu rozmawia się właśnie po arabsku, bo mężczyźni biorą sobie często za żony Palestynki.
 - Fascynujące. Ale zważywszy, że przystojniak który kupił ode mnie tą teczkę wyglądał właśnie na Amerykanina. Początkowo odezwał się po węgiersku, ale poprosiłam go, żeby przeszedł na angielski, a on od razu przeskoczył i rozmawiał tak, jakby to był jego rodzinny język. Amerykanie mówią trochę inaczej i on mówił właśnie po amerykańsku.

* * *

Zebi nie miała pojęcia, czy analiza którą przeprowadził Louis jest prawidłowa, ale postanowiła wyłożyć karty na stół. Pokazała się w firmie we środę, 24 lipca 2002 roku. Od razu poszła do laboratorium i podzieliła się wynikiem analizy Louis’a.

- Postuchajcie chłopaki. Mamy ten tekst w całości, ale wiemy, że jest zakodowany. Doszłam do przekonania, że książką kodową mogą być „Szatańskie Wersety”.
 - Ja mam. Osobiście mam ją w domu, pierwsze wydanie i w języku angielskim.
 - Prawdopodobnie właśnie chodzi nam o angielską wersję, czyli oryginalną.
 - Daleko masz do domu Moryc?
 - Nie. Samochodem pół godziny w jedną, czyli jakbym dostał samochód to za godzinę byłbym tu z książką.
 - Weź mój i pośpiesz się.
- Potem Zebi poszła do gabinetu w którym urzędował jej ulubiony archeolog. Zastała go ciężko zapracowanego, ale na jej widok wszystko przerwał i wstał.
- Powiedz mi Michaelu, jeżeli moje przypuszczenia się sprawdzą, to jak długo będziemy potrzebowali na odkodowanie tej listy?
 - Jeden, góra dwa dni.

- Włączysz się do tego?
- Skoro uważasz, że to wymaga mojego włączenia się, to oczywiście, że tak.

* * *

Pełen sukces. W piątek, 26 lipca 2002 roku, przed południem już było wiadomo, że za książkę kodową do rozszyfrowania listy, rzeczywiście posłużyła powieść „Szatańskie wersety”. Louis się śmiał, podskakiwał z radości i klaskał w dłonie jak dziecko. Miał świętą rację. Ciągłe powtarzał, że trafił za pierwszym razem. Że ma już tego swojego policyjnego nosa. Zebi uznała, że jest to największy sukces detektywistyczny w jego życiu. Postanowiła jednak nie mówić mu tego. Mógłby wpaść w samouwielbienie i osłabiłoby to jego czujność. Żyjąc tam na Cyprze i gmerając patykami w gniazdach os, to on powinien tą czujność zachować jak najdłużej. Po południu już lista była gotowa, a Zebi z jej pierwszym egzemplarzem już czekała w sekretariacie na audiencję u dyrektora. W końcu doczekała się i weszła:

- Danielu. Mamy wszystko co było na tej liście. To jest sto dziewięć imion i nazwisk, oraz adresów ludzi mieszkających w różnych miastach w Iraku.
- Wiesz co to są za ludzie?
- Nietrudno było się domyślić. Wszyscy w zespole odszyfrowującym już wiedzą.
- Informatycy. Najważniejsi agenci irackiego wywiadu.
- Zgadłeś.
- Jeżeli ktoś planuje przystąpienie do wojny z drugim krajem, musi wyeliminować przede wszystkim najważniejszych agentów, czyli informatyków. Czy to twoim zdaniem już wszyscy agenci – informatycy tego kraju, czy tylko najważniejsi.
- Myślę, że tylko najważniejsi. Elita elit.
- Kto ma tą listę oprócz nas?
- Amerykanie.
- Jesteś pewna?
- Tak. Na sto procent Danielu. Co robimy?
- Ty mnie pytasz co robimy? To są już trupy, albo za chwilę nimi będą.
- Jeżeli Amerykanie chcą przystąpić do wojny, to na logikę powinni ich zabić wszystkich jednocześnie, w ciągu jednego dnia. Zamknęliby wtedy Saddamowi dostęp do wszystkich najważniejszych informacji. Mniej tragiczne w skutkach byłoby wyłączenie prądu i telefonów w całym kraju.
- Dlaczego tak się denerwujesz Zebi?
- Wyobrażam sobie, że gdyby Izrael miał mieć z kimś wojnę, to tu również w pierwszej kolejności zabiliby agentów – informatyków. I też musieli by to zrobić jednego dnia.
- W zasadzie tak powinno się zrobić, ale czy u nas mogłoby dojść do takiego przecieku?
- Czy ktoś mógłby stworzyć taką listę na potrzeby ewentualnej przyszłej wojny?
- Przestań Zebi, bo wpadniesz mi tu zaraz w jakąś paranoję. Wiesz jak można się negatywnie nakręcić?
- Zawsze ważna jest cena. Jeżeli kwota jest na tyle kusząca...
- Poczekaj. I przestań już głupio glindzić. Czy w naszym interesie jest, żeby Amerykanie wymordowali stu dziewięciu najlepszych informatyków w Iraku?
- Nie. Absolutnie nie. Zwłaszcza, że oni nie oszczędziliby z całą pewnością również

rodzin tych ludzi. Zważywszy, że tam dzietność jest trochę większa niż gdzie indziej, to można tę liczbę pomnożyć razy pięć.

– Posłuchaj Zebi, może ściągnijmy ich wszystkich do nas. Dostaną wsparcie psychologiczne i może z czasem zaczną dla nas pracować.

– Jak chcesz to zrobić?

– Mam pomysł. Zwołujemy naradę, dzisiaj po lanczu. Na piętnastą. Zaproszę ośmiu agentów Sefardyjczyków i ciebie. Wydrukuj jeszcze dziewięć egzemplarzy tego dokumentu.

O piętnastej, przy stole dwunastoosobowym usiało dziesięcioro osób, agentów, dyrektor i Zebi.

– Proszę państwa. – zaczął dyrektor – Dotarł do nas dokument, że Amerykanie zlecili komuś w Iraku, wytropienie i stworzenie listy najważniejszych agentów – informatyków tego kraju. Mamy tę listę i możemy ich ostrzec, żeby się dobrze ukryli, albo zaproponujemy im schronienie u nas. Jednocześnie musieliby przejść na naszą stronę. W Iraku czeka ich pewna śmierć, ponieważ jeżeli już są na liście, to znaczy, że mają w najbliższym czasie zostać zabici. Jeżeli oni, to z całą pewnością ich rodziny również. Amerykanie muszą to zrobić jeszcze przed przystąpieniem do działań wojennych, a wszystko na to wskazuje, że niebawem do tego dojdzie. Którzy z panów zdecydowaliby się na wzięcie udziału w takiej akcji. Chodzi o dotarcie do każdego z tych ludzi, co nie jest trudne, ponieważ są adresy. Będziecie mieli wsparcie w postaci telefonów satelitarnych i kontaktu z naszą grupą operacyjną tu na miejscu, która będzie nad wami czuwała dzień i noc. Tam na miejscu dostaniecie samochody terenowe dokumenty i wszystko co tylko jest potrzebne do takiej misji.

– Jak mamy się podzielić?

– Najpierw głosowanie. Kto jest chętny na wzięcie udziału w ratowaniu irackich agentów?

Tym razem w górę powędrowało osiem rąk.

– No cóż. Skoro taką podjęliście panowie decyzję, to proponuję, żebyście podzielili się na cztery drużyny. Jednym słowem dobierzcie się parami. Znać się świetnie i każdy wie z kim będzie mu się pracowało najlepiej. Będzie trzeba jeszcze w każdej parze ustalić kto dowodzi i to chciałbym otrzymać na piśmie. Jeszcze jedno. Nikt na świecie nie może się dowiedzieć, że to my ich ostrzegliśmy. Nawet na torturach nie wolno wam się przyznać, że jesteście z Mosadu. Nasze dobre stosunki z USA ległyby w gruzach.

Pary dobrały się dość sprawnie, dowódców drużyn ustalono. Wykonano siatkę geograficzną miejsc zamieszkania poszczególnych agentów Irackich. Podzielono strefy i cztery drużyny w odstępach jednodniowych, zaczęły wylatywać z różnych miast, krajów sąsiednich. Z Ammanu, Damaszku i Bejrutu. Agenci zostali wyposażeni w paszporty krajów Arabskich i wjechali do Iraku jako biznesmeni. Cała akcja trwała tydzień. Większość, to znaczy dziewięćdziesiąt pięć rodzin postanowiło przenieść się do Izraela i dostali specjalne wsparcie. Mogli wjechać do Izraela przez Jordanię i Liban. Czternastu agentów wolało pozostać w krajach arabskich. Załatwili sobie nową tożsamość i ślad po nich zaginął. Nikt nigdy nie dowiedział się, czy Amerykanie próbowali wykonać wyrok na agentach, czy nie. A jeżeli tak, to jakie było ich zdziwienie, kiedy okazało się, że ani jedna osoba z listy, a i wszyscy członkowie ich rodzin, są również nieosiągalni. Zniknęli.